SEZON PIELGRZYMKOWY
Dokąd idą, czego szukają duchowi wędrowcy

KAMIENIEM W KSIĘDZA
Skąd się bierze antyklerykalizm

KRYSTIAN LUPA
Bałwochwalcy i krzyżowcy

FILIP SPRINGER
Najszczęśliwszy kraj świata

Kraków 11 sierpnia 2019 nr 32 (3657) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Znaleźliśmy Złoty Pociąg

Jak się spełniają polskie marzenia

DODATEK SPECJALNY
ŚLĄSK POWSTAŃCZY 1919–1921

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

WYDAWNICTWO OSSOLINEUM

Nike
Gazeta Wyborcza & Fundacja Agory
Nagroda Literacka

NOMINACJA 2019

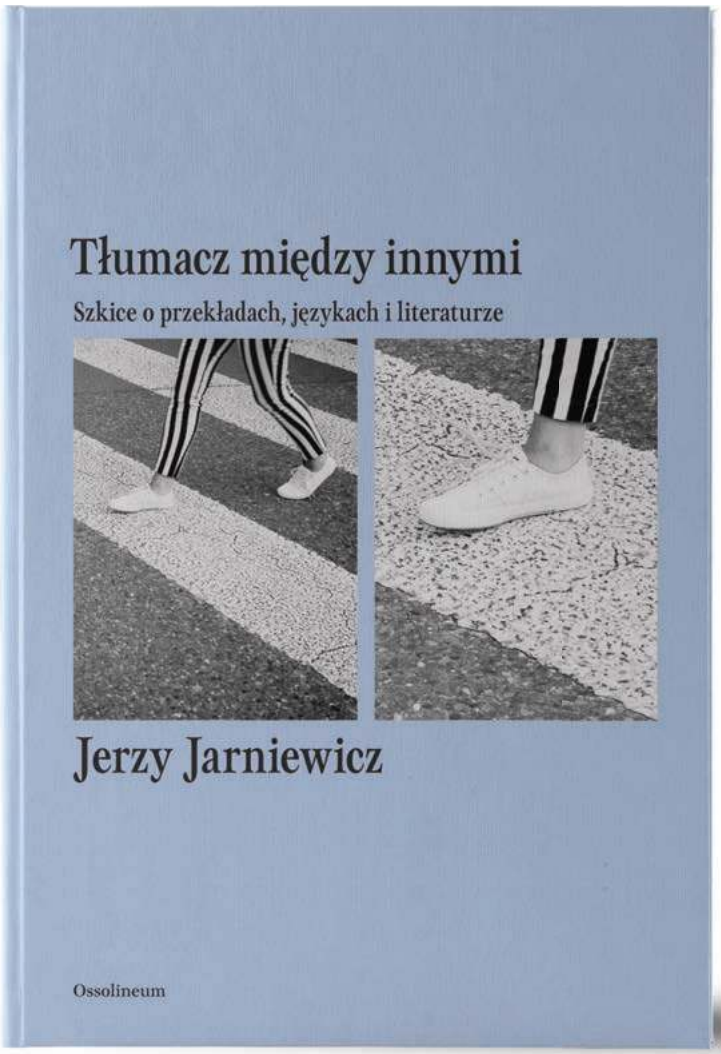

Kiedy mam coś tłumaczyć, słucham własnej intuicji; kiedy mam o przekładzie mówić, czytam Jarniewicza.

Marek Bieńczyk

wydawnictwo.ossolineum.pl
facebook.com/WydawnictwoOssolineum

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

KS. ADAM

Boniecki: *Drogi Boga*

Nigdy się nie odważyłem pójść na wielką pielgrzymkę, choć wiem, że jej uczestnicy wracają opaleni i szczęśliwi. Może podświadomie bałem się tego, co opisał Władysław Reymont w przypomnianym przez Dariusza Kosińskiego reportażu z 1894 r.: „I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca, i stapiał wszystkich w jedną bryłę drgającą w łkaniu...". Przerażają mnie takie zbiorowe uniesienia.

Owszem, jako duszpasterz akademicki kilkakrotnie wyruszałem na Jasną Górę z niewielką grupą chętnych. Pieszo, z plecakiem, bocznymi drogami, bez zamówionych noclegów, moknąc w deszczu. Ale przyznaję: o tych wielkich pielgrzymkach niewiele wiem. Przeczytałem więc „Les chemins de Dieu" (Drogi Boże), historię chrześcijańskich pielgrzymek od początku do naszych czasów. Oto kilka zapisków na jej marginesie.

Stary i Nowy Testament zawierają mnóstwo informacji o pielgrzymkach. Żydzi odwiedzali miejsca związane z objawieniem się Boga, z historią wielkich wydarzeń i świętych postaci, np. Szilo – miejsce przebywania Arki Przymierza. Potem, gdy Dawid przeniósł Arkę do Jerozolimy, a Salomon wybudował świątynię, wszyscy Żydzi, także Jezus, pielgrzymowali do Jerozolimy.

Chrześcijanie przejęli tę praktykę. Oni chcieli dotknąć miejsc związanych z Jezusem, z męczennikami, świętymi.

Zwyczaj odwiedzania przez chrześcijan Ziemi Świętej i miejsc uświęconych istnieje od starożytności. Jego specyfiką jest dobrowolność. Żaden przepis, jak np. w islamie, niczego nie nakazywał. Zdumiewająca jest więc ta potrzeba fizycznej obecności, często za cenę trudu długiej podróży, w miejscu uświęconym. W średniowieczu przeważały pielgrzymki pokutne, ale też pielgrzymowano dla uzyskania jakiejś łaski lub dziękczynnie. Były okresy nasilenia ruchu pielgrzymkowego, słabnięcia, a nawet zanikania, surowych przepisów, zakazów.

W XIV i XV w. władcy i zamożni chrześcijanie wysyłali na pielgrzymki wynajętych zastępców. Nie zawsze byli to ludzie pobożni. Pielgrzymki zamienili w mało budującą lub wręcz gorszącą przygodę. To prowokowało ostre krytyki pielgrzymek w ogóle. Zresztą nie tylko to. Duchownych irytował np. zbyt łatwy, bez ich pośrednictwa, dostęp pielgrzymów do „*sacrum*": sami się pchali do świętych relikwii, sami dotykali rzeźb i obrazów w celu uzdrowienia czy otrzymania łaski. Proboszczowie zaś nie byli zachwyceni hojnością parafian w sanktuariach, zamiast w rodzimej parafii. Zarzucano też pielgrzymom magiczne traktowanie relikwii i miejsc świętych. Z czasem wszystko zmieniało się na lepsze. Opracowano dobrą organizację pielgrzymek, pogłębiło się rozumienie ich sensu.

Wokół ruchu pielgrzymkowego rozwijały się struktury jego obsługi. Dziś nadal mamy bezinteresowną gościnność wsi, przez które przechodzą jasnogórscy pielgrzymi, i wyspecjalizowane przedsiębiorstwa pielgrzymkowe. Biznes: hotele, transport, możliwie największa liczba miejsc świętych i nie tylko. W programie jednego z nich widziałem punkt: „plaża Copacabana".

Kształt pielgrzymowania zmieniał się więc z upływem czasu. Autorzy wspomnianej książki uspokajają: chrześcijański turysta, jeśli się postara, może nawet podróż do Palma de Mallorca zamienić w prawdziwą pielgrzymkę. Podobnie jak turystyczna wizyta w Ziemi Świętej, może się stać pielgrzymką, która zmusi do myślenia o Chrystusie.

Ani to procesja, ani nabożeństwo. Pielgrzymki to specjalny, wspólnotowy i publiczny wyraz wiary. Nic nie wskazuje na to, by miały zaniknąć. Będą trwały. ©℗

TP

Zostań mecenasem filmu o ks. Bonieckim!

Pomysł na filmowy portret księdza Bonieckiego powstał kilka lat temu, a reżyserka Aleksandra Potoczek realizuje zdjęcia już od wielu miesięcy.

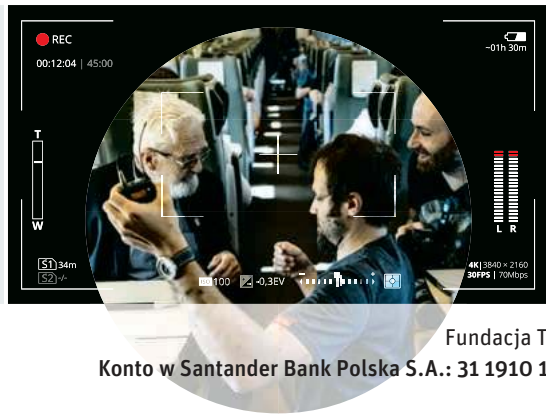

W tym czasie ekipa przejechała z księdzem Adamem blisko 30 tysięcy kilometrów. Producent filmu, Fundacja Tygodnika Powszechnego, wciąż zbiera pieniądze na dokończenie produkcji. Dzięki Państwa hojności udało się już zebrać **60 proc.** potrzebnej kwoty, nadal jednak prosimy o wsparcie. Wpłat można dokonywać przez Facebooka lub bezpośrednio na konto Fundacji.

Zbiórka na Facebooku: **powszech.net/film**

Fundacja Tygodnika Powszechnego, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków

Konto w Santander Bank Polska S.A.: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001, w tytule przelewu: „Film"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

14 Milczenie wędrowców
Z O. MACIEJEM BISKUPEM, DOMINIKANINEM, ROZMAWIA MACIEJ MÜLLER:
Pielgrzymowanie budzi lęk przed tym, co nowe.

18 Idzie Kościół i naród
DARIUSZ KOSIŃSKI
W polskich pielgrzymkach nie o dramat osobistej przemiany chodzi, lecz o proces wytwarzania się wspólnoty.

24 Złoty Pociąg przejechał
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Skarb to nie fizyczny przedmiot. To symbol nadziei na to, że los się odmieni.

36 Antyklerykalizm nie wystarczy
SEBASTIAN DUDA
Coraz powszechniejsza niechęć do księży to jeden z przejawów kryzysu katolicyzmu.

50 Kontynent pozbawiony historii
MACIEJ MACHCEWICZ
Afryka: dom ponad miliarda ludzi, o niezwykłej różnorodności kultur i ludów. Jej dzieje sięgają prehistorii. W Europie ich nie znamy.

80 Najszczęśliwszy kraj świata
Z FILIPEM SPRINGEREM, REPORTEREM I PISARZEM, ROZMAWIA MICHAŁ SOWIŃSKI:
Najpopularniejsza interpretacja Prawa Jante mówi, że mała społeczność przypomina wiadro krabów – gdy jeden próbuje wyjść, reszta ściąga go z powrotem.

94 Trzask żywiołów
MICHAŁ MILCZAREK
Stałem na lodzie i bałem się. Słabłem. Bajkał to kocioł, w którym ścierają się siły nieba i podziemi.

YAREK BARANIK // MONKPRESS / EAST NEWS // FORUM // MICHAŁ MILCAREK // LECHOSŁAW KWIATKOWSKI // DAWID ŁUKASIK / EAST NEWS

6 Powstańczy flash mob MICHAŁ OKOŃSKI

7-13 Wiadomości / Komentarze

22-23 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

24 Złoty Pociąg przejechał MARCIN NAPIÓRKOWSKI

29 Jestem twoim koszmarem MARIUSZ SEPIOŁO: *Fotoreporterzy na marszach*

32 Onkologiczne tsunami ROZMOWA Z AGATĄ POLIŃSKĄ, ZAŁOŻYCIELKĄ FUNDACJI ONKOLOGICZNEJ ALIVIA

■ ■ WIARA

36 Antyklerykalizm nie wystarczy SEBASTIAN DUDA

40 Boży narwaniec EDWARD AUGUSTYN: *Kim jest o. Ezechiele Ramin, który może zostać patronem Synodu amazońskiego?*

43 Ludzie bezbronni PATRYCJA BUKALSKA: *Coraz więcej prześladowań chrześcijan*

■ ■ ŚWIAT

46 Kryzys w czasach Trumpa MARTA ZDZIEBORSKA: *USA przeżywają największy od lat napływ imigrantów*

50 Kontynent pozbawiony historii MACIEJ MACHCEWICZ

54 Epidemia mitów MARCIN ŻYŁA: *W Demokratycznej Republice Konga walka z ebolą to nie tylko wyzwanie medyczne*

DODATEK SPECJALNY

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

ŚLĄSK POWSTAŃCZY 1919–1921

Sto lat temu, 16 sierpnia 1919 roku, wybuchło pierwsze z trzech śląskich powstań. Tego dnia zaczęła się również wojna polsko-niemiecka: niewypowiedziana, ale realna i krwawa wojna o Górny Śląsk. O tym opowiadamy w specjalnym dodatku historycznym.

■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER **45** SZYMON HOŁOWNIA **92** JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO **98** STANISŁAW MANCEWICZ **98** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: FOT. RONNIE CHUA / ADOBESTOCK / MONTAŻ „TP”
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Ze względu na przypadające w czwartek 15 sierpnia święto i następujący po nim tzw. długi weekend następne wydanie „Tygodnika Powszechnego” w wersji papierowej ukaże się już **we wtorek 13 sierpnia**. Wydania cyfrowe „TP” będzie można czytać tego samego dnia wieczorem.

55 Trzeba improwizować ALEKSANDRA RUTKOWSKA: *Opowieść z niewielkiego szpitala w ugandyjskiej wiosce*

56 Walka o ziemię DOMINIKA MATEJKO: *W Amazonii wrze*

■ ■ NAUKA

58 Asteroidy atakują ANNA ŁOSIAK: *Przygotowujemy się na kosmiczną katastrofę, ale duża asteroida ciągle może nas zaskoczyć*

60 Zbuntowane gwiazdy ROZMOWA Z DAVIDEM H. LEVYM, ASTRONOMEM

■ ■ Z ODDECHEM

78 Czciciele złotego cielca KRYSTIAN LUPA *o polskich bałwochwalcach i krzyżowcach*

■ ■ KULTURA

80 Najszczęśliwszy kraj świata ROZMOWA Z FILIPEM SPRINGEREM

84 Lech z planety Janerka FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Autor najlepszego albumu w historii polskiego rocka powraca z nowymi piosenkami*

87 Przyszłość już tu jest JAKUB MAJMUREK *„Rok za rokiem” to serial, który wzywa do przebudzenia*

90 W cieniu lewiatana ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Cienie imperium”*

92 Księga i jej losy LEKTOR *o „Sklepach cynamonowych” Brunona Schulza*

■ ■ WAKACJE

94 Trzask żywiołów MICHAŁ MILCZAREK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata: Nigeria

W dziesiątą rocznicę powstania dżihadystycznej partyzantki Boko Haram afrykańskiemu kolosowi zagraża nowa rebelia – **WOJCIECH JAGIELSKI** *wyjaśnia, dlaczego miejscowi szyici buntują się przeciwko świeckiemu rządowi* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Kryzys klimatyczny – serwis specjalny

Tematu klimatycznej katastrofy nie da się już dłużej ignorować – *w* **SERWISIE SPECJALNYM** *poruszamy na bieżąco najważniejsze zagadnienia związane z naszą planetą.* **tygodnikpowszechny.pl/kryzys-klimatyczny**

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

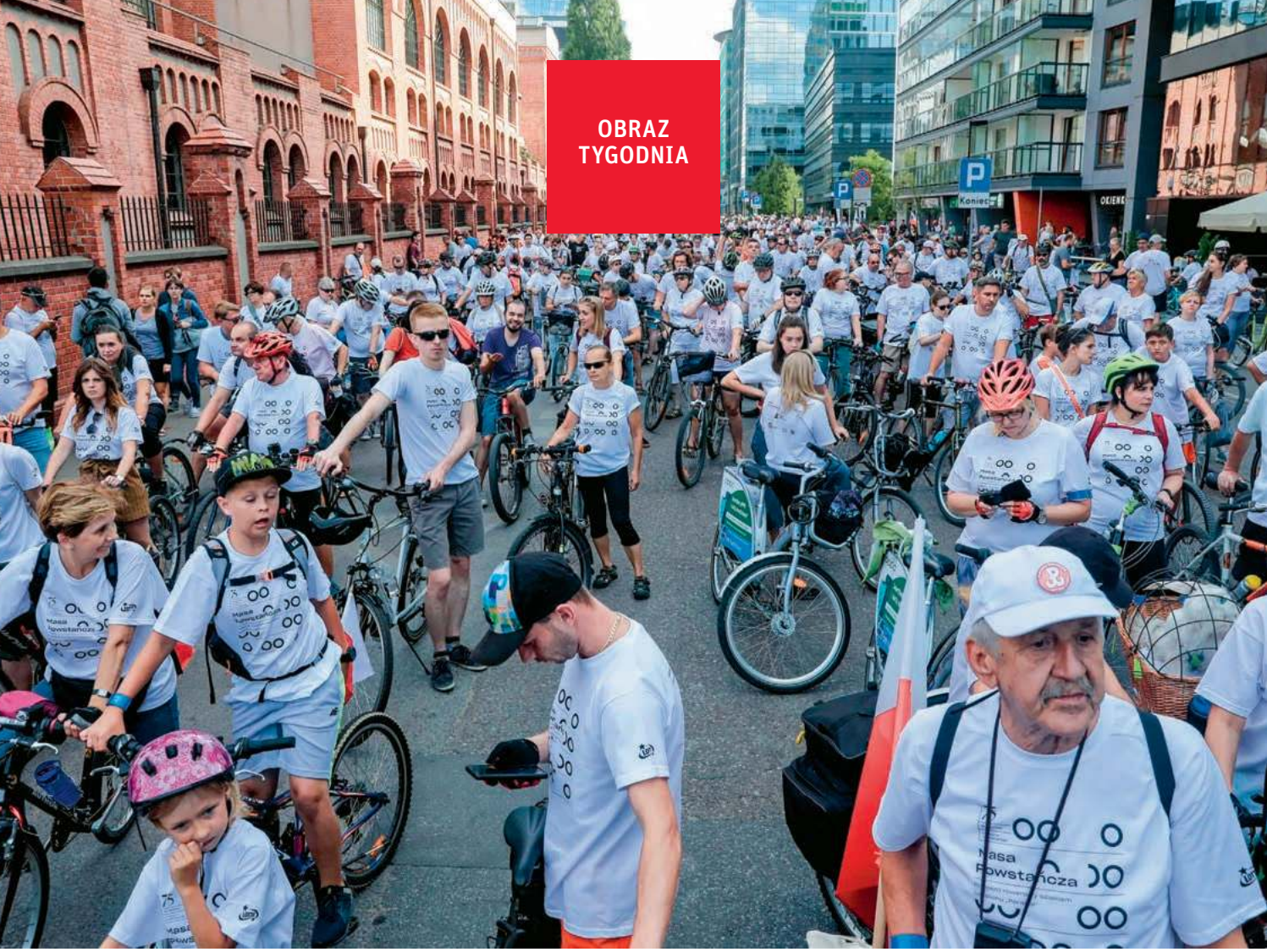

TOMASZ GZELL / PAP

POWSTAŃCZY FLASH MOB

Pierwszy sierpnia stał się świętem wszystkich. Tylko co tak naprawdę świętowaliśmy?

MICHAŁ OKOŃSKI

Rowerowa „Masa Powstańcza" na trasie szlaku bojowego batalionu AK „Parasol", Warszawa, 3 sierpnia 2019 r.

Powstanie warszawskie zakończyło się przecież militarną, polityczną i materialną – jeśli zważyć na zniszczenie stolicy – klęską. Heroizm młodych uczestników walk pozwolił podtrzymywać opór przez 63 dni, ale nie był w stanie zmienić decyzji dotyczących przyszłości kraju, podejmowanych nad głowami Polaków przez przywódców mocarstw zachodnich i ZSRR. Śmierć poniosło ponad 20 tys. powstańców i próbujących iść im z pomocą żołnierzy armii Berlinga, a do tego doliczyć trzeba 180 tys. cywilów. „Ci co wydali pierwszy rozkaz do walki / niech policzą teraz nasze trupy. / Niech pójdą przez ulice / których nie ma / przez miasto / którego nie ma / niech liczą przez tygodnie przez miesiące / niech liczą aż do śmierci / nasze trupy" – pisała po latach Anna Świrszczyńska i jedyne, co można dodać do jej wiersza, to długa lista nazwisk tych, których jednak udało się policzyć, dostępna na stronie Muzeum Powstania Warszawskiego.

Co więc obchodziliśmy 1 sierpnia? Ile o dylematach dowódców powstania i krwawym

żniwie ich decyzji wiedzą ci, którzy na największym polskim portalu zamieszczali w ubiegłym tygodniu galerię zdjęć... najpiękniejszych uczestniczek tamtego zrywu? A ci, którzy wieczorem 1 sierpnia zebrali się na placu Piłsudskiego, by radośnie śpiewać, że „każdy chłopak chce być ranny", bo „sanitariuszki morowe panny"?

Z każdą kolejną rocznicą coraz mniej jest świadków i towarzyszącej im powagi, coraz więcej za to ludyczności: koncertów, biegów, w tym roku odbyła się nawet parada łodzi na Wiśle. Nadużywa się, a w związku z tym dewaluuje związane z tamtym czasem symbole, choćby kotwicę Polski Walczącej. Jakość patriotyzmu narodowców, odpalających w trakcie swego marszu świece dymne i skandujących kibicowskie hasła, budzi zrozumiały niepokój.

A przecież nie warto narzekać. Człowiek, który wiele zrobił dla utrwalenia pamięci o powstaniu, dyrektor poświęconego mu muzeum Jan Ołdakowski, mówił w jednym z wywiadów, że to, co się dzieje 1 sierpnia, jest jak *flash mob*: „Stają koło siebie ludzie, którzy w ogóle się nie znają – wszystko ich różni: poglądy, strój, kompetencje. Ale w tym jednym momencie stają razem i mają poczucie wspólnoty".

Tak, rocznica powstania warszawskiego to jeden z niewielu dni, w których poczucie wspólnoty jest wyczuwalne – nawet jeśli będziemy się spierać o jego sens, próbując podważyć unoszące się nad nim dziedzictwo romantyzmu i tradycji insurekcyjnej, i nawet jeśli będziemy dyskutować o formach jego upamiętniania. Podobnie jak powszechne są szacunek i wdzięczność dla samych powstańców.

Co zaś najistotniejsze: ci spośród bohaterów i świadków tamtych dni, którzy wciąż jeszcze mogą być obecni na uroczystościach, kiedy w końcu politycy oddadzą im mikrofon, mówią o bardzo prostych rzeczach. Odwadze, heroizmie, miłości ojczyzny, owszem, ale także o radości z odzyskanej wolności (wspólne śpiewanie także może być formą jej wyrażania), pomaganiu słabszym, sile przyjaźni i szacunku do drugiego człowieka, o tolerancji. „O tym pamiętajcie, że nie wolno nienawidzić" – mówiła 1 sierpnia Wanda Traczyk-Stawska. Żeby móc usłyszeć jej głos, można się zgodzić na to, że cisza tego dnia rzadko trwa dłużej niż minutę. ©℗

Jak narodowcy wiersz skonfiskowali

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Pierwszego sierpnia narodowcy zbierają się na rondzie Dmowskiego, by pomaszerować w stronę pomnika Powstania Warszawskiego na placu Krasińskich. Petardy, transparenty, symbole falangi, „czerwona hołota" i tak dalej; nowością jest przekreślona tęczowa flaga, bo LGBT to przecież „nowy totalitaryzm". Policjanci dbają o manifestantów i kiedy otrzymują zgłoszenie o „prowokacyjnych ulotkach", zatrzymują, legitymują i spisują rozdającą je kobietę. „Organizatorom nie pasują" – tłumaczy spisujący, nie podając podstawy prawnej swojego działania. Kobieta to dziennikarka OKO.press Agata Szczęśniak. A prowokacyjne ulotki? Jest na nich wiersz. To „Budowanie barykady" Anny Świrszczyńskiej.

Gdy powstanie wybuchło, Świrszczyńska była 35-letnią kobietą. Służyła jako sanitariuszka, napisze potem: „byłam posługaczką w szpitalu bez lekarstw i wody". Arcydzielny poetycko zbiór „Budowałam barykadę" opublikowała dopiero w 1974 r. To nie tylko zapis jej pamięci, ale też dojrzała i bezkompromisowa próba summy doświadczenia całej społeczności. „Książką straszliwą" nazwał ją Miłosz. Obok „Pamiętnika z powstania warszawskiego" Białoszewskiego jest najwybitniejszym świadectwem tamtego czasu w naszej literaturze.

Ja, słysząc o „świętowaniu" rocznicy powstania warszawskiego, zawsze się wzdrygam. Czy świętem może być rocznica tragicznej klęski? Czy można świętować śmierć wielu tysięcy warszawiaków, ofiar rzezi Woli, chorych spalonych żywcem w szpitalach, kobiet zgwałconych i zamordowanych na Zieleniaku? Hołd bohaterstwu powstańców i cierpieniom cywilów – oczywiście tak. I przepowiadanie sobie ich imion, chwila milczenia przy pomniku, przy kwaterach powstańczych na Powązkach czy przy tablicy pamięci Baczyńskiego na pałacu Blanka. Jednak scena, w której w rocznicę powstania policja ochrania narodowców wykrzykujących nienawistne hasła, konfiskując równocześnie ulotkę z wierszem Świrszczyńskiej, wydaje mi się smutnym symbolem pamięci ciężko chorej. ©℗

Ulga dla młodych, czyli PIT na wodę

RZĄD ZWOLNIŁ WŁAŚNIE Z PODATKU dochodowego wszystkich podatników do 26. roku życia. Przy tej okazji władza udzieliła wchodzącym na rynek pracy kilku niezwykle cennych lekcji.

Pierwsza – matematyka. Zwolnienie z PIT do granicy pierwszego progu podatkowego (czyli do kwoty 85528 zł) podniesie bowiem zarobki młodych nie o obiecywane 18, lecz około 8 proc. Ulga dotyczy bowiem PIT, ale już nie składek na ZUS i ubezpieczenia zdrowotnego, które wchodzą przecież w skład tzw. pensji brutto. Rząd wprawdzie tego nie kryje, podając stosowne wyliczenia nawet na stronach Ministerstwa Finansów, ale umówmy się, nie jest to lektura pierwszego wyboru większości obywateli. Za to w TVP aż huczy o podniesieniu zarobków młodych Polaków o 18 proc.

Dociekliwi młodzi podatnicy po lekturze nowelizacji mogą dojść tymczasem do wniosku, że gdyby rząd chciał ulżyć im naprawdę, zwolniłby ich ze składek na ubezpieczenie emerytalno-rentowe i chorobowe – na garnuszek ZUS-u przejdą wszak dopiero za jakieś 40 lat i czasu na nadrobienie zaległości im nie braknie. Pracownik z pensją minimalną (intencją ustawodawcy było właśnie zwiększenie opłacalności pracy na niskopłatnych etatach) zyskałby dzięki temu 308,48 zł miesięcznie. Korzyści ze zwolnienia z samego PIT w tym przypadku to tylko 133 zł miesięcznie.

Lekcja druga – prawo. Uchwalona 15 lipca nowela weszła w życie 1 sierpnia. Tymczasem 17 lipca Trybunał Konstytucyjny orzekł, że określenie daty wejścia w życie ustawy z pominięciem zagwarantowanego głowie państwa terminu 21 dni na podjęcie „decyzji w przedmiocie podpisania ustawy stanowi wystarczającą przesłankę do stwierdzenia, iż ustawodawca uchybił standardowi demokratycznego państwa prawnego w aspekcie nakazu zachowania odpowiedniej *vacatio legis*".

Prezent w postaci 18 proc. ulgi jest więc ulgą rzędu 8 proc., która na dodatek może szybko zniknąć z powodu błędów proceduralnych. Ale wtedy będzie już po wyborach.

©℗ MAREK RABIJ

Polityczna pełnosprawność PiS

UKOŃCZONY 18. ROK ŻYCIA i orzeczenie ZUS o niezdolności do samodzielnej egzystencji – to warunki przyznania przegłosowanego przez Sejm i Senat tzw. 500 plus dla osób niepełnosprawnych. Decyzja nie oznacza, że nową „pięćsetkę" będzie łatwo dostać, bo wprowadzono też próg dochodu z innych świadczeń. Jeśli przekraczają 1 100 zł, 500 plus zostanie odpowiednio pomniejszone (np. do 250 zł przy dotychczasowych świadczeniach 1350 zł), a jeśli osiągają pułap 1600 zł, prawo do 500 plus wygasa. Opozycja nowe prawo krytykuje, punktując, że koszty rehabilitacji i leczenia idą w tysiące. PiS odpowiada, że dla tego środowiska zrobił najwięcej. Premier apeluje: „Jest to ten rodzaj wsparcia, który powinien być wyjęty poza nawias sporu politycznego".

Może i powinien, ale nie jest. Podczas gdy pogubiona opozycja spycha liderkę ubiegłorocznego protestu osób niepełnosprawnych Iwonę Hartwich na siódme miejsce swojej toruńskiej listy wyborczej (by potem decyzją Grzegorza Schetyny – przyciśniętego do muru przez samą Hartwich – przywrócić ją na obiecane wcześniej miejsce trzecie), PiS ogłasza swoje kolejne 500 plus. A że z uzyskaniem świadczenia wiele osób będzie miało problem? Że ZUS może zostać sparaliżowany kilkuset tysiącami nowych wniosków? To okaże się dopiero po wyborach.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Lotnicze Bizancjum marszałka

PAWEŁ BRAVO

WCIĄŻ NIE WIADOMO, CZY PiS ZDECYDUJE, IŻ WIĘKSZYM RYZYKIEM w trakcie kampanii będzie utrzymanie Marka Kuchcińskiego na stanowisku marszałka Sejmu czy też szybka dymisja. Jego ostatnie wyjaśnienia – gdy powołuje się na aktywność legislacyjną wymagającą konsultacji – są szczególnie żałosne. Dziwna to aktywność, która się skupia na jednym okręgu – wszak do Szczecina czy Wrocławia nie latał. Poza tym udaje, że nie wie, iż nie o same podróże chodzi, tylko o absurdalnie w tym kontekście kosztowną procedurę HEAD, jaką marszałek uruchamiał dla swoich przelotów (portal Onet podsumował je na 4 mln zł), zamiast skorzystać, też na koszt państwa, z jednego z pięciu rejsów, jakie narodowy przewoźnik wykonuje do Rzeszowa. W tym kontekście padało określenie „druga osoba w państwie". Jest ono czysto ceremonialne, ale w przypadku Kuchcińskiego widać to szczególnie jaskrawo. Cała afera znów nam przypomina, że jest postacią tuzinkową, nie umie nawet realnie trzymać w garści Sejmu – do czego wyznaczył go przecież prezes. Tym bardziej więc potrzebował lotniczego Bizancjum. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

PIKNIK.
„Przyjdzie taki dzień, że zmienimy konstytucję na potrzebną" – powiedział Jarosław Kaczyński na wakacyjnym pikniku, dodając, że nie zapowiada tego po tych wyborach, ale precyzując, że będzie gwarantowała prawdziwą demokrację, prawdziwą wolność i prawdziwą równość. Może szkoda, że jeszcze nie po tych wyborach?

FESTIWAL.
„Czemu nie karzecie polityków, którzy zap...ają samolotami za moje, k...a, pieniądze?" – to z kolei pytanie Jerzego Owsiaka do uczestników festiwalu Pol'and'Rock. Lider WOŚP apelował o pójście na wybory, do licznych wulgaryzmów dołączając deklarację „Możecie mi strzelić w łeb, ale nie cofnę się, gdyż Polska się stacza".

WIZYTA.
O staczaniu się Polski świadczyć może rachunek przekazany do starostwa w Szczecinku przez miejscową Komunikację Miejską za utracone przychody ze sprzedaży biletów żeglugi śródlądowej, zawieszonej na czas wizyty Andrzeja Dudy. „Nie ja wybierałem miejsce spotkania, ale jeśli jest problem, mogę pokryć koszty z własnej kieszeni" – zadeklarował prezydent.

TOMASZ WASZCZUK / PAP

ZLOT.
O kosztach nie mówił Mateusz Morawiecki podczas apelu z okazji 30-lecia ZHR: po prostu przypominał harcerzom, że od ich postawy zależy przyszłość Polski. Niespodziewanym kontekstem jego słów jest wiadomość, że z powodu długiego przebywania na słońcu zemdlało 60 uczestników apelu.

FORUM

Asy z rękawa Schetyny

W PLATFORMIE WRZE po prezentacji list wyborczych Koalicji Obywatelskiej. Pominięci czują się konserwatyści, dawni europosłowie i działacze społeczni. Mają powody. Jeśli po nazwiskach z czołówek 41 list wyborczych wyciągać wnioski co do kierunku, w jakim Schetyna prowadzi partię, PO skręca na lewo. Choć lider nie chciał w koalicji SLD, namawia polityków lewicy na transfery. Doceniono Barbarę Nowacką (na zdjęciu), która jesienią związała się z PO – będzie „jedynką" w Gdyni. Katarzyna Piekarska będzie szósta w Warszawie. Niedawny szef kujawsko-pomorskiego SLD Ireneusz Nitkiewicz – czwarty w Bydgoszczy.

Wbrew zapowiedziom nie ma mowy o otwarciu na działaczy społecznych i samorządowców. A jeśli już, to z lewicy. Wieloletni prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc otworzy listę KO w swym mieście. A Riad Haidar, popularny na Lubelszczyźnie lekarz związany wcześniej z SLD, w Chełmie.

Pierwszy raz od lat żaden konserwatysta PO nie dostał „jedynki". Najwyżej jest Czesław Mroczek – „dwójka" w Siedlcach, jakieś „trójki", „czwórki", a nawet „szóstki", jak Ireneusz Raś w Krakowie. Owszem, jest jedna konserwatywna „jedynka" – tyle że to Paweł Kowal, b. polityk PiS; wystartuje w Krakowie. Nowalijki spoza politycznego światka to dziennikarz sportowy Tomasz Zimoch i brat zamordowanego prezydenta Gdańska Piotr Adamowicz.

W partii panuje przekonanie, że wystawienie politycznych nabytków na dobrych miejscach to przygotowanie Schetyny do wyborczej porażki – nowi ludzie w Sejmie będą mieć zbyt słabą pozycję, by zagrozić mu buntem po przegranej. Takie myślenie wzmacnia fakt, że wiele „jedynek" to wierni druhowie Schetyny.

Grupa znanych polityków PO, z którymi Schetynie nie po drodze, może trafić do Senatu. Chodzi głównie m.in. o byłych europosłów: Julię Piterę, Michała Boniego i Bogdana Zdrojewskiego.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Seria ataków w USA każe pytać o odpowiedzialność Trumpa

JAN SMOLEŃSKI Z NOWEGO JORKU

W ciągu minionego tygodnia doszło w Stanach Zjednoczonych do trzech masakr z użyciem broni palnej. W zamachach w Gilroy (Kalifornia) 28 lipca, El Paso (Teksas) 3 sierpnia oraz Dayton (Ohio) niecałe 24 godziny później – 251. tego rodzaju ataku w tym roku – zginęły w sumie 32 osoby. Rannych zostało co najmniej 60, ale dokładna liczba poszkodowanych, zwłaszcza w El Paso, jest nieznana, ponieważ tzw. nieudokumentowani imigranci mogą się bać zgłaszać do szpitali z powodu groźby deportacji.

Do zamachów doszło niedługo po rasistowskich tyradach prezydenta Donalda Trumpa na Twitterze i jego personalnych wycieczkach wobec oponentów należących do mniejszości rasowych. Kandydaci demokratów na prezydenta – senator Cory Booker oraz b. burmistrz El Paso i b. kongresmen Beto O'Rourke – właśnie retorykę Trumpa obarczyli odpowiedzialnością za ataki. Tymczasowy szef personelu Białego Domu Mick Mulvaney podkreślił, że sprawcy masakr to szaleńcy i ludzie chorzy, umniejszając tym rolę poglądów politycznych. Dodał, że obwinianie prezydenta jest „niesprawiedliwe". Sam Trump twierdzi, że rasistą nie jest, a Departament Sprawiedliwości pod jego rządami chce uznać blokującą demonstracje skrajnej prawicy Antifę za organizację terrorystyczną.

Tymczasem śledczy traktują zamach z El Paso przy granicy z Meksykiem jako akt tzw. terroryzmu wewnętrznego skierowanego przeciwko Latynosom. Choć podobnych wniosków nie wysnuto w przypadku masakry w Gilroy, anonimowe źródła potwierdzają, że w mieszkaniu sprawcy znaleziono rasistowskie materiały. Motyw mordercy z Dayton jak na razie jest nieznany, ale wiadomo, że sprawca był biały, a sześć z dziewięciu ofiar śmiertelnych to Afroamerykanie.

Dodatkowo w manifeście przypisywanym zamachowcowi z El Paso pojawia się stwierdzenie, że atak ma powstrzymać latynoską „inwazję" na Teksas i USA. Mianem „inwazji" Trump określił imigrację z Meksyku i Ameryki Środkowej. Faktem również jest, że liczba aktów przemocy na tle rasowym i wyznaniowym wzrosła od czasu wyboru Trumpa na prezydenta. Niezależnie od życzeniowego myślenia Trumpa zagrożeniem bezpieczeństwa w USA nie są migranci, tylko prawicowi ekstremiści, co potwierdzają nawet amerykańskie służby bezpieczeństwa. ©

REUTERS / FORUM

Po ataku w El Paso, Teksas, 3 sierpnia 2019 r.

Nie żyje Hamza bin Laden

PONAD OSIEM LAT po zabójstwie Osamy bin Ladena, założyciela Al-Kaidy, poinformowano, że w amerykańskim nalocie lotniczym zginął również jego syn Hamza, przygotowywany kiedyś do objęcia po ojcu przywództwa tej organizacji. Amerykanie podali jedynie, że zgładzono go w czasie pierwszych dwóch lat rządów prezydenta Donalda Trumpa, którego kadencja rozpoczęła się w styczniu 2017 r.

HANDOUT / FEDERATION FOR DEFENSE OF DEMOCRACIES / EAST NEWS

Około trzydziestoletni w chwili śmierci Hamza (na zdjęciu; fotografia niedatowana) był jeszcze dzieckiem, gdy widział ojca po raz ostatni. Jesienią 2001 r., spodziewając się odwetu Amerykanów za zamachy na Nowy Jork i Waszyngton, Osama odesłał rodzinę do Iranu. Sam ukrył się w skalistej twierdzy Tora Bora na afgańsko-pakistańskim pograniczu, które w latach 80. XX w., gdy na Afganistan najechała Armia Czerwona, stało się kolebką Al-Kaidy, kryjówką i obozowiskiem afgańskich partyzantów i ściągających im na pomoc dżihadystów. Wiele wskazuje na to, że właśnie tam, w kolebce Al-Kaidy, zginął Hamza, trafiony pociskiem z amerykańskiego drona. Niedaleko, w Abbottabadzie, w maju 2011 r. amerykańscy komandosi zabili jego ojca.

Po śmierci Osamy przywódcą Al-Kaidy został jego druh Ajman az-Zawahiri. Egipcjanin nie wyróżniał się jednak przywódczymi zdolnościami, a charyzmy nigdy nie było w nim za grosz. Pod jego komendą ścigana i dziesiątkowana przez Amerykanów Al-Kaida straciła przywództwo ruchu dżihadystycznego na rzecz młodszych i „nowocześniejszych" emirów samozwańczego Państwa Islamskiego. Hamza, choć nigdy nie walczył i niczym nie dowodził, dzięki legendzie ojca miał to przywództwo dla Al-Kaidy odzyskać.

Trump poczyta to sobie za zasługę, gdy w przyszłym roku stanie do wyborów, by walczyć o drugą kadencję. Zasługą ma być też wyplątanie Amerykanów z afgańskiej wojny, najdłuższej, jaką kiedykolwiek stoczyli. Ma to umożliwić pokój, jaki Trump chce zawrzeć z talibami – mimo iż w praktyce oznaczać to będzie ich powrót do władzy w Kabulu.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Polscy biskupi znaleźli wroga

PIOTR SIKORA

Erupcja przemocy wobec uczestników marszu równości w Białymstoku nie zrobiła wrażenia na niektórych polskich hierarchach. Biskup Mirosław Milewski podczas poświęcenia odnowionego obrazu Matki Boskiej Śnieżnej w Radzyminie 2 sierpnia modlił się o ochronę przed „chorą ideologią LGTB" i ocalenie „przed naporem półnagich ludzi na ulicach polskich miast, którzy pod hasłami o równości płci przekonują, że płeć można sobie wybrać czy zmienić w dowolnym momencie". I choć prosił też „o zachowanie naszych serc od nienawiści", jednocześnie powtarzał fałszywe informacje, jakoby autorzy plakatów z „tęczową Maryją" rozklejali je na toaletach i śmietnikach.

Jeszcze gorzej było dzień wcześniej w Krakowie. Arcybiskup Marek Jędraszewski w homilii w trakcie mszy św. z okazji 75. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego ogłosił nowinę o „tęczowej zarazie", która pojawiła się na naszej ziemi, a ma naturę taką samą jak komunistyczna „czerwona zaraza", niewoląca Polskę po II wojnie światowej. Kazanie dostało oklaski zgromadzonych w bazylice Mariackiej i liczne głosy poparcia w prawicowych mediach. Wzbudziło także zdecydowane głosy oburzenia i protesty – najbardziej wymownym ich świadectwem była milcząca demonstracja przed krakowską kurią.

Modlitw, w których ludzie posługujący się symbolem tęczowej flagi są przedstawieni w tak negatywnie wykrzywiony sposób, albo słów, których użył krakowski metropolita – kojarząc ich z zarazą i komunistycznym zniewoleniem, które zbierało tu swe krwawe żniwo – nie wygłasza się niewinnie. Ich konsekwencją będzie dalszy wzrost brutalności, wrogości i przemocy wobec osób LGBT+, a prawem rykoszetu liberalna część Polaków odpowie wrogością wobec kleru i Kościoła.

Ale nie tylko o światopoglądowy spór tu chodzi. „Nowina", którą głosili biskupi, niewiele ma wspólnego z Ewangelią. Jest bowiem nowiną o złu, które jakoby otacza katolików i zagraża ich tożsamości. I łatwo może prowadzić do walki z innymi ludźmi w poczuciu własnej czystości moralnej.

Jezus natomiast głosił, że nadchodzi dobro – „bliskie jest królowanie Boga". Owszem, nie pomijał negatywnych aspektów rzeczywistości, ale prowadził słuchaczy – „nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię" – do rozpoznania niedoskonałości w sobie, przezwyciężania własnego egoizmu i bezwarunkowej miłości każdego człowieka.

Sam wyrzekł się przemocy i umarł na krzyżu. ©℗

BARTOSZ STASZEWSKI / EAST NEWS

Przemoc wobec uczestników marszu równości w Białymstoku, 20 lipca 2019 r.

KS. WOJCIECH RZESZOWSKI

Czy seminaria będą puste?

ARTUR SPORNIAK: W Olsztynie po raz pierwszy do seminarium duchownego nikt się nie zgłosił. Czy to trwała tendencja?

ARCH. PRYWATNE

KS. WOJCIECH RZESZOWSKI: Trudno jest wyrokować na podstawie tylko jednego przypadku, tym bardziej że proces naboru trwa do września, a mamy dopiero początek sierpnia. Bywa też inaczej, np. u nas w Gnieźnie już zgłosiło się 11 kandydatów, czyli o kilku więcej niż w ostatnich latach.

Pracuje ksiądz w zespole przygotowującym nowy dokument programowy formacji kleryków. Czy macie pomysł na to, by powołania nie spadały?

Formacja księży musi prowadzić do pogłębiania ich duchowej tożsamości. Wierni coraz bardziej omijają księży, którzy swoje powołanie wypełniają zbyt rytualistycznie i powierzchownie. Nie wystarczy odprawianie tradycyjnych nabożeństw czy zaangażowanie społeczne. Kapłan o głębokiej duchowości będzie przyciągał ludzi niezależnie od toczących się wokół nas kryzysów. Psalmista mówi, że „głębia przyzywa głębię", a to, co rodzi się z Bożego ducha, zawsze będzie owocować.

Na jakim etapie jest ten dokument?

Jest już zredagowany i w tej chwili trwają konsultacje wewnętrzne z seminariami duchownymi, wydziałami teologicznymi oraz Komisją Duchowieństwa KEP. Naszym pragnieniem jest, by na jesiennym zebraniu plenarnym Episkopatu został przedstawiony biskupom. Nie chciałbym uprzedzać faktów, ale mogę zdradzić, że będzie to znacznie inne ujęcie niż obowiązujące dotychczas zasady formacji i studiów.

Kto przychodzi dzisiaj do seminariów?

Osoby różne, czasem uformowane i dojrzałe, a czasem nieco surowe, mające wiele dobrych pragnień, ale mniej doświadczenia duchowego. Noszą w sobie klimat współczesnego świata z całym jego bogactwem, ale i tym, co jest jego biedą. Wiele osób naznaczonych jest znamieniem „kultury chwili" czy konsekwencjami życia w świecie wirtualnym, który nie sprzyja przekazowi chrześcijańskiego systemu wartości. Wymaga to bardziej spersonalizowanej oraz pogłębionej formacji ludzkiej i duchowej. ©℗

KS. WOJCIECH RZESZOWSKI *jest dyrektorem Centrum Edukacyjno-Formacyjnego w Gnieźnie, byłym rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie oraz byłym przewodniczącym Konferencji Rektorów Wyższych Seminariów Duchownych.*

List bez szwów

MACIEJ MÜLLER

Postanowiłem do Was napisać list tak naprawdę bez jakiejś wyjątkowej okazji. Ot tak, po prostu, trochę jak w rodzinie, w której liczy się przecież rozmowa codzienna" – tak zaczął arcybiskup łódzki Grzegorz Ryś list na niedzielę 4 sierpnia. Tekst krążył po sieci, opatrzony komentarzami w stylu „nie do wiary, że to biskup napisał". Co prowadzi do przykrego wniosku, że coś, co powinno być oczywiste, w polskim Kościele jest nadzwyczajne: tak jak kardynał, który jeździ metrem, albo proboszcz, który w środku tygodnia wygłasza kazania.

Abp Ryś najpierw dokonuje egzegezy czytań. Tu znowu kamyczek do episkopalnego ogródka: element ten, niezbędny, aby list pasterski mógł pełnić funkcję homilii, na ogół pełni funkcję piątego koła u wozu, tak jakby Ewangelia stanowiła obciążenie dla „właściwej" treści. Dość wspomnieć niedawny apel o sierpniową abstynencję i sposób, w jaki jego autor przeszedł od analizy słów „Proście, a będzie wam dane" do omówienia głównego tematu. Szwy raziły, podobnie jak późniejszy zbiór ogólników, pozbawiony próby przyjrzenia się społecznym przyczynom alkoholizmu.

Metropolita łódzki tłumaczy, na czym polega Jezusowa krytyka gromadzenia bogactw (bohater przypowieści wpada w pułapkę egoizmu, zapominając i o bliźnich, i o perspektywie wieczności), następnie zachęca do udziału w synodzie pastoralnym, pielgrzymkach diecezjalnych, informuje o otwarciu Ekumenicznej Szkoły Biblijnej oraz Szkoły Katechistów, która ma kształcić liderów wspólnot parafialnych (także tych przygotowujących dzieci do komunii i młodzież do bierzmowania). „To ogromne pole pracy, zależy od niego niewątpliwie przyszłość naszego Łódzkiego Kościoła" – konstatuje abp Ryś. Innymi słowy: wezwał świeckich do odpowiedzialności za lokalny Kościół. ©℗

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARTA ZDZIEBORSKA, autorka korespondencji z granicy USA i Meksyku (s. 46), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 7 sierpnia, godz. 16.00

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg
93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZESZKODZIŁ ANTYSEMITYZM. Biskup angielskiej diecezji Nottingham odmówił rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego pisarza Gilberta Keitha Chestertona. Decyzję tę bp Peter Doyle ogłosił w liście do Amerykańskiego Towarzystwa Chestertonowskiego, tłumacząc trzema powodami: brakiem lokalnego kultu, niemożliwością określenia wzorca jego osobistej świętości, a także jego antysemityzmem. Chesterton (1874–1936) znany jest m.in. jako autor cyklu nowel detektywistycznych, których bohaterem jest ojciec Brown. W wieku 48 lat przeszedł z anglikanizmu na katolicyzm i stał się jego apologetą.

ZMARŁ KSIĄDZ GRAJĄCY KSIĘDZA. W wieku lat 90 zmarł ks. Kazimierz Orzechowski – duchowny i aktor, znany z roli księdza Leskiego w „Złotopolskich" (na zdjęciu kadr z serialu, obok Anna Milewska). W 1952 r. ukończył PWST w Łodzi, a 18 lat później przyjął święcenia kapłańskie. Grywał głównie postacie księży, m.in. w filmach Andrzeja Wajdy – „Panny z Wilka" i w „Człowieku z żelaza".

JACEK URBANIAK / TVP / PAP

CORAZ TŁUMNIEJ NA SZLAKU. W czerwcu do katedry w Santiago de Compostela dotarło 49 tys. pielgrzymów z całego świata, czyli aż o 45 proc. więcej w porównaniu z czerwcem 2010 r., kiedy w tym hiszpańskim mieście obchodzony był Rok Jakubowy. Władze Biura ds. Pielgrzymów z miejskiego ratusza wzrost liczby pątników tłumaczą rosnącą liczbą nowych tras pielgrzymkowych, ale wiadomo też, że na Szlaku Jakubowym pojawia się coraz więcej obcokrajowców.

AFP / EAST NEWS

Egipt: po zbrodni sprzed roku koptyjscy chrześcijanie reformują klasztory

PAPIEŻ TAWADROS II, przywódca Kościoła koptyjskiego, ponownie zezwolił klasztorom egipskim na przyjmowanie nowicjuszy. Wcześniej – przed rokiem, wkrótce po tym jak dwaj mnisi brutalnie zamordowali Anbę Epifaniusza, opata klasztoru św. Makarego w Wadi an-Natrun (starożytne Sketis) – obłożył klasztory surowymi restrykcjami.

29 lipca 2018 r. ciało Epifaniusza znaleziono w kałuży krwi. Przesłuchania wykazały, że w klasztorze trwał spór grupy przynajmniej sześciu zakonników z opatem o sprawy dotyczące pieniędzy i dyscypliny; podejrzenia wzbudził 34-letni były mnich Izajasz, na kilka dni przed morderstwem usunięty z Wadi an-Natrun za łamanie zasad. Izajasz przyznał się do zbrodni i wydał wspólnika, mnicha Filoteusza (na zdjęciu: jego proces). Obaj usiłowali potem popełnić samobójstwo, pierwszy pijąc środek owadobójczy, drugi rzucając się z dachu klasztoru; zostali odratowani. Sąd skazał ich na śmierć, przeciw czemu bezskutecznie protestowali biskupi.

Epifaniusz był ważną postacią Kościoła, doradcą Tawadrosa II. Podczas pogrzebu opata papież nakazał wszystkim duchownym likwidację kont w mediach społecznościowych: szybko pojawiły się głosy, że chciał przez to uniknąć wyjścia na jaw podziałów w łonie Kościoła. Papież tłumaczył, że aktywność w sieci sprzyja postawom egocentrycznym. Wkrótce pomnożył restrykcje, zakazując mnichom opuszczania klasztorów bez zezwolenia, ograniczając przyjmowanie pielgrzymów i wstrzymując przyjmowanie adeptów. Do wszystkich klasztorów rozesłał delegatów, którzy badali przestrzeganie reguł monastycznych. Po roku papież uznał, że reforma weszła w życie.

©℗ MACIEJ MÜLLER

KULTURA W SKRÓCIE

PISZĄ. „Wykopanie czegoś zapomnianego z polskiej historii i przeformułowanie tego w taki sposób, by wpisało się we współczesny kontekst, stało się znakiem rozpoznawczym Tokarczuk" – pisze o autorce „Biegunów" autorka szkicu na łamach „New Yorkera". Zdaniem Ruth Franklin pisarstwo Tokarczuk to mocny głos sprzeciwu wobec narastających w Polsce tendencji nacjonalistycznych; tę opinię potwierdzają słuchacze spotkania z pisarką na Pol'and'Rock Festival.

JEŻDŻĄ. Sezon festiwalowy w ogóle trwa w najlepsze. Do wydarzeń OFF Festivalu należały koncerty Pablopavo i Ludzików z Bardzo Dużym Zespołem oraz… Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk". Na Nowych Horyzontach nagrodzono kornwalijski film „Przynęta" (reż. Mark Jenkin), w ramach imprezy odbył się także koncert „Women Voices: Kobiety ratują planetę" z udziałem Edyty Bartosiewicz, Katarzyny Nosowskiej, Meli Koteluk, Julii Pietruchy i Pauliny Przybysz.

NAGRADZAJĄ. Inspirowany życiem i twórczością Ryszarda Kapuścińskiego „Jeszcze dzień życia" (reż. Damian Nenow i Raul de la Fuente) otrzymał główną nagrodę festiwalu Anima Mundi w São Paulo.

OGLĄDAJĄ. W telewizji rekordy oglądalności bije ukraiński serial „Uprowadzona", przez starszych telewidzów porównywany ze święcącą triumfy w PRL „Niewolnicą Isaurą". Nie wszyscy, jak widać, mają dostęp do platform cyfrowych z serialami. A może nie jest im potrzebny.

RDC POLSKIE RADIO **JAKUB MAJMUREK** opowie o serialu „Rok za rokiem" (s. 87) Grzegorzowi Chlaście w środę 7 sierpnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie

Falujący naleśnik Drogi Mlecznej

DZIĘKI BADANIOM polskich astronomów z Uniwersytetu Warszawskiego ujrzeliśmy właśnie z nową klarownością kształt naszej Galaktyki. Artykuł napisany pod kierownictwem dr. Doroty Skowron, który ukazał się w najnowszym numerze „Science", przedstawia trójwymiarową mapę Drogi Mlecznej opracowaną na podstawie położenia ponad 2 tys. gwiazd. Choć w skali galaktycznej nie jest to wielka próba, tu liczyła się jakość, a nie ilość danych. Analizowano wyłącznie gwiazdy zmienne zwane klasycznymi cefeidami, których odległość od nas można ustalić z najwyższą dokładnością (a nie jest to proste – biały punkcik na niebie nie mówi nam przecież wprost, w jakiej odległości się znajduje). Po rozmieszczeniu w przestrzeni 2431 cefeid naukowcom ukazał się subtelnie wygięty dysk naszej Galaktyki, która nie ma kształtu płaskiego talerza – przypomina raczej falujący po podrzuceniu naleśnik. Dało się też dostrzec grupy bliskich gwiazdowych kuzynów, powstałych wiele milionów lat temu w tym samym ramieniu Galaktyki. To wszystko bezcenne wskazówki, które pozwalają nam odczytać dzieje Drogi Mlecznej, a więc naszego układu planetarnego – i nas samych.

© ŁUKASZ LAMŻA

CHIMPHAVEN.ORG

Żegnaj, Sarah Anne

NA STAROŚĆ NAJBARDZIEJ LUBIŁA owijać się kocem i leżeć. Od dawna lubiła też róże. W dzieciństwie była porywcza i wymagająca. Urodziła się w afrykańskiej dżungli, ale miała około trzech lat, gdy w 1964 r. trafiła do laboratorium na Uniwersytecie Missouri. Sypiała w kołysce, z której zdążyły wyrosnąć dzieci psychologów i jej opiekunów Davida i Ann Premacków. Była pierwszą małpą na świecie, która nauczyła się sztucznego języka.

Premackowie nie chcieli wychować Sarah na człowieka, niczym badacze z pierwszej połowy XX w. Sprowadzali ją czasem do domu, by pobawiła się z ich dziećmi, psem i pooglądała telewizję, ale na co dzień mieszkała na kampusie. Miała pięć lat, gdy zaczęła edukację. Jej system komunikacji opierał się na układaniu ciągów kolorowych żetonów, z których każdy odpowiadał jakiemuś słowu. Nauka pierwszych pojęć wymagała setek powtórzeń. Szczególne trudności miała z czasownikiem „dawać" – potrafiła go użyć, gdy sama miała coś dostać, ale żeby ułożyła zdanie „Mary dać jabłko Gussie", trzeba ją było przekupić czekoladą. Musiała być jednak uzdolniona – Gussie, jej towarzyszka ze szkolnej ławki, nie nauczyła się nigdy żadnego słowa, Sarah posługiwała się ponad setką.

Brała też udział w pionierskich eksperymentach Premacków, w których poprawnie odpowiadała, jak człowiek pokazany na filmie powinien rozwiązać problem, przed którym stał (np. używając klucza, młotka, kija). Miało to dowodzić, że rozumie cudze intencje i pragnienia – czyli posiada teorię umysłu. Od 2006 r. mieszkała w rezerwacie Chimp Haven w Luizjanie – domu spokojnej starości dla szympansów uczestniczących w rozmaitych badaniach naukowych. Zmarła 29 lipca.

© ŁK

Implanty przyszłości mogą być zasilane... dźwiękiem

CHIRURGICZNIE WSZCZEPIANE urządzenia – takie jak rozruszniki pracy serca, neurostymulatory czy implanty do kontrolowanego uwalniania leków – są rozpowszechnione w medycynie, ale ciągle nie ma idealnego sposobu na zapewnienie im długiego zasilania. Po wyczerpaniu baterii elektronicznych implantów pacjenci najczęściej muszą przechodzić kolejną operację. Od jakiegoś czasu eksperymentuje się jednak z nowym, bezinwazyjnym sposobem ładowania baterii – z wykorzystaniem ultradźwięków, aplikowanych z zewnątrz ciała pacjenta. Zespół koreańskich naukowców pod kierunkiem profesora Sang-Woo Kima z Uniwersytetu Sungkyunkwan właśnie opisał na łamach „Science" prototyp nowego urządzenia tego rodzaju.

Jego działanie opiera się na cienkiej, elastycznej membranie, wszczepianej pod skórę, która pod wpływem aplikowanych z zewnątrz ultradźwięków wibruje i uderza w miedzianą elektrodę. W procesie tym generowana jest energia elektryczna, gromadzona w zwyczajnej, litowo-jonowej baterii. Testy urządzenia przeprowadzono w sztucznym środowisku i na tkankach świni, ale wydaje się, że u człowieka również wszystko powinno zadziałać. © ŁK

LICZBA TYGODNIA

858

patentów związanych z modyfikacją genetyczną za pomocą nowatorskiej metody CRISPR zarejestrowano w ostatnim czasie w Chinach. USA mogą poszczycić się nieco większą liczbą (na całą Europę przypadło ich zaledwie 186), ale to Chiny notują najbardziej dynamiczny wzrost patentów, publikacji i cytowań w tej dziedzinie nauki. Metoda CRISPR znajduje szerokie zastosowania w medycynie, rolnictwie i przemyśle.

RUSSIAN FEDERATION SERVICE AVIATION FOREST PROTECTION / EAPA / PAP

Pożar lasu w Kraju Krasnojarskim, 1 sierpnia 2019 r.

Ogień strawił miliard drzew w rosyjskiej tajdze

ANNA ŁABUSZEWSKA

W Rosji płoną zielone płuca Eurazji, czyli syberyjska tajga. O tej porze roku zdarzają się tam pożary. Nie gasi się ich, jeśli nie zagrażają infrastrukturze. Koszt akcji gaśniczej jest tak duży, że władze regionalne, na których spoczywa obowiązek walki z ogniem, nie podejmują wysiłku. Pożary wygasają pod koniec lata po deszczach.

W tym roku jest jednak inaczej. Pożary objęły teren o powierzchni 4 mln hektarów – w sercu tajgi wypala się ogromna dziura wielkości Szwajcarii. Ogień pochłania unikatowe ekosystemy. Według szacunków organizacji Greenpeace zagładzie uległo około miliarda drzew, zginęły zwierzęta, ptaki, owady. Odtworzenie tkanki biologicznej – o ile nastąpi – potrwa co najmniej 60 lat. Co gorsza, pożary w Rosji to tylko część szerszego zjawiska: płoną też wielkie obszary leśne w Kanadzie i na Alasce, wysuszone ostatnimi anomalnymi upałami. Ekolodzy określają skalę pożarów jako „zatrważającą", wskazują, że niekorzystne zmiany klimatyczne zwiększają ryzyko apokaliptycznych pożarów, a także powodzi.

W ubiegłych latach dym z pożerających tajgę pożarów wiatry niosły na wschód, gdzie jest mało ośrodków zamieszkanych przez ludzi. W tym roku dymy zniosło na zachód – dotarły do miast na Uralu, a nawet nad Powołże. Podniósł się szum, zaistniało bowiem zagrożenie dla zdrowia i życia ludzi. Mieszkańcy zagrożonych terenów głośno zaczęli się domagać interwencji na szczeblu najwyższych władz. Do Władimira Putina zadzwonił Donald Trump z ofertą pomocy przy gaszeniu tajgi. Rosyjski prezydent podziękował, niemniej po tej rozmowie przystąpiono wreszcie do zrzucania wody z samolotów nad płonącymi lasami, a państwowa telewizja – dotychczas pomijająca temat milczeniem – zaczęła relacjonować akcję gaśniczą i uzasadniać jej potrzebę.

Tymczasem mieszkańcy obwodu irkuckiego na południu Syberii zmagają się z kolejną falą powodziową. Skala powodzi jest równie niepokojąca jak skala pożarów tajgi. Zagrożeniem jest też obserwowane odmarzanie wiecznej zmarzliny w północnej części Syberii.

Na skutek pożarów do atmosfery dostają się setki milionów ton dwutlenku węgla. Jeśli nawet uda się w tym roku ugasić tragiczne pożary, to problem reagowania na nasilające się skutki fatalnych zmian klimatycznych pozostanie. Nad tajgą zawisło złowrogie pytanie, czy niewydolny rosyjski system polityczno-ekonomiczny będzie w stanie poradzić sobie z narastającym wyzwaniem. ©

TEMAT TYGODNIKA

MILCZENIE WĘDROWCÓW

O. MACIEJ BISKUP, DOMINIKANIN:

Kiedy próbujemy komunikować się z Bogiem językiem pobożnym, możemy zgubić nasze realne doświadczenia. Lepiej iść w ciszy, niech ona przemówi.

ZDJĘCIA YAREK BARANIK Z DROGI DO SANTIAGO DE COMPOSTELA

MACIEJ MÜLLER: Co jest u celu pielgrzymki?

MACIEJ BISKUP OP: Nie idzie się dokądś, tylko do kogoś. Modlitwa Pańska, której uczył Jezus, nie zawiera wprawdzie słowa „pielgrzymka", ale ona ma charakter drogi. Już pierwsze sformułowanie: „Ojcze", ukierunkowuje. „Zabiorę się i pójdę do ojca mojego" – mówi syn marnotrawny. Nawrócenie w rozumieniu biblijnym nie ma pierwotnie charakteru moralnego, dostosowania się do czegoś, ale charakter powracania – zwracania swojego oblicza ku Innemu.

W Polsce pielgrzymujemy raczej nie do Ojca, tylko do Matki.

Tak, ale to nie ona jest osobą, do której ostatecznie idziemy – na Jasnej Górze dzięki pośrednictwu Maryi spotykamy Boga. Dzięki niej dokonuje się Objawienie Jezusa w Kanie Galilejskiej; Maryja uczy uważności na Słowo, można powiedzieć: pielgrzymowania wewnętrznego. Podczas wesela z pewnością nie stoi z boku, bawi się, ale ani na chwilę nie traci zmysłu kontemplacyjnego. Dlatego potrafi rozpoznać moment działania Słowa. Jest Żydówką żyjącą słowami Księgi Powtórzonego Prawa: „Słuchaj, Izraelu". Te słowa znaczą tyle, co: wyrusz, nasłuchuj, bądź uważny.

Dlaczego pielgrzymujemy do obrazu, grobu czy posągu, skoro w kościele za rogiem mamy Boga we własnej osobie, w postaci eucharystycznej?

Sprawuję eucharystię codziennie, więc mógłbym powiedzieć, że nie jest mi obce pielgrzymowanie w znaczeniu duchowym i metafizycznym. A jednak nie da się oddzielić pielgrzymowania duchowego od fizycznego, bo ono jest związane z naszą naturą. Człowiek jest wędrowcem.

Powtórzę: to eucharystia jest szczytem. Po co nam inne formy pobożności?

Inny jest trud uczestnictwa w mszy raz w tygodniu, a inny w pielgrzymce. Podróżując pieszo, przeżywamy innego rodzaju oczyszczenie, bo dotykamy czegoś najgłębszego. Pielgrzymowanie, jak powiedzieliśmy, jest relacyjne, skierowane do kogoś innego – ale tym innym jest też drugi człowiek. Oblicze Boga widnieje w braciach i siostrach, z którymi wędruję.

Niedawno przez kilkanaście dni szedłem do Santiago de Compostela razem z moim współbratem: zatrzymywaliśmy się na tych samych noclegach, wspólnie jedliśmy i się modliliśmy. I mimo że się szanujemy, lubimy i rozumiemy, byliśmy sobą zmęczeni. To pokazuje, jakim trudem jest pielgrzymowanie do drugiego człowieka. W watykańskim dokumencie „Kontemplujcie. Do osób konsekrowanych o śladach Piękna", w którym w ogóle dużo jest o pielgrzymowaniu, znalazłem piękny fragment: „Ten, kto kocha, jest owładnięty pewnym dynamizmem, doświadcza paschalnego charakteru egzystencji, przyjmując ryzyko wyjścia z siebie, aby dotrzeć do drugiego – nie tylko w przestrzeni zewnętrznej, ale także w wymiarze wewnętrznym – i odkrywa, że jego własnym dobrem jest zamieszkiwanie w drugim i przyjęcie go do siebie".

Msza też ma wymiar wspólnotowy.

Tak, i nawet jeśli celebruję ją sam, to ze świadomością że ona ogarnia innych.

Pielgrzymowanie do Santiago było mi potrzebne, żeby jeszcze głębiej odkryć liturgię. Do tego jest potrzebne wytrącenie z codzienności, z rutyny. Dopiero wtedy widzę, że eucharystia nie jest czymś, co mi się należy, że wcale nie złapałem Pana Boga za rękę. Wędrowanie wiąże się z tym, że nigdy nie będziemy posiadać tego, do kogo wędrujemy. To raczej On nas posiada. Bóg jest zawsze poza mną, nawet jeżeli Go dotykam w tajemnicy przemienienia. Nawet jeżeli jestem ochrzczony, powinienem zachować mentalność katechumena, który jest dopiero ↦

↦ w drodze do tajemnicy. Wspomniany watykański dokument przypomina słowa św. Augustyna „*Si comprehendis, non est Deus*" („Jeśli Go pojmujesz, to znaczy, że nie jest Bogiem") i wyjaśnia: „Kategoria poszukiwania zachowuje dystans między stworzeniem poszukującym a Stwórcą".

Co się dzieje w drodze?

Doświadczamy w niej tego, co bardzo ludzkie: zmęczenia, zniechęcenia, bólu nóg, głodu, poczucia nieświeżości. Droga oczyszcza, budzi pragnienie Pana Boga i drugiego człowieka. Wędrowanie z innym uświadamia, jak bardzo jestem na niego zamknięty, skupiony na drobiazgach: gdzie zjemy kolację, gdzie przenocujemy, kto zajmie łóżko, jeśli w schronisku będzie tylko jedno. Tego wszystkiego o sobie nie wiemy, żyjąc w warunkach pełnych udogodnień. W klasztorze, kiedy się zmęczę bratem, idę do swojej celi; w drodze nie mam dokąd uciec. Pielgrzymowanie jest do Boga, ale Bóg przemawia też przeze mnie. Odkrywam Go, odkrywając samego siebie. To dlatego ojcowie pustyni mówili, że poznać siebie znaczy więcej, niż wskrzeszać umarłych. Łatwiej dokonać wielkich czynów, niż skonfrontować się z samym sobą. Trud drogi jest do tego okazją.

Kiedy droga staje się pielgrzymką?

Ludziom idącym do Santiago towarzyszyły bardzo różne pobudki. U tych obdarzonych łaską wiary motyw religijny był oczywisty. Ale spotkałem też Belga, filozofa, który nie był chrześcijaninem w klasycznym rozumieniu tego słowa, nie mógłbym jednak powiedzieć, że to niewierzący. Dla niego ta droga też miała wymiar sakralny: nadaje go chęć wyruszenia poza siebie samego. Religia rodzi się z tego, że szukamy dalszej perspektywy niż nasze doświadczenie tutaj. To już jest refleksja metafizyczna – że jest coś więcej, coś poza mną. Ktoś wyruszający w nieznane w przekonaniu, że tkwienie w codzienności jest niewystarczające, ma w sobie coś z Abrahama. On poszedł za tajemniczym głosem nieznanego Boga, który kazał mu wyjść z miejsca zamieszkania. Początkiem drogi jest więc niepokój. Pisał o nim Gabriel Marcel w „Homo viator": „Skoro człowiek jest z istoty swej pielgrzymem, to znaczy, że podąża do celu, który, można by rzec, widzi i którego jednocześnie – przeciwnie – nie widzi. Ale wewnętrznym bodźcem do tego marszu naprzód jest właśnie niepokój. Człowiek nie może pozbyć się tej ostrogi, chyba że zostanie unieruchomiony lub umrze".

Na poprzednich stronach:
KATJA MÜLLER *z Niemiec, wrzesień 2015 r. Sobrado dos Monxes, na trasie Camino del Norte: – Chciałabym zabrać ze sobą to uczucie Camino, aby towarzyszyło mi w codziennym życiu.*

MICHAŁ NIEDZIELSKI DLA „TP"

Ojcowie pustyni mówili, że poznać siebie to więcej niż wskrzeszać umarłych. Łatwiej dokonać wielkich czynów niż skonfrontować się z samym sobą. **Trud drogi** jest do tego okazją.

MACIEJ BISKUP (ur. 1972) jest dominikaninem. Były przeor klasztoru w Szczecinie, dziś mieszka w Łodzi. Doktor teologii, wykładowca Studium Chrześcijańskiego Wschodu w Warszawie, zaangażowany w dialog ekumeniczny i dialog z judaizmem oraz w pomoc uchodźcom.

A kategoria miary? Czy mieszkając w Krakowie można pójść z pielgrzymką do grobu św. Stanisława?

W sensie potocznym tak. Ale pielgrzymka, o której tu mówimy, musi być związana z trudem, porzuceniem codziennego bezpieczeństwa – z przejściem wielu kilometrów w złej pogodzie, poszukiwaniem noclegu, zmaganiem się z ograniczeniami.

Paweł VI powiedział: „Kościół ma podwójne życie, jedno w czasie, w którym teraz się znajdujemy, drugie – poza czasem, w wieczności, do której zmierza nasze pielgrzymowanie". Pielgrzym przechodzi przez śmierć?

Dodałbym do tej myśli zdanie z Balthasara: chrześcijanin wie, dokąd idzie, ale nie wie, jak przyjdzie mu iść. Wiemy, dokąd pielgrzymujemy, ale trud związany jest z niewiadomymi tej drogi. Wśród nich jest doświadczenie śmierci. W miejscu zamieszkania reguły są znane, wiadomo, jak się poruszać. Pielgrzymowanie budzi lęk przed tym, co nowe.

Śmierć też polega na pozostawieniu tego, co daje poczucie bezpieczeństwa tu i teraz. Pielgrzymka może być ikoną tego ostatecznego przejścia, które się dokona, czy tego chcemy, czy nie. To najtrudniejszy moment pielgrzymowania.

Przejście pielgrzymki pozwoli mniej bać się śmierci?

Jak mówił o. Jan Andrzej Kłoczowski, my się nie boimy śmierci, tylko naszych wyobrażeń o niej. W drodze narasta tęsknota za Bogiem... i ona humanizuje mój lęk, cywilizuje go, ujarzmia. Więc chyba tak – jako pielgrzym mniej boję się śmierci, bo wiem, że ona musi nastąpić. W końcu już chrzest jest zanurzeniem się w śmierć Chrystusa. Konfrontację z tematem śmierci pięknie pokazał film „Droga życia". To historia o ojcu pielgrzymującym do Santiago w imieniu zmarłego syna, który zginął na początku Camino w Pirenejach.

Czy w pielgrzymowaniu jest coś z naśladowania Chrystusa?

Z pewnością, bo Jezus jest nieustannie w drodze, a według Jego własnych słów „lisy mają nory i ptaki powietrzne gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć" (Łk 9, 58). Ewangelia Jana cała jest napisana w kluczu pielgrzymki Jezusa na święto Paschy. Ale ta droga ma wymiar przede wszystkim duchowy: Jezus jest Sy-

nem, który zmierza w stronę Ojca. Uczy Modlitwy Pańskiej, której każda prośba jest ukierunkowana na Ojca. Ojcze, bądź wola Twoja, Ojcze, niech przyjdzie Twoje królestwo, Ojcze, daj nam chleba (czyli ufamy, że troszczysz się o nas), Ojcze, daj nam łaskę przebaczenia, bo jesteś miłością, Ojcze, uchroń nas od tego, byśmy ulegli pokusie.

Swoją drogę apostolską Jezus zaczyna nie od spektakularnych uzdrowień, tylko od pójścia na pustynię. Od tego, co najtrudniejsze: spotkania z sobą, z pokusami, z wszystkim, co może Go odwieść od Ojca, od złożenia ofiary z siebie dla Niego i dla nas. Benedykt XVI w książce „Bóg Jezusa Chrystusa" napisał, że nazywamy Jezusa Panem i Królem, ale Jego właściwe imię to Syn, czyli dziecko. Każdy, kto rodzi się z Jezusa, odkrywa je w sobie. Innymi słowy: pielgrzymuję ku sobie, żeby odkryć, że jestem dzieckiem, zatęsknić za Ojcem, a u kresu wędrówki usłyszeć od Niego: „Dziecko, wszystko moje do ciebie należy". Jezus wie, że jest Synem i tylko dlatego może wytrwać w drodze. Podobnie my – poradzimy sobie tylko jako dzieci idące do Ojca. Tu nie chodzi o udowodnienie sobie, że dam radę o własnych siłach. Siłą jest odkrycie własnej słabości i powierzenie się opiece Boga.

PATRICIA GERARD *z Francji na trasie Camino Primitivo, pod Albergue el Texu, sierpień 2016 r.: – Na Camino przyciągnęło mnie pragnienie pogłębienia związku z naturą.*

Jezus przemieniał wszystko, co czynił podczas ziemskiego życia. W jaki sposób przemienił dobrze znane Żydom pielgrzymowanie?

Jezus był po prostu ortodoksyjnym żydem, który szedł do Jerozolimy na święta. Ale Żydzi pielgrzymowali w kierunku Nieznanego, którego imienia nie wolno wypowiedzieć – a On uczył, że można, i że to imię brzmi „Ojciec". Swoim pielgrzymowaniem w większym stopniu odsłonił oblicze Boga. Boskie imię Jestem, który Jestem (IHWH) wypowiedział poprzez swoją tożsamość. Tych hebrajskich słów nie można rozumieć po prostu jako „istnieję" ani jako filozoficznego określenia bytu doskonałego. One oznaczają: jestem dla ciebie, jestem w relacji do ciebie. To wyraża Bożą wierność wobec człowieka aż do końca, poprzez wcielenie, śmierć i zmartwychwstanie. Jezus swoim pielgrzymowaniem objawił, że Bóg jest przy nas.

Bóg „jako pierwszy nas szukał, wzywał, kochał, budząc pragnienie naszego serca" – czytamy w dokumencie „Kontemplujcie". Bóg woła: „Adamie, gdzie jesteś" i wyrusza jako pierwszy na pielgrzymkę w kierunku człowieka. To poszukiwanie człowieka przez Boga zintensyfikowało się w Chrystusie. Jak większość żydów, chodził do Jerozolimy najdłuższą drogą, przez Jerycho, bo droga przez Samarię była niebezpieczna. Jerozolima jest wysoko, blisko Boga, Jerycho symbolizuje wartości odwrotne – jest blisko Morza Martwego, czyli tam, gdzie nie ma życia. Niedaleko jest pustynia i Góra Kuszenia. To symbol tego, jak Jezus idzie do Ojca przez meandry ludzkiego doświadczenia. Ta droga wydłuża się niemiłosiernie dla Niego, ale miłosiernie dla nas. Psalm 139 mówi: „Jeśli wstąpię do nieba, Ty tam jesteś, jesteś przy mnie, gdy położę się w Otchłani". Bóg szuka nas także pośród największych ciemności. Pielgrzymuje do tego, co jest w nas najbardziej Mu obce.

Zawsze myślałem, że Bóg woła Adama, żeby go ukarać.

Nie, te słowa znaczą raczej: nie chowaj się, nie zamykaj się w sobie. Grzech się wydarzył, ale ostatnie słowo nie należy do zła. Chcę się z tobą spotkać.

Bóg nie uznaje cichych dni. Ciągle mówi do człowieka. To pierwsze słowa Dobrej Nowiny: Bóg nie zostawia człowieka w grzechu, tylko wyrusza, by go ocalić. Bo to, co najbardziej destrukcyjne w grzechu, to nie on sam, ale powstające pod jego wpływem zniechęcenie, smutek, niewiara, zwątpienie, poczucie determinizmu, że to się musiało wydarzyć, że to koniec. Bóg, który wyrusza w kierunku człowieka, pokazuje perspektywę nadziei. Ten entuzjazm Boga-pielgrzyma widzę w sakramencie pojednania. Jezus mówi: odpuszczam ci grzechy, idź w pokoju. Czyli: wierzę, że możesz wyruszyć w dalszą drogę.

Pielgrzymować można samotnie, ale w Polsce robi się to raczej w grupie. Jest wiele konferencji, świadectw, tańca i śpiewów. Dariusz Kosiński w tekście obok dowodzi, że w ten sposób tracimy coś ważnego.

W pielgrzymowaniu w grupie, chociaż jest trud drogi, może brakować czasu na konfrontację z własnymi myślami. Ale jednak coś się zmienia, bo np. w pielgrzymce dominikańskiej z Krakowa na Jasną Górę już od 20 lat idzie grupa ciszy (od jakiegoś czasu dwie). We mnie od lat rosło pragnienie, żeby pójść w ciszy do Santiago. Tym bardziej że bycie dominikaninem oznacza aktywność duszpasterską, a duszpasterzowanie (jak na razie) daje silne, złudne poczucie bezpieczeństwa – bo jest tylu słuchających... Pielgrzymka poszerza perspektywę.

Co cisza daje religijności?

W naszej cywilizacji wszystko jest przegadane, w religijności też jest za dużo ↦

słów, szczególnie moralizatorskich. Pobożność może być przeżywana niezdrowo i służyć jako ucieczka przed Bogiem żywym i przed samym sobą. Szuka się szybkich rozwiązań: pójdę do egzorcysty i pozbędę się problemu z grzechem, ze złem, nie będę musiał wybierać. Cisza czyni wiarę głębszą, prawdziwszą.

Często próbujemy komunikować się z Bogiem językiem pobożnym, ale niedotykającym naszego realnego doświadczenia. Jezus mówi: nie bądźcie na modlitwie gadatliwi jak poganie. Nie możemy uciekać w pobożność przed sobą. Dlatego tak ważne jest doświadczenie kontemplacyjne: modlitwa w ciszy, medytacja. Bombardowani słowami i obrazami, potrzebujemy minimalizmu w wyrazie wiary. Trzeba wręcz ograniczyć szukanie – bo są tacy, którzy jeśli nie idą w pielgrzymce, to są na rekolekcjach albo przeczesują YouTube'a w poszukiwaniu kolejnych konferencji; żyją na ciągłym religijnym haju. Żeby doświadczyć oczyszczenia, trzeba to zostawić.

Od wieków pielgrzymi na ogół modlili się o uzdrowienie, przynosili do grobów świętych rozmaite wota, o mniejszej lub większej wartości materialnej. Historycy zwracają uwagę, że łatwo rodziło to mentalność typu „do ut des" – daję, abyś dał. Jak pielgrzymować z intencją, żeby trud nie stanowił zapłaty za cud? I żeby nie doznać zawodu, jeśli prośba nie zostanie wysłuchana?

Może się wręcz okazać, że przeżywamy ostatnie dni życia i wtedy kluczowe jest raczej odkrycie, że ono nie jest celem samym w sobie, jest nim natomiast Bóg. Zresztą nawet odzyskane zdrowie kiedyś by się skończyło. Trzeba będzie tak czy inaczej przejść przez śmierć i być gotowym na spotkanie z Bogiem.

Jeśli pielgrzymuję nie po coś, tylko ze względu na Kogoś, już podczas drogi osiągam cel. Bo tęsknota już jest pewnym rodzajem bycia z osobą, której mi brakuje.

Ważne, by każdą modlitwę prośby kończyć dziękczynieniem. Modlitwę wiernych podczas mszy lubię zamykać wezwaniem: „Panie Boże, dziękuję Ci, że już nas wysłuchałeś, daj mi rozpoznać swoją hojność, otworzyć się na nią i podzielić się z innymi". Chodzi o to, żeby już w momencie prośby trwać we wdzięczności. Bo to, co najcenniejsze – samego Boga – już otrzymałem. Większego daru nie będę miał. Dla dziecka najważniejsze nie jest odkrycie, że od rodziców może coś dostać, tylko że dają mu bezpieczeństwo. Traktowanie Boga jak świętego Mikołaja to zaprzeczenie ducha pielgrzyma. Podobnie przeżywanie Kościoła na zasadzie, że Jezus jest nam potrzebny dla pilnowania wyznaczonego przez nas *status quo* cywilizacji chrześcijańskiej – to przedmiotowe traktowanie Boga.

Pielgrzymka się skończy. Jak utrzymać w codzienności to, co zdobyliśmy w drodze?

Najważniejsza jest wdzięczność. Niewdzięczność jest brakiem pamięci. Podoba mi się perspektywa żydowska – przeżywanie co roku Paschy i co tydzień szabatu. Nasze biodra są przepasane, jesteśmy w drodze, ale pamiętamy o tym, co się wydarzyło – że Bóg jest obecny w naszej historii i nas nie zostawia. Chrześcijanin też z jednej strony jest w drodze, z drugiej – zadomowiony w Bogu. Zadomowieniem w czasie pielgrzymowania jest wykonywany codziennie znak krzyża. Pielgrzymujemy do Trójcy i dopiero odkryjemy, co to znaczy żyć w Bogu, ale jednocześnie jakoś już trwamy w tym doświadczeniu, bo zostaliśmy ochrzczeni w imię Ojca, Syna i Ducha.

Życie nie daje pewności co do zadomowienia: w jednym miejscu nas przyjmą lepiej, w innym gorzej, tu nas docenią, tam niekoniecznie. Ale w znaku krzyża chrześcijanin jest u siebie, przyjęty i kochany; w nim odkrywa, że jest dzieckiem. Pięknie pokazują to „Opowieści pielgrzyma", klasyka literatury duchowej Wschodu. Pielgrzym jest całe życie w drodze, ale jego domem jest modlitwa nieustanna – czyli pamięć o tym, że Chrystus już za niego umarł i zmartwychwstał, więc on już jest odkupiony i zbawiony. Nawet jeśli upada w grzech, w Chrystusie jest zwycięzcą.

Kiedy doszedłem do Santiago, byłem w pewnym sensie rozgoryczony, że to koniec. Ale dalsza droga musi odbywać się już w codzienności.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Idzie Kościół i naród

DARIUSZ KOSIŃSKI

W polskich pielgrzymkach dominują formy zbiorowe, w których przeważa konwencjonalna zabawa. Nie o dramat osobistej przemiany chodzi, lecz o proces wytwarzania się wspólnoty.

10 LIPCA W SIEDZIBIE EPISKOPATU odbyła się konferencja prasowa. Sekretarz KEP, bp Artur Miziński, wygłosił w jej trakcie kilka fraz, które od lat pojawiają się w okołosierpniowej katechetyce. „Całe życie chrześcijanina jest jedną wielką pielgrzymką", a jako „Kościół także jesteśmy ludem pielgrzymującym" – mówił.

Jak co roku towarzyszyły temu informacje, że polskie pielgrzymowanie to szczególny fenomen kulturowy, co poprzeć można rzeczywiście imponującą liczbą ok. 7 mln Polaków odwiedzających różne miejsca kultu, 4,3 mln pielgrzymów przybywających rocznie na Jasną Górę oraz (to może w kontekście tego tekstu liczba najważniejsza) 255 pieszych pielgrzymek, które w 2018 r. dotarły do częstochowskiego sanktuarium.

Pielgrzymki nie są jednak praktyką szczególnie chrześcijańską. Chrześcijaństwo nigdy nie sformułowało nakazu podobnego do tego, jaki obowiązuje w islamie, który wymaga od wiernych, by choć raz w życiu nawiedzili Mekkę. Przez długi czas pielgrzymki były przede wszystkim formą pokuty, dziękczynienia lub zobowiązaniem podjętym w zamian za otrzymanie szczególnych łask. O ich wartości decydowała właśnie ta szczególność, niepowszechność. Chrześcijanin może i był pielgrzymem życia, ale ucieleśniał tę metaforę raczej rzadko.

Ciało i cel

Tymczasem pielgrzymka to przede wszystkim praktyka ucieleśniona. Już w pierwszym zdaniu hasła „Pielgrzymki"

z „Encyclopedia of Religious Rites, Rituals and Festivals" czytamy, że „pielgrzymi ruszają w drogę, by osiągnąć stan wcielenia wartości sakralnych lub wysoko przez siebie cenionych". Osiąga się go poprzez wystawienie ciała na próbę, a nawet jego swoiste „zniszczenie", zanegowanie codziennych reguł, nawyków i ograniczeń. Podstawowym wehikułem doświadczenia pielgrzymki jest więc ciało, niejako „niszczone" poprzez niezwykły wysiłek fizyczny i dzięki temu otwierające się na wartości pozacodzienne. Dlatego nazywanie „pielgrzymką" wyprawy do miejsc kultu odbywanej przy pomocy środków transportu nieangażujących ciała w długotrwały wysiłek nie wydaje mi się do końca uprawnione.

Oczywiście do pewnego stopnia uzasadnia je drugi filar pielgrzymki: jej szczególny cel, który stanowi materialny i symboliczny znak wartości, dla których rusza się w drogę.

To właśnie dążenie do wcielenia czegoś, co jest zlokalizowanym, a często też upostaciowanym w szczególnym wizerunku (obrazie, figurze) zespołem wartości lub wprost – świętością, pozwala odróżnić pielgrzymkę od innych rodzajów wypraw. Szczególnie od często z nią mylonego wędrowania jako sposobu życia polegającego na nieustającym poszukiwaniu siebie, przy jednoczesnym otwarciu na to, że „się" zaistnieć może tylko w drodze (jak u Edwarda Stachury: „Się szło"). Pielgrzym też idzie, ale nie idzie „się" – idzie do, wierząc, że u celu odnajdzie coś więcej niż siebie.

Powiedzieć więc można, że pielgrzymka jest szczególnego typu cielesną praktyką dramatyczną, w której okazywane publicznie działanie fizyczne służy wcieleniu wysoko cenionych wartości, „zamieszkiwanych" przez cel, do którego się zmierza.

W kontekście chrześcijaństwa, religii Boga, który stał się człowiekiem, ten dramatyczny charakter pielgrzymowania zostaje uzupełniony o modelowy scenariusz. Mówił o nim w „Liście o pielgrzymowaniu do miejsc związanych z historią zbawienia" Jan Paweł II: „Przejście w duchu modlitwy z jednego miejsca czy miasta do drugiego, poprzez przestrzeń w szczególny sposób naznaczoną Bożym działaniem, nie tylko pomaga nam przeżywać nasze życie jako wędrówkę, ale ukazuje nam plastyczny obraz Boga, który poprzedza nas i idzie przed nami, który sam podjął wędrówkę drogami człowieka i nie spogląda na nas z wysoka, ale stał się naszym towarzyszem drogi".

DARIA BARANIK *z Polski, pod areną walk byków w Pamplonie, na trasie Camino Frances, luty 2016 r.: – Camino to dla mnie chwila ciszy w zgiełku pędzącego świata.*

W tym pozornie prostym opisie wypowiedziany jest teatralny paradoks wcielanego w działanie misterium. „Plastyczny obraz Boga" ukazuje się nam bowiem nie przez coś innego, jak tylko przez nasze ciało. To my sami, podejmując wysiłek pielgrzymki, odsłaniamy drogę jako przestrzeń działania, scenę Boga-Człowieka. Przemieniamy więc nie tylko siebie, ale także świat, który przebywamy.

O przemianie jako sensie pielgrzymki pisał w poświęconych jej klasycznych studiach wybitny antropolog Victor Turner. Uznawał on pielgrzymkę za doświadczenie analogiczne do rytuału, a szczególnie jego środkową fazę, zwaną liminalną (od łacińskiego *limen* – próg). Człowiek pozbawiony dotychczasowego statusu, a nie obdarzony jeszcze nowym, znajduje się w niej w stanie szczególnego otwarcia, związanego ze zniesieniem granic i opozycji obowiązujących w życiu codziennym.

Podobnie: „aktor-pielgrzym staje wobec ciągu świętych przedmiotów i uczestniczy w symbolicznych działaniach, które mają skutecznie doprowadzić do zmiany jego wewnętrznego, a niekiedy również zewnętrznego stanu, grzech zamienić w łaskę lub chorobę w zdrowie. Ma nadzieję na cuda i przemiany albo duszy, albo ciała. (...) Podczas dążenia pielgrzyma do najświętszego ze świętych, centralnego sanktuarium, w miarę czynionych przez niego postępów, szlak coraz bardziej się sakralizuje. Początkowo, póki pielgrzym mila za milą pokonuje drogę, gdzie mile są codzienne, świeckie, ważny jest jego subiektywny nastrój pokuty, potem na szlaku pojawiają się święte symbole, natomiast na końcowym etapie sam szlak staje się uświęconą, czasem mistyczną podróżą (...). Doznanie świętości, którego doświadcza pielgrzym, przestaje być prywatne, jest teraz kwestią zobiektywizowanych, zbiorowych przedstawień zajmujących niemal całe jego otoczenie i dających mu przekonujące bodźce utwierdzające w wierze".

Boska rytmika płaczów

Jednym z najważniejszych elementów tego procesu i niezwykle ważną wartością pielgrzymki jest doświadczenie *communitas.* Turner wprowadził ten termin do antropologii na określenie doświadczenia szczególnej wspólnoty istniejącej poza obowiązującymi na co dzień strukturami i hierarchiami. Jej podstawowe wartości to równość i zjednoczenie z innymi, wiodące często do uniesienia o charakterze ekstatycznym.

Dowodem na tę tezę może być historia polskich pielgrzymek zbiorowych, które stały się jednym z narzędzi wytwarzania, ↦

↦ a następnie umacniania i propagowania tożsamości łączącej polskość i katolicyzm w nierozerwalnym uścisku.

Dokonało się to głównie w XIX w., gdy pielgrzymki zbiorowe były utrudniane przez władze zaborcze, ale jednocześnie rozwijały się jako przejaw postaw patriotycznych, ukrytych i zarazem połączonych z formami pobożności. Oświetlona blaskiem legendy cudownego ocalenia od szwedzkiego potopu, którą skodyfikował i umocnił Sienkiewicz, Jasna Góra stawała się nie tylko sanktuarium maryjnym, ale świątynią Matki-Ojczyzny. Pielgrzymki jej „dzieci" przywracały „naturalny" porządek negowany przez historię. Uczucia patriotyczne wzmacniały działanie procesu pielgrzymkowej przemiany, same będąc przezeń wzmacniane w doświadczeniu odzyskania wspólnoty dzieci jednej Matki równych w jej obliczu.

W przejmujący sposób doznanie pielgrzymkowego *communitas* opisał Władysław Reymont w swoim pionierskim reportażu z pielgrzymki na Jasną Górę, która wyruszyła z Warszawy 5 maja 1894 r., w stulecie powstania kościuszkowskiego:

„Stanęliśmy wreszcie na ostatniem wzgórzu (...) i wszystkie oczy uderzyły się o tę górę z wieżą na szczycie.
– Maryo! – buchnęło jak płomień z tysięcy piersi, i tysiące ciał runęły na ziemię z krzykiem radości. Widok ten niby orkan rzucił te wszystkie głowy w proch.
– Matko! – wołały głosy zduszone radością i uniesieniem, i zaczęły łzy płynąć rozradowania, a oczy promienieć miłością; wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym.
I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca, i stapiał wszystkich w jedną bryłę drgającą w łkaniu, w czucie jedno, wyrywał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia, wszystkie twarde nędze, wszystko co przecierpieli, i płynął do stóp tej, którą każde serce widziało, do stóp Dobra i Pocieszenia.
I ta głęboka, boska po prostu, przez moc swoją rytmika płaczów, próśb i entuzyazmu długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przepalała je, niby wicher ognisty, i przekuwała dusze na inną miarę".

Podobne doświadczenia były udziałem tysięcy pątników także później: w okresie II RP, gdy podtrzymywano tradycje pielgrzymowania również jako demonstracji patriotycznej, ale przede wszystkim w czasach PRL-u, kiedy powróciły strategie i mechanizmy znane z XIX w.

Nie jest oczywiście przypadkiem, że ruch pielgrzymkowy narastał szczególnie w latach 70. i 80 ubiegłego wieku. Przyczynił się do tego najpierw jubileusz Tysiąclecia, z masowymi uroczystościami na Jasnej Górze, a potem wybór Jana Pawła II i jego pielgrzymki. Ale wiązało się to także z rozwojem turystyki i upowszechnieniem podróży, również pieszych. Wszystko to sprawiło, że w okresie stanu wojennego pielgrzymki stały się syntezą swoich historycznych form podniesioną do skali masowej: były doświadczeniami religijnymi, demonstracjami patriotycznymi i politycznymi, aktami protestu i zarazem procesami wytwarzania wspólnoty. W społeczeństwie dzielonym, wpychanym w bierność i poczucie beznadziei, odgrywały ogromną rolę, nabierając jednak charakterystycznej dwuznaczności gestów zastępczych, wyładowujących się w ściśle określonych ramach świąt, po których spokojnie wracano do codzienności.

Gazu, gazu – do obrazu!

Już wtedy w sposobie pielgrzymowania zachodziły zmiany, które miały wpłynąć na jego późniejszy kształt. Coraz większą rolę odgrywała tu młodzież, która pod wpływem wielu czynników (Ruch Światło-Życie, posoborowe otwarcie na kulturę popularną, kontrkultura i jej specyficznie polska odmiana, jaką była kultura studencka) wprowadzała w pielgrzymowanie elementy odmienne od patriotyczno-religijnej tradycji. Gdy od lat 90. nie było już potrzeby politycznego demonstrowania polskości, a Jan Paweł II dowartościował znaczenie młodzieżowego sposobu bycia i wyrażania uczuć religijnych, pielgrzymki zmieniły charakter.

Estetyka „radosnego chrześcijaństwa", rozpropagowana przez telewizyjne „Ziarno" i Arkę Noego, kulminująca w trakcie Światowych Dni Młodzieży, zdominowała pielgrzymkowe animacje. Dziś każdy uczestnik typowej polskiej pielgrzymki dobrze zna nagłaśniany przez przenośną aparaturę radosny śpiew, któremu towarzyszą skandowane, rymowane hasła, oklaski, a nawet działania fizyczne. Łączą one (przed) szkolno-harcerskie zabawy i kibicowski styl demonstrowania przekonań i emocji, czyniąc z pielgrzymki jakieś ruchome święto wiecznych dzieci. Większości uczestników chyba to nie przeszkadza, a nawet stanowi atrakcję, której oczekują i której się domagają. Obawiam się jednak, że dominacja animowanej zabawy oznacza niebezpieczne przesunięcie pielgrzymowania ku turystyce – i to w jej formie masowej i infantylnej jednocześnie.

Oczywiście znam argumenty na obronę tej ludyczno-widowiskowej formuły. Pierwszy jest praktyczny: ludzie idący wiele godzin potrzebują atrakcji chroniących przed znużeniem i zniechęceniem. Drugi estetyczno-etyczny: chrześcijaństwo przez wieki kojarzone było z religią pokuty, cierpienia i smutku, a dziś chce być religią radości i młodzieńczego entuzjazmu. Zresztą zabawa nie wyklucza powagi, bo przecież na pielgrzymkach oprócz wesołych piosenek śpiewa się też wzniosłe hymny, psalmy i „Godzinki", odmawia Różaniec... *Sacrum* i *profanum* zawsze się przy takich okazjach mieszały, a w ludyczności ujętej w katechetyczne granice radosnego chwalenia Pana nie ma nic złego.

Może i nie. Na pewno nie mam prawa mówić komukolwiek, jak powinien wędrować pątniczymi szlakami. Obawiam się jednak, że estetyczne przekształcenia, z jakimi mamy do czynienia w ciągu ostatnich dekad, dotykają samej istoty pielgrzymek, które przestają być dramatami przemiany, a stają się – widowiskami religijnymi.

Idąca przez miasta i wsie duża grupa ludzi stanowi oczywistą atrakcję dla mieszkańców. Wytwarza się sytuacja widowiskowa, a pielgrzymi z performerów własnej przemiany zamieniają się w aktorów religijnego spektaklu. Organizatorzy i liderzy współczesnych pielgrzymek ten niebezpieczny moment akcentują, właśnie wtedy intensyfikując swoje animacyjne działania. Oczywiście daje to większości uczestników trudne do zanegowania przyjemności: znajdują się w centrum uwagi, wzbudzają podziw. Zaczynają więc niemal odruchowo odgrywać swoją

odmienność wobec świata; umacniają widowiskowy charakter pielgrzymki, który zmienia jej sens.

Camino de la Vida

Ale przecież można pielgrzymować indywidualnie! Nikt tego nie broni! Prawda. Jednak znamienne wydaje mi się to, że ci, którzy wybierają taki sposób, nie wędrują po Polsce. Najczęściej można ich spotkać na Camino de Santiago, drodze (a właściwie drogach, bo jest ich wiele) św. Jakuba.

Wędrowanie nimi też jest swoiście modne, a tłok panujący na szlakach (zwłaszcza w letnich miesiącach i zwłaszcza na ostatnich stu kilometrach) nie mieści się w obrazie samotnego mierzenia się z własnym życiem. Ale mimo mody i wielu oznak uturystyczniania, Camino zachowuje swoją siłę. W jakiejś mierze jest to możliwe dzięki temu, że nawet na zatłoczonym szlaku idzie się we własnym imieniu. Tu z zasady nie jest się aktorem realizującym cudzy scenariusz i animowanym na podobieństwo kukiełki. Choć szlak jest wytyczony, tworzy się go samemu.

Camino jest też mało spektakularne. Rozproszeni na małe grupki pielgrzymi nie wywołują specjalnej sensacji i nie wpływają na życie mijanych wsi i miast. Nawet w samym Santiago, które przecież żyje z pielgrzymów, nie są traktowani w jakiś szczególny sposób. Ich trud nie jest podkreślany i wychwalany. Nie ma specjalnych scen dla finałowych procesji i przywitań, a długaśna kolejka stojących po „compostelkę" szybko pozbawia złudzeń, że w kategoriach zewnętrznych zrobiło się coś szczególnego. Nikt nie obdarzy cię tym, czego nie wytworzyłeś sam w drodze. Ale właśnie dlatego radość, jaką czuje się po dotarciu pod katedrę św. Jakuba, jest tak niezwykła.

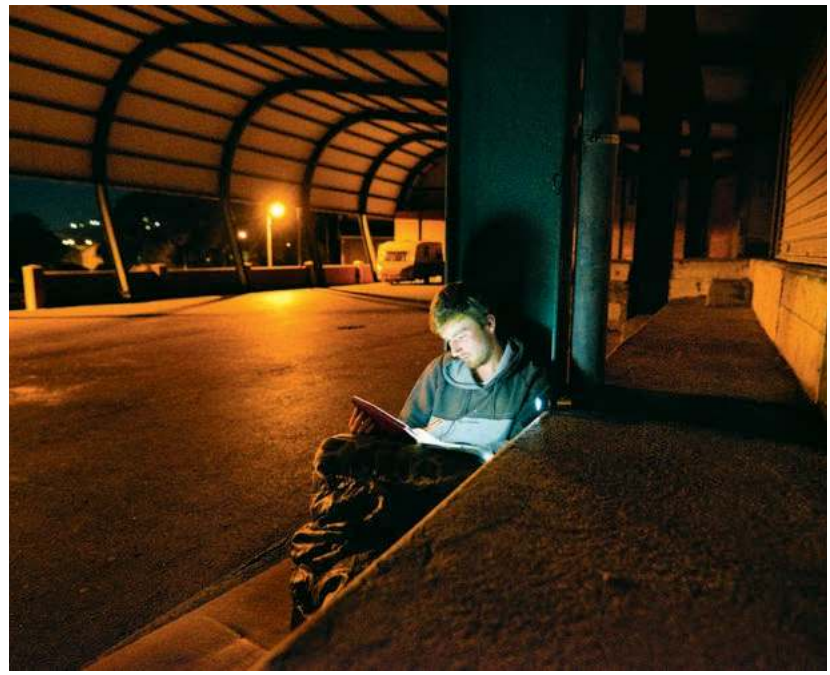

VÍŤA HOLY *z Czech, La Espina, lipiec 2016 r.: – Camino oznacza dla mnie przyjaźń z niepewnością, często byłem nagradzany za miłość do niej.*

Być może w nie do końca uprawniony sposób uogólniam własne doświadczenia. Wydaje mi się jednak, że brak jakiegoś Camino de Claro Monte i dominacja na polskich szlakach form zbiorowych, w których przeważa coraz bardziej konwencjonalna zabawa, mówi coś ważnego o naszej kulturze i religijności. A w każdym razie o ich dominującym wzorcu, jaki poprzez zbiorową pedagogikę chcieliby utrzymać reżyserzy „sezonu pielgrzymkowego". W jego centrum nie znajduje się dramat osobistej przemiany, lecz proces wytwarzania wspólnoty, w którym to, co indywidualne, zostaje podporządkowane widowiskowej demonstracji zbiorowości opatrzonej odpowiednimi ramami programowymi.

Do Częstochowy idą Kościół i naród, które wpisują się w ciała jednostkowe w efekcie wytworzenia ciała zbiorowego. Do Santiago idzie się z własnym życiem.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Kruk i gołąb

Arka Noego unosiła się na wodach potopu miesiącami. Kiedy zaczęły ustępować, najpierw wysłał Noe kruka – padlinożercę, „który wylatywał i wracał, aż wyschły wody na ziemi. Potem wypuścił gołębicę, aby zobaczyć, czy opadły wody z powierzchni ziemi. Ale gołębica nie znalazła niczego, gdzie by mogła osiąść, i wróciła do niego do arki, bo wody były na powierzchni całej ziemi. I wyciągnął rękę, pochwycił ją i wniósł ją do siebie do arki. Poczekawszy jeszcze następne siedem dni, znów wypuścił gołębicę z arki. Gołębica wróciła do niego pod wieczór, trzymając w dziobie zerwany świeży liść z drzewa oliwnego. I poznał Noe, że wody na ziemi opadły. I poczekał jeszcze następnych siedem dni, i wypuścił gołębicę, ale ona już nie wróciła do niego" (Rdz 8, 7-12). Gołąb zwiastuje narodziny nowego życia, drugi początek świata.

Oba ptaki, jak mówi tradycja, były udomowione przez Noego. Pierwszy rozglądał się za jedzeniem, gołąb należy do ptaków, które zawsze wracają do domu. Liść oliwki, który przyniósł, pozostał dla Żydów symbolem pokoju i niezależności.

Jonasz – Jona, prorok – ma na imię gołąb (*Jud nun hej*). Jego ojciec nosi imię Amitaj, co może – nieco naciągając sens słów – oznaczać „prawdziwy". Gołąb to więc syn prawdy czy prawdziwego. Jona-gołąb wpisuje się też w piękną midraszową opowieść Izraelitów. Oto Ilisz, babiloński uczony, wraz z córką Na został porwany i znalazł się w jednym miejscu z człowiekiem, który znał język ptaków. Przyleciał do niego kruk i powiedział mu: „Ilisz, uciekaj, uciekaj". Ale uczony nie ruszył się. „To jest kruk kłamca i ja mu nie dowierzam" – pomyślał. Wtedy przyleciał gołąb i Ilisz zapytał znawcę ptasiej mowy, co ptak chce powiedzieć. Gołąb przybył z identycznym wezwaniem: „Ilisz, Ilisz, uciekaj". Wtedy uczony wziął sobie do serca gruchanie gołębia – uciekł z więzienia z tłumaczem ptasiej mowy, pozostawiając w więzieniu swoją córkę Na. Nie wiemy, dlaczego tak się stało.

Wspólnota Izraela jest porównywana właśnie do gołębia. Ilisz powiedział sobie: zdarzył się cud i muszę uciekać. Kruk w tej opowieści ma kiepską opinię. Może dlatego, że jest czarny, kojarzony jest z cieniem. Ale, co znaczące, oba ptaki niosą tę samą wiadomość. Gdyby tylko kruk przyniósł mu nakaz ucieczki, uczony nie uwierzyłby. Podobnie rzecz się miała w opowieści o Noem. Oba ptaki miały być nosicielami wiadomości, ale tylko gołąb przyleciał z powrotem z listkiem oliwnym.

Jonasz-gołąb dotarł do Niniwy z gałązką oliwną. Przyniósł nadzieję na pokój. Mieszkańcy wielkiego miasta od razu zrozumieli przesłanie i jak Żydzi na Jom Kipur łzami, w drżeniu prosili o ocalenie i zapisanie w księgach życia (Księgę Jonasza czyta się właśnie w dniu pojednania, na Jom Kipur). ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Jezusowe towarzystwo

Rysunek Bartosza Minkiewicza „Porządek liturgii" w 30. numerze „Tygodnika Powszechnego" to doskonały tryptyk-traktat o duchowości *à la polonaise*: Na skrzydłach tryptyku podpisanych „Modlitwa" cztery postacie modlą się z podniesionymi głowami. Środkowy obrazek zatytułowany „Obrona wartości" przedstawia te same postaci kopiące leżącego.

Pójdźmy za wzrokiem modlących się – w co się wpatrują? W przestrzeń międzyplanetarną? W niekończącą się pustkę? Niektórzy powiedzą, że w niebo, bo przecież niebo jest w górze. Tam, gdzie mieszka Wszechmogący, skąd od czasu do czasu przychodzi, najczęściej po to, żeby nam komplikować i tak już skomplikowane niemiłosiernie życie. Od czasu do czasu wylewa stamtąd na nas zdroje łask. Częściej jednak sprowadza na nas nieszczęścia. Wiadomo, kogo Pan Bóg bardziej kocha, temu owe krzyżyki częściej zsyła, ale tak już musi być, skoro Bóg za dobre wynagradza, a za złe karze. Wygląda też na to, że Pan Bóg lepiej się obchodzi z niewierzącymi niźli ze świętymi.

Te utkwione w niebo albo zamknięte lub przymrużone oczy z rysunku Minkiewicza, ale też z tzw. świętych obrazów, z filmów czy teatru, wiele mówią. Chcącemu się modlić podpowiadają, że modlitwa nie powinna mieć nic wspólnego z tym, co dzieje się wokół nas. To wpatrzenie w niebo pozwala na niewidzenie ziemi. Po prostu, modlitwa ma człowieka odcieleśnić i wyrwać z tego grzesznego świata. „Bóg sam wystarczy", powiadają niektórzy. Nie wystarczy, gdyż prawdziwy Bóg zawsze ciągnie ze sobą niezłe towarzystwo. Ewangeliści wspominają, że o Synu Bożym mówiono: „To żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników". „Wielu uzdrowił i dlatego wszyscy, którzy byli chorzy, cisnęli się do Niego, aby Go dotknąć". Z tego wynika, że najłatwiej spotkać Boga wśród „takich" ludzi. Jeśli tak, to znaczy, że Jezus po coś tych ludzi do nas przyprowadził. Udawać, że się tego nie widzi lub się o tym nie wie, i jednocześnie mówić, że żyje się w przyjaźni z Bogiem, jest zwyczajnym kłamstwem. Nie możemy np. obojętnie oglądać w telewizji i czytać o tysiącach uchodźców tonących w Morzu Śródziemnym. Jeśli Bóg był z nimi, to był do ostatka...

W przypowieści o przygotowaniu na przyjście Pana czytamy: „Sługa, który poznał wolę swego pana, a nic nie przygotował ani nie postąpił zgodnie z jego wolą, będzie surowo ukarany. Ten zaś, który jej nie poznał, a uczynił coś godnego kary, zostanie ukarany łagodniej. Od każdego, któremu wiele dano, wiele też będzie się wymagać, a komu więcej powierzono, od tego też więcej będą żądać". Nam dano wiele, bardzo dużo. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Uświęceni wspólnie

Mówi Jezus:
„Kochaj brata jak swoją duszę. Chroń go jak źrenicę oka”.

EWANGELIA TOMASZA

Zakochanemu w Bogu On objawia się bez względu na to, w jakim położeniu ten jest względem Niego.

IBN’ARABI

Wybrał PIOTR SIKORA

W Liście do Tytusa pouczenie moralne Pawła skoncentrowane jest wokół domu, tzn. rodziny. To rodzina szeroka: kilkupokoleniowa, powiększona o domowników niebędących krewnymi. Nauka skierowana jest najpierw do mężczyzn podeszłych w wieku, następnie do starszych kobiet: mają one otoczyć troską swoje córki i wnuczki, uczyć ich miłości – najpierw do mężów, potem do dzieci (kolejność nieprzypadkowa, oddająca „porządek miłości”) – i przygotować do misji pełnych dobroci „strażniczek domu”. Potem Paweł zwraca się do młodych i zaleca im tylko jedną cnotę: umiarkowanie, a na koniec do niewolników, którzy przy wszystkich uciążliwościach swojego stanu mogą stać się wręcz ozdobą nauki Boga.

To zamknięcie się w wymiarze domu może zaskakiwać – czyż Pan nie zlecił swoim uczniom misji powszechnej? Tymczasem w zaleceniach przekazywanych kreteńskim chrześcijanom świat jest obecny minimalnie. Chodzi co najwyżej o to, aby ci, którzy są „przeciwni”, nie mogli „niczego złego o nas powiedzieć”, i o to, by patrząc na nasz styl życia, „nie bluźniono Słowu Boga”. Chodzi o to, aby tym, którzy nie znają Chrystusa, nie dawać antyświadectwa i aby najpierw u siebie usuwać każdą zawadę, która mogłaby im przeszkodzić w drodze do Pana. Niech raczej zobaczą, jak Słowo Pana się sprawdza w domu chrześcijan – jak pozwala im przekraczać bariery nie tylko pokoleniowe, ale i społeczne. Niech zobaczą, „jak oni się kochają!”; wtedy zapewne otworzy się droga do misji.

Opisując dzieło zbawienia, Paweł mówi o „wielkim Bogu i naszym Zbawicielu, Jezusie Chrystusie”, który „wydał samego siebie za nas, aby odkupić nas od wszelkiej nieprawości i oczyścić sobie lud wybrany na własność, gorliwy w spełnianiu dobrych uczynków” (Tt 2, 14). Jesteśmy zbawieni jako lud wyjątkowy, w szczególny sposób należący do Boga. Będący Jego własnością inaczej niż jakikolwiek lud na ziemi. „Spodobało się Bogu uświęcać ludzi nie pojedynczo” (Tt 2, 1-15). Jesteśmy oczyszczeni Krwią Chrystusa, każdy osobiście, jednocześnie wszakże nie indywidualistycznie: nie każdy sobie samemu, lecz we wspólnocie. Tutaj odkrywamy jeszcze jedną, niezastąpioną wartość domu. Gdzie bowiem, jeśli nie tam, uczymy się najpierw postaw prawdziwie społecznych? Gdzie możemy odkryć drogi miłości, przełamywania egoizmu, ofiarności, radości ze szczęścia drugiego, wspólnoty pracy i odpoczynku, wspólnoty stołu i modlitwy? Dom pozostaje nie tylko szkołą, ale modelem dla Ludu Bożego. Stąd też dzisiejsze zmaganie o rozumienie, kondycję i przyszłość rodziny jest tak istotne dla Kościoła. Kościół jest rodziną, nie tłumem; jest ciałem, nie korporacją. Od domu do ludu – oto praktyczna eklezjologia chrześcijan. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 VIII)

19. niedziela zwykła: Mdr 18, 6-9; Ps 33; Hbr 11, 1-2. 8-19; Łk 12, 32-48;
Poniedziałek: Pwt 10, 12-22; Ps 147B; Mt 17, 22-27;
Wtorek: Pwt 31, 1-8; Pwt 32; Mt 18, 1-5. 10. 12-14;
Środa: Pwt 34, 1-12; Ps 66; Mt 18, 15-20;
Uroczystość Wniebowzięcia NMP: 1 Krn 15, 3-4. 15-16; 16, 1-2; Ps 132; 1 Kor 15, 54-57; Łk 11, 27-28;
Piątek: Joz 24, 1-13; Ps 136; Mt 19, 3-12;
Sobota: Joz 24, 14-29; Ps 16; Mt 19, 13-15;
20. niedziela zwykła: Jr 38, 4-6. 8-10; Ps 40; Hbr 12, 1-4; Łk 12, 49-53.

ZŁOTY POCIĄG PRZEJECHAŁ

Skarb to nie fizyczny przedmiot. To symbol nadziei na to, że los się odmieni, a nasze miejsce na ziemi i sposób życia okażą się wspaniałe i wyjątkowe. Że świat nas doceni i przyzna nam rację. To nie jest tylko historia o Wałbrzychu.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

W tym roku Paweł napisał później, bo dopiero 27 czerwca. Poprzednio informacja o skarbie przyszła pod koniec maja, dwa lata temu jeszcze wcześniej, bo przed majowym weekendem. Odkąd trzy lata temu tropiliśmy razem Złoty Pociąg, Paweł fascynuje się fenomenem powracającego co wakacje skarbu widma. To mój druh z Instytutu Kultury Polskiej i na co dzień zajmuje się zupełnie czym innym, ale idea powtarzających się schematów narracyjnych jest bliska jego sercu.

– Złoty Pociąg jest punktualny jak w zegarku! – lubi powtarzać Paweł. To chyba jedyny polski pociąg, który nigdy się nie spóźnia. Chociaż to wcale nie musi być pociąg. W tym roku wyobraźnię poszukiwaczy, turystów i speców od marketingu rozpaliła Bursztynowa Komnata, na której trop natrafiono rzekomo w Mamerkach.

„Na poszukujących Bursztynowej Komnaty wylano dzisiaj kubeł zimnej wody – czytam w artykule podesłanym przez Pawła. – Zamiast legendarnego skarbu odkryto... studzienkę. Jednak, jak przekonują inicjatorzy poszukiwań, mogą mówić »o małym sukcesie«. – Odkrycie tej studzienki dało nam nadzieję

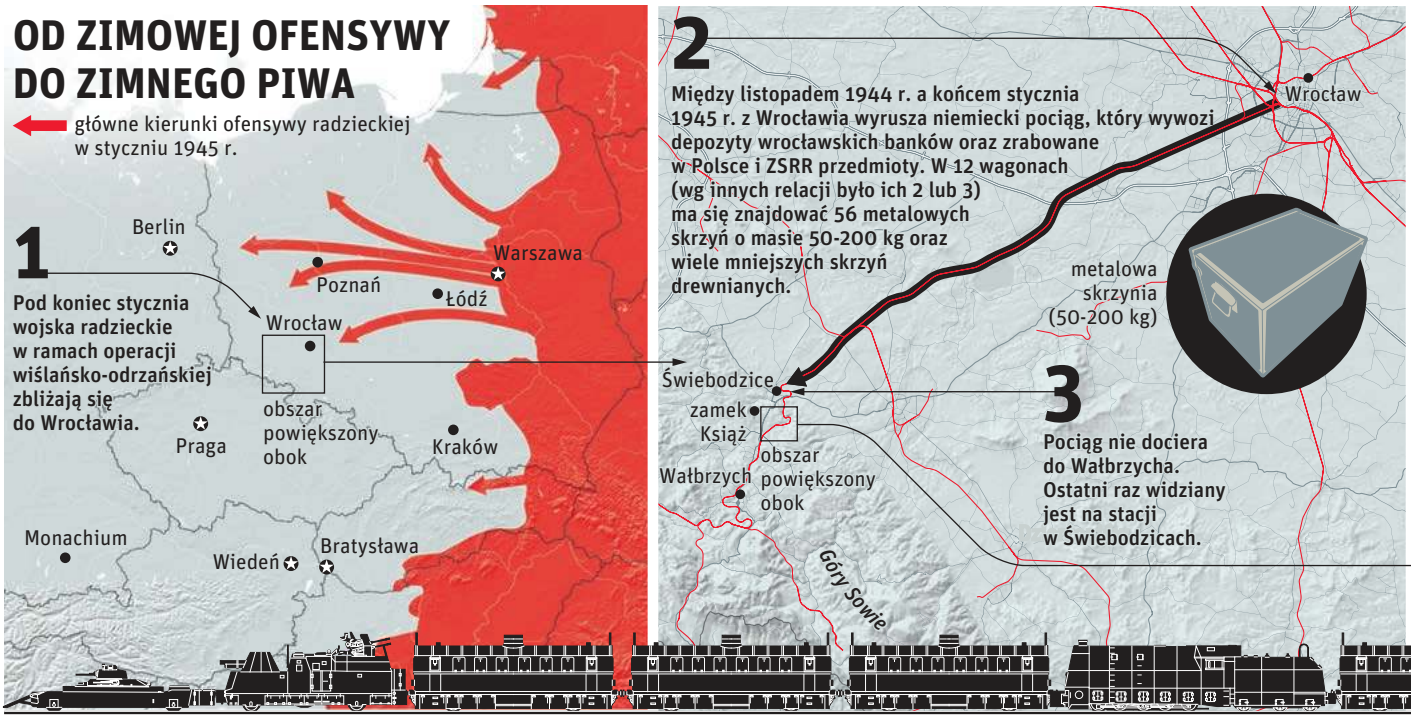

INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

na to, że takich miejsc może być więcej, w nich może być coś schowane".

Trop – wielkie nadzieje – gorączka – odnalezienie pustej studzienki – rozczarowanie, które przemienia się w – więcej nadziei. To właśnie ta powtarzalność tak nas zafascynowała. Bo i ja, muszę przyznać, od czasu wizyty w Wałbrzychu cierpię na wakacyjną gorączkę złota.

Tam skarb twój...

– Każdy z nas od dziecka skarbów szuka, to jest najważniejsze, to nasza przygoda!

Krzepki mężczyzna przemawia wprawdzie ze sceny, ale nie czuć dystansu, który by go dzielił od publiczności. Jest wśród swoich. Nie poucza, nie opowiada – po prostu wyraża to, co czują zebrani. A trzeba powiedzieć, że – przynajmniej na pierwszy rzut oka – jest to zbiór dziwny. Tuż obok sceny stoi np. trzech hitlerowców ramię w ramię z czwórką zbłąkanych żołnierzy Armii Czerwonej w rozchełstanych mundurach. Niby słuchają, ale wzrokiem błądzą dookoła. Pewnie myślami są już przy swoich skarbach.

Mężczyzna na scenie nazywa się Grzegorz Borensztajn. Jest zawodowym poszukiwaczem skarbów. Sam o sobie woli mówić „badacz historii", podobnie jak większość uczestników Międzynarodowego Zjazdu Eksploratorów, na który zawitaliśmy trzy lata temu. Oprócz hitlerowców i czerwonoarmistów wystąpienia słucha jeszcze kilkudziesięciu miłośników tajemnic w wojskowych ubraniach, pojedynczy turyści, wyróżniający się kolorowymi koszulkami, i my – grupka badaczy z Uniwersytetu Warszawskiego.

Wtedy interesowały nas głównie przemiany społeczne związane z zamykaniem kopalni i otwarciem Wałbrzyskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Na odbywający się pod Wałbrzychem zjazd zawitaliśmy trochę przypadkiem. Ale Borensztajn uświadomił nam coś, co zmieniło kierunek naszych badań.

Tutaj wszyscy szukają skarbu. Byli górnicy w biedaszybach opowiadają o węglu, który pali się z taką mocą, „że aż ruszt przepala". Mityczny inwestor z Australii, na którego czekało wielu naszych rozmówców, szuka ponoć wsparcia u lokalnych władz – tylko tego brakuje, by zamknięte przed laty kopalnie ruszyły ze zdwojoną mocą. Mieszkający w jednej z podwałbrzyskich miejscowości muzyk szuka nowego pomysłu na siebie po tym, jak mu się „różne rzeczy w życiu wywaliły". Badacze historii szukają Złotego Pociągu albo nazistowskiej *Wunderwaffe*. Sam Borensztajn chciałby z kolei zająć się bardziej „upamiętnianiem martyrologii". Mówi, że ludzkie historie to najcenniejsze skarby, które trzeba odnaleźć.

Życie w Wałbrzychu upływa na poszukiwaniu. Dla kogoś z zewnątrz to poszukiwanie może się wydawać czekaniem wypełnionym marzeniami, ale opowieść o ukrytym skarbie sprawia, że nie ma w nim bezczynności. Zastępuje ją nieustanna krzątanina, szereg drobnych, wykonywanych wspólnotowo rytuałów, w których wyobraźnia wybiega w przyszłość. Niekończące się dyskusje ogniskują się wokół tego, „gdzie", „co", ale też, „dlaczego wciąż nie" i „komu zależy, aby"...

Profesjonalni eksploratorzy wytworzyli własny język, który oprócz dziesiątek nazw własnych (góry, szyby, kompleksy, oddziały, nazwiska...) ma także specyficzny aparat pojęciowy i składnię. Podstawową jednostkę wyobraźni stanowią tu „tematy". Tematy opracowuje się bądź rozpracowuje, a następnie zgłasza. Tematy są „gdzieś" albo „z czymś związane", są także „czyjeś", wyznaczając subtelne granice terytorialności, które w tym dość tłocznym świecie wciąż się narusza, wywołując konflikty o różnej skali. Rozmowy, wystąpienia i zapiski poszukiwaczy pełne są sformułowań takich jak: „mamy ludzi, którzy mają w tym temacie wiedzę ekspercką, to są górnicy, geolodzy", „podejrzewam, że w tym miesiącu temat będzie zgłoszony", „czekamy ze zgłoszeniem, ↦

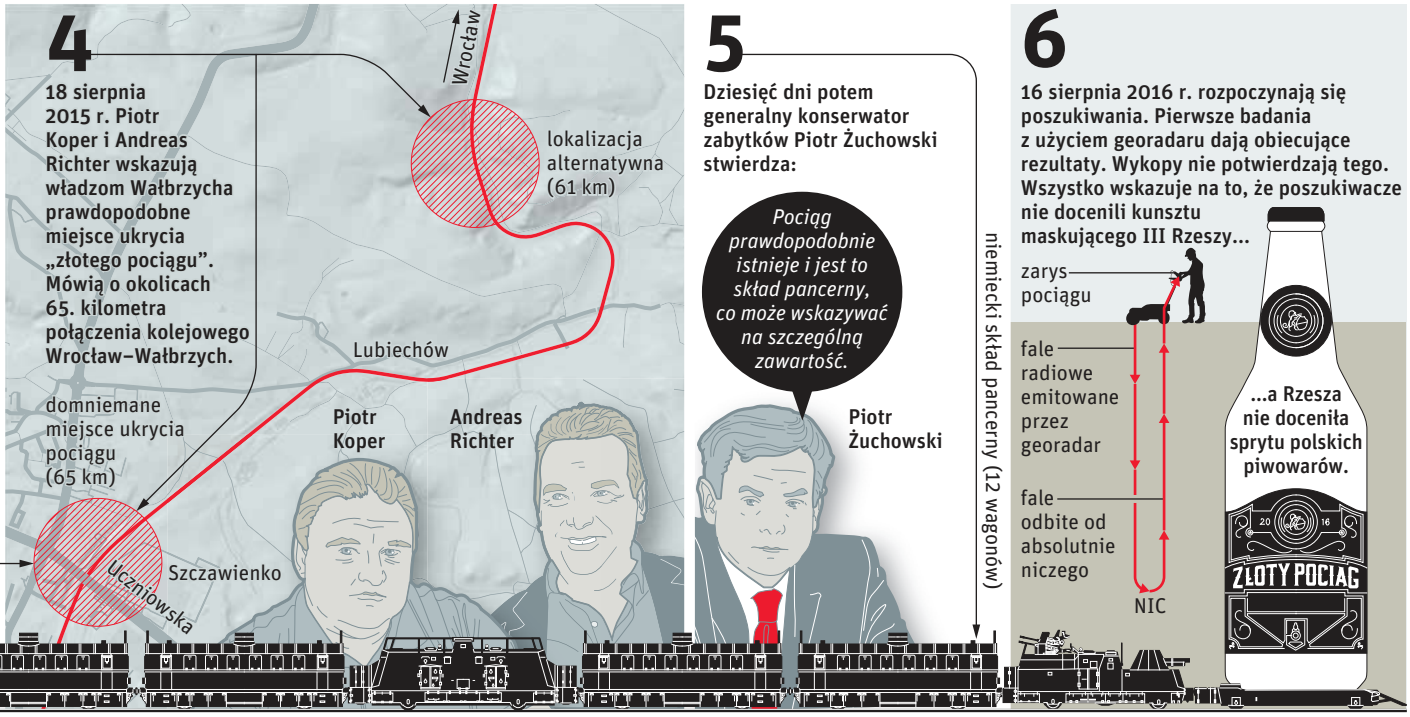

↦ aż tematy będą opracowane w 80-90 procentach".

Poszukiwacze skarbów mniej dosłownych wydają się myśleć podobnie. Swoje „tematy" mają tu byli górnicy, żyjący marzeniami o ponownym otwarciu kopalni, lokalni działacze czy przedsiębiorcy. Bo skarb to nie fizyczny przedmiot. To symbol nadziei, że los się odmieni. Ale nadziei szczególnej. Związanej z tym, że nasze miejsce na ziemi, nasz sposób życia, nasza okolica okażą się pewnego dnia wyjątkowe i wspaniałe. Że cały świat przybędzie do nas, zadziwi się nami, doceni, przyzna nam rację.

Bo Złoty Pociąg to skarb nietypowy. Nie taki, po który wraz z drużyną wyruszamy na wyprawę za odległe góry, lecz taki, po który inni przybędą do nas. Jedyny smok, jakiego musimy pokonać, to potwór własnej niewiary. Ten skarb to nadzieja, że tu wszystko jest możliwe.

ALEKSANDER KOŹMIŃSKI / PAP

Billboard na 65. kilometrze trasy kolejowej z Wrocławia, 2015 r.

Złoty Pociąg to skarb dla miasta i regionu. Niektórym przywiózł zyski, innym – nadzieję, jeszcze innym przywrócił dumę odebraną przez niekończące się doniesienia o ruinie, upadku i biedaszybach.

Długa historia pociągu

„Przebieg II wojny światowej zmienia się. Rosjanie zaczynają zagrażać Niemcom, a ci w popłochu wywożą wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. Zalesione i górzyste tereny Wałbrzycha okazują się być idealnym miejscem na ukrycie wartościowych przedmiotów – tu nie spadają alianckie bomby, a oddalone od dużych miast Rzeszy i głównych arterii komunikacyjnych pozwalają na bezpieczne składowanie cennego ładunku".

Tak zaczyna się historia tajemniczego transportu opisywana na portalu zloty-pociag.pl. W myślach słyszę, jak czyta ją Bogusław Wołoszański. Potem – jak w filmach o Jamesie Bondzie albo Hansie Klossie – są wyścigi wywiadów, tajni łącznicy, fałszywe tropy i pilnie strzeżone sekrety.

Z tunelu zapomnienia wagony wyjechały w sierpniu 2015 r. Poszukiwacze skarbów Piotr Koper i Andreas Richter złożyli w urzędzie pismo informujące, że znają lokalizację pociągu pancernego z czasów II wojny światowej, który „mieści w sobie przedmioty wartościowe, kruszce oraz inne materiały przemysłowe". Sprawę podchwyciły najpierw media lokalne, potem krajowe, wreszcie – zagraniczne. Mieszkańcy Wałbrzycha, z którymi rozmawiałem rok później, w apogeum gorączki złota, uwielbiali powtarzać, że przez chwilę ich miastem zainteresował się cały świat. Pamięć o „inwazji dziennikarzy" jest wciąż żywa i obrosła legendą. Przewodnikami dla obcokrajowców stali się lokalni działacze i dziennikarze, jak Łukasz Kazek, który po trzech latach wciąż opowiada z entuzjazmem:

– Jak to się zaczęło z tym pociągiem, to kilka telewizji wypadało na każdego z nas. Pamiętam taką sytuację, która mi uzmysłowiła, jaka to jest szansa. Przyjechała telewizja z Singapuru. Do Wałbrzycha! Oni może nigdy nie wysłali telewizji do Polski! Do Wałbrzycha na pewno nigdy nie wysłali i nigdy już więcej nie wyślą. To dla mnie było ewenementem! Korea Północna podała informację o pociągu. Podała po swojemu, ale padło: „Polska, Złoty Pociąg, Wałbrzych". Narracja była zdaje się: jest nieurodzaj wielki w Polsce, zboża pogniły, ale znaleziono Złoty Pociąg i Tusk odda go na pewno Merkelowej. Żeby nawet reżimowa telewizja takiego dyktatora o tym mówiła?

Koper i Richter założyli spółkę o wdzięcznej nazwie XYZ i po mozolnym procesie uzyskiwania zezwoleń, rozpoczęli wreszcie poszukiwania na 65. kilometrze trasy kolejowej z Wrocławia. Z czasem spółka zmieni się w fundację, a Richter wykruszy się z inicjatywy, ale Koper do dziś pozostaje wierny marzeniu o Złotym Pociągu.

15 grudnia 2015 r. odbyła się konferencja prasowa, podczas której wyniki poszukiwań przedstawiły dwa zespoły – ekipa Kopra oraz zespół naukowców z krakowskiej AGH. Odkrywcy twierdzili, że obrazy nieregularnych linii widoczne na jednym ze slajdów wskazują na istnienie pod ziemią szukanego obiektu. „Mylić się jest rzeczą ludzką, ale rzeczą głupców jest trwać w błędzie. My jesteśmy po badaniach pewni: w tym miejscu nie ma żadnego pociągu" – studził emocje prof. Janusz Madej z AGH. Po tej wymianie zdań wielu dziennikarzy wieściło koniec legendy. Ale wyniki badań to zbyt mało, by rozbić pancerną nadzieję. „Mamy relacje świadków, mamy inne przesłanki, pozwólcie nam kopać" – bronili się poszukiwacze skarbów.

W 2016 r. rozpoczął się kolejny etap poszukiwań – wykopy w celu potwierdzenia informacji od świadków. Niestety – jak ogłosili sami eksploratorzy – „działania nie dały jednoznacznej odpowiedzi na stawiane pytania". W 2017 r. przeprowadzono więc następne badania.

„Jesteśmy bliżej niż kiedykolwiek!" – ogłasza Piotr Koper po ich zakończeniu. Na konferencji prasowej towarzyszy mu przedstawiciel Przedsiębiorstwa Badań Geofizycznych sp. z o.o., które włączyło

MONKPRESS / EAST NEWS

Wałbrzych, 2016 r.

się w prace. „Metoda grawimetryczna wskazuje niektóre miejsca jako rokujące, i które należałoby sprawdzić poprzez wykonanie otworów badawczych – komentuje. – To są nasze podejrzenia, które ewidentnie odróżniają się od naturalnego tła charakterystycznego dla tego obszaru".

15 listopada 2018 r. pasjonatów poruszyła kolejna informacja. Teraz badania przeniosły się z 65. kilometra bliżej Zamku Książ. „Złoty Pociąg: jest nadzieja – można było przeczytać na portalu zloty-pociag.pl. – Piotr Koper powrócił do poszukiwań Złotego Pociągu. Zszedł na głębokość 11 metrów, nie ma tu wody, a ziemia jest miękka. Czy to oznacza, że to nie studnia, a szyb wentylacyjny? I to szyb, który doprowadzi poszukiwaczy do legendarnego Złotego Pociągu?".

– Nie chodzi o to, by złapać króliczka, ale by gonić go – tę mantrę powtarzają moi rozmówcy: lokalni działacze, dziennikarze, nawet sami poszukiwacze skarbów.

Piwo dla poszukiwaczy

Latem 2016 r., kiedy prowadziliśmy badania w Wałbrzychu, pociąg był wszędzie. Opanował sklepik z pamiątkami na Zamku Książ, podbił rynek gastronomiczny, a nawet browarniczy. Miasto promowało się rozdając kubki, bidony, kalendarze, torby bawełniane, ściereczki do czyszczenia smartfonów i powerbanki z emblematami pociągu. Wszechobecne reklamy piwa Złoty Pociąg zachwalały trunek „dla nieustraszonych poszukiwaczy skarbów". „Bądź o krok bliżej tajemnicy". Dobre hasło. Choć tajemnica i tak się wymknie. Ten pociąg jest zawsze o stację przed nami.

Kto stoi za marketingową gorączką i co z niej zostało, kiedy dziennikarze z całego świata już stąd wyjechali? Żeby się dowiedzieć, dzwonię do Łukasza Kocha, redaktora naczelnego w Grupie Mediowej WTV, do której należy m.in. portal zloty-pociag.pl. „Spóźnił się pan o trzy lata – słyszę. – Po co rozmawiać o czymś, czego już nie ma?". Mimo to umawiamy się na kolejny dzień. Okaże się, że jednak jest o czym pogadać.

Od początku w Wałbrzychu nie brakowało takich, którzy zamiast szukać skarbów postanowili spieniężyć samą gorączkę złota. Nie czekali na spełnienie marzeń, tylko brali sprawy w swoje ręce.

– Złoty Pociąg był taką maszyną napędową w kwestii turystyki – wyjaśnia Koch.

Podejmowane działania były dobrze zsynchronizowane. Złoty Pociąg doczekał się eleganckiego logo, które ozdobiło piwo, folder gry terenowej i portal. Koch podchwytuje temat: – Złoty Pociąg stał się marką po prostu, to splot różnych zdarzeń stworzył tę markę. My w jakiś sposób umieliśmy to wykorzystać, z korzyścią dla regionu. Jest to robione z głową, przynajmniej tak staraliśmy się to robić, stąd ta identyfikacja wizualna jest taka, jaka jest.

– Ale kto to zrobił?

– Przedsiębiorca. W momencie, kiedy zaczęliśmy bawić się w Złoty Pociąg, przyszła idea, żeby powstał portal, gdzie pokazujemy ten nasz Dolny Śląsk. Wałbrzych często się kojarzył z dziurą w ziemi i węglem, a to jest naprawdę zielone, piękne miasto.

Ten wątek zmiany koloru miasta z czarnego na złoty czy zielony pojawia się w dziesiątkach rozmów, które odbyłem z mieszkańcami. Bo obok wymiernych zarobków ze sprzedaży noclegów, biletów czy piwa jest też zysk znacznie trudniejszy do oszacowania, a z pewnością nie mniej ważny. Złoty Pociąg przywrócił Wałbrzychowi dumę odebraną wraz z upadkiem górniczej arkadii.

– Wałbrzych ma mnóstwo do zaoferowania – puentuje Koch. – Przecież to jest nie tylko Złoty Pociąg. Jest Zamek Książ – jeden z najpiękniejszych w Polsce. Jesteśmy dumni z tego zamku. Pamiętam, że jak był pożar dachu, to praktycznie płakaliśmy, bo to jest nasz zamek.

Co zostało, kiedy pociąg odjechał

Złoty Pociąg łatwo sprowadzić do roli kaczki dziennikarskiej, corocznego wypełniacza szpalt. Ale entuzjazm związany z jego poszukiwaniem był prawdziwy i udzielił się niemal wszystkim, z którymi rozmawiałem. Miasto, które przez lata kojarzyło się z nieudaną transformacją, upadkiem górnictwa i biedaszybami, na jeden sezon stało się Dzikim Zachodem, miejscem, gdzie wszystko może się zdarzyć. Trochę – zachowując proporcje – jak bezpośrednio po wojnie, gdy na „Ziemie Odzyskane" ciągnęli tłumnie przesiedleńcy łaknący lepszego losu, repatrianci z górniczych rejonów Francji, poszukiwacze przygód, ale też zwykli szabrownicy. Za sprawą Złotego Pociągu na ulice wrócił westernowy klimat, wciąż żywy w pamięci wielu moich rozmówców. Czarne, pokryte węglowym pyłem miasto znów stało się miastem złotym, naszym polskim Eldorado. „Z tutejszej Castoramy wykupili wszystkie łopaty" – chwaliła się jedna z rozmówczyń w 2016 r. „Wszyscy byli dumni z Wałbrzycha – dodaje inna. – Nagle z tych biedaszybów wyjechał Złoty Pociąg".

W apogeum gorączki złota Urząd Miasta w Wałbrzychu przeprowadził wyliczenia, z których wynika, że ekwiwalent reklamowy związany z ukazywaniem się nazw „Wałbrzych" i „Złoty Pociąg" w mediach na całym świecie wyniósł pół miliarda złotych. To skala darmowej promocji, jaką miasto otrzymało dzięki poszukiwaniu skarbów. – Jeśli chodzi o promocję miasta i jego wizerunek, to dzielimy go na epokę „przed Złotym Pociągiem" ↦

DARIUSZ GDESZ / GAZETA WROCŁAWSKA / POLSKA PRESS

Manifestacja poparcia dla poszukiwaczy Złotego Pociągu. Protestujący domagają się od lokalnych władz wydania decyzji administracyjnych, które umożliwią eksploracje, Wałbrzych, 6 marca 2016 r.

↦ i „po Złotym Pociągu" – mówi mi Arkadiusz Grudzień, kierownik Biura Promocji, Kultury, Sportu i Turystyki.

– Dzięki tej historii w ciągu jednego roku liczba turystów w zamku prawie się podwoiła! – potwierdza jego słowa Anna Żabska, prezes zarządu Zamku Książ. – Żadną inną kampanią zamek nie byłby w stanie o tyle zwiększyć liczy odwiedzających.

Na fali zainteresowania pociągiem powstał także „Explore Wałbrzych" – wspólny bilet, obejmujący największe atrakcje miasta. Kolejne pomysły na promocję podporządkowano właśnie kategoriom tajemnicy, odkrywania, poszukiwań. Pani prezes zaprasza mnie i Czytelników na Festiwal Tajemnic, który odbędzie się na zamku w dniach 10-11 sierpnia. Jego koncepcja jest ściśle związana z aurą otaczającą nieuchwytny skarb. Ale Zamek Książ swój skarb już znalazł.

Podobne wypowiedzi słyszę od wielu rozmówców. Pociąg był skarbem dla miasta i regionu – a przynajmniej dla wielu jego mieszkańców. Niektórym przywiózł wymierne zyski, innym – nadzieję, jeszcze innym przywrócił dumę odebraną przez niekończące się doniesienia o ruinie, upadku i biedaszybach. – Złoty Pociąg był impulsem. Pozwolił spojrzeć samym mieszkańcom na miasto z innej perspektywy – słyszę od Arkadiusza Grudnia, który w czasie złotej gorączki pełnił funkcję rzecznika prasowego miasta.

Łukasz Kazek zwraca uwagę na jeszcze jedno zjawisko. Złoty Pociąg rozbudził zainteresowanie historią i lokalny patriotyzm. – Wołoszański powiedział, że taki pociąg jakby się odkopało, to powinien trafić do Warszawy do muzeum na ul. Towarowej. Tu zaraz był potężny krzyk: to nasz pociąg, on będzie w Wałbrzychu, nie oddamy go.

Oglądając swoje miasto oczami turystów i dziennikarzy sami mieszkańcy dostrzegli jego piękno i potencjał. – Ludzie mieszkający w okolicach zaczęli mówić: przyjedź do mnie – opowiada Łukasz Kazek. – Odblokowało się to wszystko, co lata 90. tak zatkały. Zaczęto mówić o Wałbrzychu nie jako o mieście z Mordoru, z powieści Bator, tylko zauważać, że ma potencjał turystyczny. Zaczęto mówić, że posiada mnóstwo zabytków, że jest cenne, że to jest nasze złoto.

Nie odstawiajmy go na boczny tor!

Ale w mieście wciąż nie brakuje tych, którzy na metaforze nie chcą poprzestać. Moim ostatnim rozmówcą jest Piotr Koper. Poszukiwacz, od którego wszystko się zaczęło. Niefortunnie otwieram wywiad standardowym pytaniem: co zostało z pociągu po trzech latach. Mój rozmówca jest wyraźnie zdziwiony czasem przeszłym.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś sugeruje, że nic się nie dzieje w kierunku Złotego Pociągu. Cały czas trwają przygotowania do wykonania wierceń. Fundacja zbiera środki. Potrzebujemy przynajmniej ćwierć miliona złotych zdeponowanych pieniędzy, żeby zacząć. Tak że tu nie ma żadnych tematów, które ktoś odpuścił. Bo nie ma żadnego argumentu, który by mnie przekonał do tego, że coś jest nie na rzeczy.

A więc pociąg wciąż tam jest? Czeka, ukrywa się, wymyka wiertłom i georadarom?

– Mam badania z 2017 r. – przekonuje eksplorator. – Robili je wybitni specjaliści z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, wytypowali miejsca do wiercenia i teraz po prostu trzeba to skończyć.

Czyli wciąż jest nadzieja na znalezienie pociągu?

– Proszę pana... To po co my to wszystko robimy? Po co wydaliśmy już takie ogromne pieniądze? Prywatne pieniądze, własne pieniądze. Po to, żeby to nie funkcjonowało dalej, nie działało? To nie jest mit, legenda, bajka, że ktoś sobie coś z palca wyssał. Po prostu trzeba to dokończyć.

Ten upór doceniają w Wałbrzychu. Kilkoro moich rozmówców niezależnie stwierdziło, że miasto powinno Koprowi postawić pomnik albo przynajmniej nadać tytuł honorowego obywatela. Przekazałem te sugestie przy okazji rozmowy z Urzędem Miejskim.

Tropiciel również dostrzega, że nawet nieodnaleziony pociąg przyniósł miastu wiele korzyści:

– Proszę pana, tak naprawdę to Złoty Pociąg do Wałbrzycha już przyjechał. Złoty Pociąg już jest w Wałbrzychu. Bo te tysiące turystów z całego świata, które tu walą, żeby zobaczyć te podziemia i pozostałości po III Rzeszy, to jest dla miasta realnie Złoty Pociąg.

A więc powracająca co roku wakacyjna gorączka skarbów może się zmienić w coś trwałego i dobrego. Potrzeba do tego serca, ciężkiej pracy i pewnej dozy szczęścia. Jestem przekonany, że w Polsce drzemie jeszcze wiele nieodkrytych skarbów.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Tekst wykorzystuje materiały zebrane w ramach projektu „Współczesna polska kultura wernakularna w perspektywie porównawczej. Pamięć – wyobraźnia – praktyki oporu" (NPRH 3/H12/82/2014).

Jestem twoim koszmarem

MARIUSZ SEPIOŁO

Atak zaczyna się wtedy, kiedy tłum uznaje, że fotoreporter „nie jest od nich". Nie krzyczy tych samych przyśpiewek, nie rzuca obelgami.

Katarzyna przyznaje, że czasem mogłaby się wycofać. Jak np. wtedy, gdy w ferworze upadła na chodnik i złamała nogę w kostce. Robert z bohaterami swoich zdjęć długo rozmawia, integruje się, by zdobyć przychylność i kiedy trzeba – lepszy kadr. Aleksandra traci wiarę w sens tej pracy. Ma poczucie, że zdjęciami niewiele zmieni. – Mogłabym stanąć na środku i czekać, aż ktoś mnie zamorduje – mówi. – Może wtedy świat by się o tym wszystkim dowiedział.

Zbliżenie

Kolega mówi o niej: „łowca nazioli". – Symbolikę, która ostatnio pokazuje się na ulicach coraz częściej, poznałam chyba dobrze. Ale „łowca"? Po prostu łatwo zauważam wszelkie symbole faszyzmu – mówi Aleksandra Perzyńska. Drobna dziewczyna, którą z aparatem można spotkać naprzeciw tłumu facetów w „patriotycznych" koszulkach. – Znajomi się śmieją: wystarczy, że skręcę w jakąś uliczkę, od razu znajdę swastykę.

Zaczynali przeważnie od marszów niepodległości. Tam się uczyli, gdzie wśród tłumu znaleźć lukę, by podejść bliżej, złapać dobry kadr i bezpiecznie odejść. Kiedy się wycofać, gdy sytuacja zaczyna być groźna. Bo, przypomina Aleksandra, żadne zdjęcie nie jest warte utraty zdrowia lub życia.

Sama zaczynała, jak mówi, „nieśmiało", kilka lat temu. – Wyszłam z aparatem, bo frustrowało mnie, że ogólnopolskie media nie pokazują całego obrazu – mówi. – My, dokumentujący to, co dzieje się na ulicach, docieramy tam, gdzie nie widać tradycyjnych dziennikarzy. Podchodzimy blisko, często konfrontujemy się z najbardziej agresywnymi grupami, narażamy się, żeby pokazać prawdę.

Roberta do robienia zdjęć namówiła żona. Sama jest blogerką. Choruje na stwardnienie rozsiane, pisze o swojej codzienności, ale także o bieżących wydarzeniach w Polsce. W końcu powiedziała: „Do moich wpisów przydałyby się zdjęcia". Robert wyszedł na ulice, fotografował m.in. marsze niepodległości, miesięcznice smoleńskie. Bywa na nich z żoną. A ostatnio także z córką.

– Przemoc nie zaczęła się przy okazji marszów równości. Jest obecna na ulicach od kilku lat – mówi Aleksandra. Według Katarzyny używanie siły stało się powszechne podczas miesięcznic smoleńskich. Aleksandra, Katarzyna i Robert zrobili zdjęcia, które znalazły się w albumie „Tu obywatele!", pokazującym miesięcznice z dwóch ostatnich lat. Podczas jednej Aleksandra dostaje po głowie różańcem. Przy innej okazji ktoś oblewa ją wodą święconą, odprawia nad nią modlitwę, uderza w głowę pochodnią. Pochodnia trafia też w aparat, który Aleksandra trzyma niemal bez przerwy przy twarzy. Jak zasłonę, zbroję, tarczę. Bywa, że obok wybuchają petardy, lądują kawałki bruku i rozbijają się butelki, ale ona ich jakby nie widzi, nie słyszy – skupia się na tym, co przed obiektywem.

Wie, że konfrontacja może się skończyć źle. Zwłaszcza jeśli tłum widzi filigranową dziewczynę z aparatem. – Narodowcy atakują słabszych. Mnie łatwiej popchnąć, kopnąć, wyrwać aparat. Dlatego kiedy zaczęłam robić zdjęcia, mocno na siebie uważałam – opowiada.

Z czasem podchodziła coraz bliżej. Zawsze w towarzystwie kogoś znajomego. Po to, by w razie czego odciągnął, nagrał zdarzenie albo wezwał pomoc. Kiedy demonstracja odbywa się w Warszawie, czuje większą pewność. Zna tu każdą uliczkę, w razie czego wie, gdzie uciec.

Katarzyna Pierzchała, warszawianka po pięćdziesiątce, zaczynała od amatorskich zdjęć z imprez, wyjazdów, wakacji. „Jak trzeba zdjęcie, to Kaśka zrobi" – mówili znajomi. Kiedy w 2010 r. trwa „walka o krzyż", idzie z aparatem pod Pałac Prezydencki. Robi potem zdjęcia na marszu niepodległości i kiedy pali się tęcza na placu Zbawiciela. Podczas „czarnego piątku" w 2016 r. wchodzi na wieżę kościoła św. Anny, robi zdjęcie tłumu ukrytego pod czarnymi parasolkami. – Z czasem zobaczyłam, że dla wielu ludzi moje zdjęcia są ważne. Dzięki nim widzą wydarzenia takimi, jakimi są – opowiada. – Fotografie z Białegostoku przebiły się do powszechnej świadomości.

– Dla kiboli jestem starszą panią z aparatem. Kiedy mnie widzą, od razu rozpoznają, że nie jestem z nimi. Inni, np. Chris Niedenthal, mogą łatwiej wtopić się w tłum, podejść bliżej – mówi.

Podejść bliżej – dlaczego to tak ważne? Bo dzisiaj transparenty z „White Power" nie zrobią już wrażenia. Trzeba biec tam, gdzie jest „afera", starcie, konfrontacja. Zwykle na czele marszu, gdzie „dymy" zdarzają się najczęściej. ↦

Białystok, 20 lipca 2019 r.

ALEKSANDRA PERZYŃSKA

Ekspozycja

↦ Do Białegostoku jadą razem: pięć kobiet-fotografek w jednym samochodzie. Przeczuwają, co się wydarzy. Parkują 300 metrów od placu, z którego marsz ma ruszyć. – Miałam przekonanie, że to bezpieczna odległość. Okazało się, że jesteśmy bardzo blisko – mówi Katarzyna. – Sam plac był już zatłoczony przeciwnikami marszu. Widziałyśmy to wyraźnie: byli pijani, głośni, rozjuszeni. Zaczęłam biegać po wzgórzu i robić zdjęcia. Zrozumiałam, że uczestnikom marszu będzie trudno. Że będzie niebezpiecznie. Bojówkarze ustawiali się przed czołem marszu, by go zablokować. Po bokach stał po prostu Białystok. Zwykli ludzie. Widać, że czuli się ośmieleni siłą i agresją kiboli i narodowców. Jednocześnie ci drudzy ośmieleni byli obecnością zwykłych mieszkańców miasta. Krąg agresji się napędzał.

Najczęstsza poza, jaką Katarzyna uchwytuje: środkowy palec w górę, dumnie uniesiona głowa. Szeroko rozłożone ramiona, nogi twardo stojące na ziemi. Poczucie nienaruszalności. W zbliżeniach zmarszczone brwi, szeroko otwarte usta. Stroje sportowe, na koszulkach napisy „Bandycki Klub Sportowy", „Białystok przeciw zboczeńcom", symbol Polski Walczącej.

Co widzi w twarzach, które fotografuje? – To czysty gniew, agresja – mówi Katarzyna. – Czerwień wpadająca niemal w purpurę, żyły wychodzące spod skóry. A jednocześnie przekonanie, że „jestem lepszy", że „mam prawo". Że „ja tu jestem panem i niech ktoś podskoczy". Szeregi narodowców i kiboli robią wrażenie.

Zazwyczaj ma plan działania, listę rzeczy do wykonania. Im plan dokładniejszy, tym lepsze zdjęcia. W Białymstoku plan się sypie. Aleksandra stoi w gronie kilku fotografów, naprzeciwko grupy kiboli, którzy zaczynają się rozkręcać. Nabuzowani, czerwoni ze złości, i według świadków pijani, zaczynają posyłać przekleństwa, wyzwiska i obraźliwe gesty. Zbliżają się. Wtedy jeden z fotografów wychodzi do nich z aparatem. Także dlatego, by ewentualna agresja skupiła się na nim.

– Zachował się bohatersko – mówi Aleksandra. – To on zebrał ciosy i kopniaki, to jemu chcieli wyrwać z ręki telefon. Zdążyłam zrobić zdjęcia. Ale moim odruchem było wycofanie się. Widziałam, że na mnie patrzą. Że jeszcze trochę i ruszą w moim kierunku.

KATARZYNA PIERZCHAŁA

Białystok, 20 lipca 2019 r.

Już na początku sytuacja jest tak zła, że policja musi użyć gazu i granatów hukowych. Aleksandra w chaosie robi dwa zdjęcia i chce uciekać. Widzi fotoreportera, który zdejmuje plecak i wyciąga kamizelkę: taką, jaką noszą korespondenci podczas konfliktów zbrojnych. – Wtedy poczułam, że jestem w miejscu, w którym dzieje się coś, co nie powinno mieć miejsca. Zastanawiałam się, czy ten dziennikarz był kiedyś w Syrii i dlatego wie, jak się zachować? – mówi. – W twarzach tych, którzy atakowali uczestników marszu, widziałam chęć mordowania ludzi. A jeśli nie mordowania, to pobicia, dania nauczki, popisania się przed kolegami ludzkim „trofeum" – kolejnym człowiekiem z podbitym okiem.

Katarzyna traci instynkt samozachowawczy. „Czego stoisz?! – krzyczy do niej Robert. – Spier...my!". Zdecydowanym ruchem odciąga ją na bok, kiedy wybuchają granaty i unosi się gaz. Ktoś nagrywa to z boku: na filmie widać, jak fotoreporter ciągnie Katarzynę w kierunku parku. Tylko po to, by nie znaleźć się w samym środku. Ale i tak obrywają gazem.

– Nie myślałam już o zdjęciach. Zastanawiałam się raczej nad tym, jak uciec. Ale nie wiedziałam, że za mną jest ściana, a krąg ludzi się zawęża – opowiada fotografka. – Pomyślałam potem, że mogłabym mieć lepsze kadry. Nie poniosłam wielkich strat. Nabiłam sobie tylko siniaka, bo dostałam racą w kolano. Ale musiałam uciekać. Na głowy leciał gruz, granaty, petardy. Bałam się.

Chwilę później robi zdjęcia młodej dziewczynie o delikatnej urodzie, niosącej różaniec w wysoko wyciągniętej ręce. Na jednym ze zdjęć widać mężczyznę z dzieckiem w spacerowym wózku, stojącego pośrodku zamieszania, jakby niewzruszonego sytuacją. Na innym: postawnego chłopaka w krótkich spodenkach i czarnej koszulce z wyraźnym napisem „Jestem twoim koszmarem".

– Idąc przez Białystok czułam się jak zaszczute zwierzę – mówi. – Spodziewałam się ataków, ale nie ich skali. Kiedy tylko przyszłam na miejsce, zrozumiałam, że tym razem nie wejdę między narodowców.

Jej bezpieczeństwo zależy od tego, jak zachowa się policja. Kiedy policjanci reagują, agresorzy czują się mniej bezkarni. W Częstochowie, kiedy pielgrzymowali na Jasną Górę, policjanci pilnowali, by nikt jej nie zaatakował. Sami przyznawali, że narodowcy ją namierzyli. W Białymstoku, mówi, policja stała daleko od epicentrum wydarzeń: niewiele brakowało, żeby sytuacja stała się jeszcze groźniejsza.

Aleksandra usłyszy bluzgi i wyzwiska („zdrajca narodu", „wyp...laj do Izraela"). Potem będą chcieli jej wyrwać aparat, wypchnąć. Atak zaczyna się wtedy, kiedy tłum uznaje, że fotoreporter „nie jest od nich". Nie krzyczy tych samych przyśpiewek, nie rzuca obelgami.

Robert wiele widział, ale nie spodziewał się tego, co zastał w Białymstoku. – Plucie, bicie, obrażanie, modlitwa przemieszana z bluzgami. Tego w takiej skali jeszcze nie widziałem – mówi. Na początku, jak zawsze, zbliża się do narodowców, zagaduje, wdaje się w dyskusje. Ostrzega: panowie, odsuńcie się, to poważna sytuacja, komuś może stać się

krzywda. Biorą go za swojego, za sprzymierzeńca.

Robert integruje się zawsze z dwiema stronami konfliktu. Stara się być obiektywny. – Nie robię tego z powodów ideowych. Czuję się przede wszystkim dokumentalistą. W dzisiejszych czasach to ważne, by ktoś był na miejscu i zdawał relację z tego, co się stało. Także po to, by ci, którzy biją, poszli po rozum do głowy. By pomyśleli: czy warto tu być? – mówi.

Nie wychodzi z roli reportera nawet wtedy, gdy pod własnym adresem słyszy obelgi, gdy ktoś na niego pluje, próbuje bić. Widzi, że niektórych obiektyw rajcuje, chcą być zapisani w historii jako bohaterowie. Nawet w roli tych, którzy rzucają w innych kostką brukową. – Wtedy pozują, wykonują gesty, miny, krzyczą – opowiada Robert. – Chcą być w gazecie lub na Facebooku, i żeby kolesie z osiedla podziwiali ich, jacy są mocni.

Nad bezpieczeństwem zastanawia się po fakcie. W akcji kieruje się instynktem. Przyznaje: lubi adrenalinę i także dla niej fotografuje demonstracje. – Dopiero później wszystko z człowieka schodzi. Żona mówi do mnie: „Stary, ty przecież przez sen mówiłeś »Białystok«”.

Oddalenie

Kiedy Robert widzi, że młodych ludzi, z którymi wcześniej się zbratał, teraz ktoś bije i kopie, zawsze ma dylemat: bronić czy robić zdjęcia. – Zazwyczaj pozostaje mi robić to drugie. Włączam się dopiero w skrajnych sytuacjach – mówi. – W Białymstoku nie było możliwe, bym kogokolwiek bronił. Musiałem dbać o własne bezpieczeństwo.

Idzie więc przez rozjuszony tłum, obserwuje. Wyłapuje miniscenki, drobne, dla innych niewidoczne dramaty. – Dzisiaj wiem, że ten, który bije, mocny jest tylko w grupie i tylko przez moment. Kiedy dopada go policja, robi się słaby, bezbronny i woła o pomoc – mówi Robert. – Widziałem też sytuacje, w których to nastoletnia córka woła do policjantów, by nie robili krzywdy tatusiowi. Jestem przekonany, że powalony na ziemię facet dopiero teraz, właśnie w tym momencie uświadamia sobie, jaki zrobił błąd, i potem nigdy go już nie powtórzy.

Wtedy Robert naciska na spust migawki. – Sytuacje takie jak w Białymstoku to tragedia dla obu stron: dla atakowanych i dla atakujących – mówi. – Ci pierwsi są bici i obrażani. Ci drudzy nie zdają sobie sprawy, jakie konsekwencje sprowadzają na siebie i swoje rodziny. Wie pan, nie wierzę, że wszyscy, którzy atakowali marsz równości, przyszli tam, by robić innym krzywdę. W przypadku wielu z nich to był owczy pęd. Dlaczego tak łatwo temu pędowi ulegają? Nikt nie mówi o tym, że zabrakło im edukacji. Że wychowali się w świecie, który ich w pewnym momencie porzucił, a poczucie godności znaleźli dopiero na osiedlu, w grupie kibiców, na ulicy.

Katarzyna skończyła handel zagraniczny, zajmuje się nieruchomościami. Ma świadomość, że jej świat jest czasem lata świetlne od świata młodych poza dużym miastem. – Jest we mnie żal i współczucie, bo wiem, że ci młodzi ludzie nie mieli czasem możliwości przekonania się, że świat może być inny, różnorodny – mówi. – Chciałabym ich przekonać. Ale w dyskusji nie jestem dobra, od tego są inni. Mnie pozostaje obiektyw.

Z Aleksandrą rozmawiamy w przeddzień rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Aleksandra wyjdzie na ulice Warszawy z aparatem, tak jak zawsze. Niepewnym, drżącym głosem opowiada teraz o swoich wątpliwościach i lęku. Ma nadzieję, że nie będzie musiała zrobić zdjęć jak z pola bitwy. Choć wie, że do Warszawy jadą narodowcy i kibole z całej Polski. I że środowiska LGBT, zwłaszcza po tym, co stało się w Białymstoku, będą chciały zaznaczyć swoją obecność. Czy znowu dojdzie do konfrontacji? Ciągle jest w niej wiara, że jeśli zrobi zdjęcie i pokaże je na Facebooku, to ludzie zobaczą i się otrząsną. Choć wiara przychodzi jej z coraz większym trudem.

Tak, przyznaje, doświadczenia takie jak w Białymstoku odkładają się w psychice. – Zaraz po marszu wsiadłam w samochód do Warszawy. Prowadził ktoś inny, ja nie mogłam – mówi. – Kilka dni po marszu było źle i chyba nadal nie wszystko ze mnie zeszło. To szok pomieszany z bezsilnością.

Cena, jaką płaci za to, co robi, dotyczy też życia prywatnego. Jest architektem zieleni, projektuje także wnętrza. – Ostatnio praca sprawia mi coraz mniej satysfakcji. Ciągle jest we mnie wątpliwość: jak mogę się cieszyć pracą, jeśli wokół dzieją się takie rzeczy? – mówi. – Oprócz tego, coraz mniej czuję się częścią tego społeczeństwa... A raczej narodu. To chyba lepsze słowo, bo coś takiego jak społeczeństwo – teraz to wiem – u nas nie istnieje. Według tych, którym robię zdjęcia, nie jestem częścią narodu. I chyba nie chcę być.

© MARIUSZ SEPIOŁO

POŻEGNANIE

„Boże, przestrzeni, dokąd Ty mnie zabierzesz?”
Julia Hartwig

Ufna w Wielkie Miłosierdzie Boga w dniu 17 maja 2019 r. odeszła do wieczności

Ś.† P.

Wojciecha Zeiske
z d. Buraczyńska

ur. 22 IV 1920 w Warszawie.

Więziona 1941/45 najpierw na Zamku Lubelskim, następnie prawie 4 lata w obozie koncentracyjnym Ravensbrück, gdzie była poddana zbrodniczym eksperymentom pseudomedycznym – tzw. „Królik z Ravensbrück”. Osoba wielkiej dobroci i mądrości, kochająca Pana Boga, wielka Patriotka, pełna miłości do ludzi. Od początku istnienia „Tygodnika Powszechnego” była jego wierną prenumeratorką i czytelniczką.

Świętej pamięci Zmarła została pochowana w dniu 23 maja 2019 r. na warszawskim Cmentarzu Bródnowskim - kwatera 22A/2/12

CÓRKI, ZIĘCIOWIE, WNUCZĘTA I PRAWNUCZĘTA

Onkologiczne tsunami

AGATA POLIŃSKA, ZAŁOŻYCIELKA FUNDACJI ONKOLOGICZNEJ ALIVIA:

Dorzucać pieniądze na leczenie można w nieskończoność, ale nigdy nie będziemy wiedzieć, czy dorzucamy je w odpowiednie miejsce.

PAULINA BŁASZKIEWICZ: Żyje Pani tylko dlatego, że w porę zorientowała się, że w Polsce z raka Pani nie wyleczą.

AGATA POLIŃSKA: Tak, i dlatego powstała fundacja Alivia. Kiedy zachorowałam na raka piersi, miałam 28 lat. Choroba szybko postępowała, a mój wiek pogarszał rokowania, bo u młodych ludzi procesy nowotworowe przebiegają szybciej. Szanse na wyleczenie były umiarkowane już w momencie diagnozy, a stały się jeszcze gorsze, gdy po dwóch latach intensywnego leczenia choroba wróciła. Wykorzystałam wszystkie metody dostępne w ramach NFZ: operacje, chemie, naświetlania.

Cytuję ze strony Pani fundacji: „Polskę atakuje onkologiczne tsunami".

Tego określenia używają eksperci: lekarze i epidemiolodzy śledzący trendy zachorowań, których jest coraz więcej. Rak staje się problemem społecznym. Tym bardziej że razem z pacjentem „choruje" jego rodzina.

Na raka w Polsce umiera tyle osób, że w ciągu kilku lat znika miasto.

W przeciągu ostatnich lat pozbyliśmy się dwóch sporych miast. W latach 1999–2015 w Polsce na nowotwory zmarło 1,6 mln osób. Ludzie dalej umierają, a różnica wynikająca pomiędzy nami a krajami, które mają dobrze zorganizowaną opiekę onkologiczną, profilaktykę i dostęp do leczenia zgodnego z aktualną wiedzą medyczną, to aż 30 tysięcy osób rocznie.

Jak uciekła Pani z tego... miasta?

Lekarze zaproponowali mi leczenie w ramach badania klinicznego, ale ja wiedziałam, że istnieje lek, który był już po badaniach i wiadomo było, że mógłby mi pomóc. Niestety w moim stadium choroby był on w Polsce nierefundowany. Po wielu bojach zrozumiałam, że tego leku nie uda mi się zdobyć, dlatego poleciałam do Stanów i go kupiłam.

Tak po prostu?

Kuzyn pracuje tam jako histopatolog w szpitalu onkologicznym. Wysłałam mu historię leczenia i aktualne wyniki badań. Poprosiłam, by zapytał lekarza, czy dobrze myślę. Przeszłam tzw. zdalną konsultację i choć musiałam się spotkać z lekarzem osobiście, to jechałam z przekonaniem, że ten lek dostanę.

Ile kosztował?

2 tys. dolarów za miesięczną kurację. Wracałam z tym zakupem cała zestresowana, bo wiozłam w walizce spore ilości – kilka opakowań na parę miesięcy. Bałam się, że zabiorą mi je na lotnisku. Na szczęście udało się je przewieźć, a potem odzyskać zdrowie.

Mówi Pani o leczeniu „zgodnym z aktualną wiedzą medyczną"? W Polsce takiego nie ma?

Jeżeli przyjmiemy, że towarzystwa, które zrzeszają najwybitniejszych przedstawicieli środowiska naukowego i lekarskiego w Europie, wprowadzają pewne standardy leczenia, to można zakładać, że te standardy są aktualną wiedzą medyczną. W Polsce nie mamy dostępu do większości nowoczesnych terapii wskazanych w tych standardach. Aby pomóc pacjentom się w tym zorientować fundacja Alivia stworzyła Oncoindex (www.oncoindex.org).

Co to takiego?

Indeks, który wskazuje poziom refundacji leków onkologicznych w Polsce, zarejestrowanych w Europie w ciągu ostatnich 15 lat i zalecanych przez Europejskie Towarzystwo Onkologii Klinicznej (ESMO). Do obliczenia aktualnej wartości Oncoindeksu w maju 2019 r. przeanalizowaliśmy 93 leki, które występują w międzynarodowych wytycznych leczenia chorób nowotworowych. Okazało się, że 44 (czyli 47 proc.) są nierefundowane w Polsce i tym samym niedostępne dla pacjentów, 34 (czyli 37 proc.) są refundowane, ale z ograniczeniami niemającymi podstaw medycznych, a jedynie budżetowe. Nasza fundacja stworzyła Oncoindex, by monitorować, czy się to zmienia w czasie. Wskaźnik na poziomie -100 oznacza, że żaden pacjent nie ma dostępu do leku zarejestrowanego w Europie w ciągu ostatnich 15 lat i ujętego w standardach. Poziom zero oznacza, że wszyscy pacjenci mają dostęp do leków rekomendowanych w pełnym zakresie.

Jak dziś wygląda Oncoindex?

Kształtuje się na poziomie minus 70, i pomimo że kolejni ministrowie zdrowia o tym wiedzą, nie ma znaczących zmian.

Mowa o nowoczesnych terapiach, ale skąd pacjent ma o nich wiedzieć?

Zrobiliśmy badanie wśród onkologów, z którego wynika, że tylko 14 proc. zawsze informuje pacjenta o takiej możliwości leczenia. Choć jest to ich obowiązek. Pacjent w Polsce nie dość, że nie będzie leczony tymi lekami, bo nie ma takiej możliwości w ramach NFZ, to jeszcze się musi sam o nich dowiedzieć, przeczytać – dlatego zebraliśmy te informacje w jednym miejscu. Chory może wydrukować sobie z naszego portalu listę substancji stosowanych np. w leczeniu raka płuca, pójść z nią do lekarza i zapytać, czy

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

CENTRUM CYKLOTRONOWE *w Krakowie prowadzi terapię protonową niektórych rodzajów nowotworów. Kierownictwo deklaruje, że w ośrodku można leczyć nawet 700 pacjentów rocznie; ze względu na trudności administracyjne (m.in. ograniczenie liczby wskazań do protonoterapii, trudności w porozumieniu się szpitali z Centrum) w 2018 r. z terapii skorzystało 100 pacjentów, rok wcześniej – 17.*

w jego przypadku któryś z nierefundowanych leków mógłby pomóc.

O tym, że są leki dla pacjentów chorych na raka, które dają efekty, ale trzeba samemu za nie płacić, publicznie opowiedziała Kora, która wywalczyła lek dla siebie i wielu Polek chorych na raka jajnika.

Kora była naszą podopieczną. Zachęcaliśmy ją, by opowiedziała o tym publicznie, bo to może zmienić nie tylko jej sytuację, ale również wielu pacjentek, które nie mają tak silnego głosu.

Sama finansowała swoje leczenie?

Tak, ale było ją na to stać do pewnego momentu. Ten lek kosztował 24 tysiące zł miesięcznie. Brała go przez okres dłuższy niż rok, więc jeśli leczenie ma trwać dłużej, to robi się budżet, który nawet dla zamożnej osoby jest poza możliwościami. Kora założyła u nas konto i zaczęła zbierać pieniądze na ten lek. Na szczęście jej głos był na tyle silny, że Ministerstwo Zdrowia go wprowadziło. Co więcej – rak jajnika jest jedynym obszarem terapeutycznym na 20 przez nas zbadanych generujących najwięcej zgonów, w którym pacjentki mają dostęp do takiego leczenia, jakie jest rekomendowane przez ESMO. Oncoindex wynosi w tym przypadku zero. To się wydarzyło dzięki zaangażowaniu Kory.

A pozostali pacjenci?

Często dostają leki starego typu. Są mniej skuteczne, powodują więcej skutków ubocznych i dają mniejsze szanse, że pacjent będzie żył dłużej lub w lepszej jakości. Są obszary dobre, jak wspominany nowotwór jajnika czy białaczka limfatyczna, ale są też obszary, gdzie żaden z leków zarejestrowanych w ciągu 15 lat i rekomendowanych przez ESMO nie jest w Polsce dostępny. To np. nowotwór złośliwy pęcherza moczowego, chłoniak nieziarniczo-grudkowy. Słabo wygląda też rak piersi, nowotwór jelita grubego, nowotwór złośliwy oskrzela i płuca, a te ostatnie trzy typy najczęściej zabijają Polaków.

Zabija ich ekonomika leczenia...

Wprowadzenie do refundacji leków ujętych w międzynarodowych standardach leczenia to są spore koszty dla budżetu. Zawsze pada pytanie o to, czy warto wydawać te pieniądze, do jakiego poziomu i dla jakich pacjentów? Ta dyskusja z jednej strony musi się odbyć, bo płatnik musi wydawać gospodarnie publiczne pieniądze. Natomiast w sytuacji, w której rząd czerpie kilkanaście miliardów złotych rocznie z akcyzy ze sprzedaży papierosów, wyrobów tytoniowych i alkoholowych, które są rakotwórcze, to ta dyskusja wydaje mi się nieco nieetyczna.

To ile brakuje, żeby ocalić miasto?

Około miliarda złotych, może dwóch na to, żebyśmy byli leczeni zgodnie z aktualną wiedzą medyczną. Nie podejmuję tej dyskusji budżetowej, bo te pieniądze w budżecie państwa już są: zostały wyjęte z kieszeni ludzi, którzy chorują bądź będą chorowali. Obserwuję obietnice i ich realizację przez kolejne rządy. Ministrowie zdrowia zmieniają się tak często, że jak z jednym uda się dojść do porozumienia, to natychmiast zostaje powołany następny. Niedawno słyszeliśmy od premiera, że zdrowie i onkologia mają być priorytetem. Niestety kolejne Onkoindeksy, które publikujemy, nie wskazują na to, by to się przekładało w jakikolwiek sposób na praktykę. To, co trzeba zrobić, to zwiększyć oczywiście budżet, który sfinansuje cały ten obszar, ale poza tym trzeba popracować nad lepszą organizacją i wydawaniem pieniędzy. Dorzucać pieniądze można w nieskończoność, ale nigdy nie będziemy wiedzieć, czy dorzucamy je w odpowiednie miejsce.

Z czym jeszcze sobie nie radzimy?

Polski pacjent przede wszystkim nie ma dostępu do szybkiej diagnostyki. Cały proces od momentu zgłoszenia się pacjenta do czasu konsylium lekarskiego i podjęcia decyzji o rozpoczęciu leczenia miał się zamykać w czasie od 9 do 12 tygodni. Okazuje się, że nie zawsze udaje się ten termin utrzymać. Pacjenci poza tym muszą borykać się z przeszkodami i zagubieniem w systemie. Nie wiedzą, gdzie mogą wykonać szybko badania, gdzie będą one dobrze zrobione. A jak chorobę udaje się zdiagnozować, to okazuje się, że niektóre nowoczesne techniki chirurgiczne, mniej okaleczające pacjentów, są rzadko w Polsce stosowane. To np. jednoczasowa rekonstrukcja piersi. Wiem też, że na Zachodzie wykonuje się dużo mniej stomii przy raku jelita grubego, a u nas to częsty finał operacji. To rzutuje na całe dalsze życie chorego, który przecież liczy, że wróci do zdrowia.

Dlaczego tak jest?

Nasi lekarze nie mają często możliwości, by się dokształcać i uczyć nowych technik. W związku z tym chirurgia jest w jednych miejscach lepsza, a w innych gorsza. Najgorzej, że pacjenci nie wiedzą, gdzie są te lepsze miejsca. Jeżeli operację wykonuje chirurg, który takich operacji ma kilkadziesiąt w ciągu roku (w zależności od typu raka), to prawdopodobieństwo, że nastąpi nawrót z powodu niedocięcia nowotworu jest znacznie mniejsze niż jak operuje chirurg, który takich operacji zrobił pięć rocznie. Alivia wystąpiła do Ministerstwa z wnioskiem o utworzenie tzw. unitów narządowych, by w różnych miejscach, gdzie są centra onkologii, powstawały centra wyspecjalizowane w leczeniu danego typu raka.

Wiadomo, gdzie takie centra mogłyby powstać? ↦

Np. w Warszawie mamy w Centrum Onkologii Klinikę Nowotworów Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków. Jeśli zachorujemy na ten nowotwór, to dobrze leczyć się właśnie tam. W innych ośrodkach pacjentów z czerniakiem będzie kilku rocznie, a w takim centrum onkologii będzie ich więcej, bo tam ludzie zgłaszają się naturalnie. To samo dotyczy mięsaków, ale i np. raka płuca, którego najlepiej operuje się w ośrodkach pulmonologicznych, specjalizujących się w chorobach płuc, a nie tylko nowotworów. Na razie poruszamy się jednak w sferze domysłów, bo brakuje rejestrów, które by to mierzyły na twardych danych. Być może środki finansowe są kierowane do ośrodków, które nieefektywnie leczą? Udało nam się wychodzić w zeszłym roku zapewnienie ze strony Ministerstwa, że powstaną pierwsze rejestry, i zabezpieczyć na nie budżet. Niestety nie mamy wrażenia, że w tym temacie od początku roku się coś wydarzyło – nie ma chyba nawet koncepcji, jakie wskaźniki miałyby one zbierać i mierzyć.

Fundacja stworzyła portal onkomapa, na którym pacjenci mogą dzielić się swoimi wrażeniami z ośrodków.

Tak, na tej podstawie tworzymy przewodnik po przyjaznych placówkach i lekarzach dla osób nowo zdiagnozowanych. Takie badanie satysfakcji powinno być obligatoryjne we wszystkich placówkach zdrowia, a wysokość kontraktu z NFZ uzależniona również od zadowolenia pacjentów z usług.

Ilu macie podopiecznych?

Około 350, ale to niewielki procent ludzi, którzy są w takiej sytuacji, że nie stać ich na ponoszenie kosztów związanych z leczeniem. Staramy się budować świadomość społeczną, że rak to choroba coraz bardziej powszechna i że warto zachować czujność onkologiczną, ale nasz główny kierunek działań jest skupiony na tym, by pomóc osobom chorym w lepszym podejmowaniu decyzji dotyczących leczenia. Staramy się prowadzić projekty, które pomagają znaleźć ośrodek, szybszą diagnostykę, pokazujemy, gdzie jest najkrótsza kolejka do badań w ramach NFZ. Prowadzimy bazę wiedzy o raku. Mamy też portal „Prosto w raka", który edukuje pacjentów w zakresie medycyny personalizowanej, czyli leczenia celowanego w konkretne mutacje.

ARCHIWUM PRYWATNE

AGATA POLIŃSKA jest współzałożycielką fundacji onkologicznej Alivia. Copywriterka, absolwentka Lingwistyki Stosowanej i Gender Studies UW. Autorka wielu popularnych i nagradzanych reklam telewizyjnych i radiowych. Zajęła 57. miejsce na liście stu najbardziej wpływowych osób w polskim systemie ochrony zdrowia w 2018 r., rankingu prowadzonym przez „Puls Medycyny".

Z tego wynika, że pacjent w Polsce chory na raka sam powinien być koordynatorem swojego leczenia?!

Trochę tak jest, ale w sytuacji, kiedy lekarz informuje nas tylko o tym, co jest dostępne w ramach NFZ, to cóż nam pozostaje, jeśli chcemy ratować swoje życie, a nasza sytuacja jest trudna? Na początku miałam szanse przeżycia pół na pół i starałam się wycisnąć każdy procent w ramach tej połowy, ale potem okazało się, że to złe pół się realizuje i moje szanse spadły do poziomu między 7 a 15 procent. Gdybym nie podjęła tej próby, to nie wiem, czy znalazłabym się w tych 15 procentach.

Czy wśród Waszych podopiecznych też są historie z takim zakończeniem?

Mamy takie historie i one są bardzo budujące. To nie jest tak, że zawsze udaje się człowieka wyleczyć, ale czasami udaje się wywalczyć więcej czasu, który dla niego i jego rodziny jest bezcenny. Kłopot w tym, że do nas pacjenci zgłaszają się dosyć późno.

Jak zawiedzie ich system...

...Albo jak proponowane im leczenie nie okaże się skuteczne. Wtedy rozpoczyna się poszukiwanie ratunku na własną rękę. Można tu powalczyć o przedłużenie życia, ale nie zawsze można zawalczyć o całkowite wyzdrowienie, chociaż immunoterapie stają się przełomem w onkologii. Są dowody na to, że osoby, które miały chorobę rozsianą, czyli miały odległe przerzuty w różnych miejscach, zostały wyleczone.

A kto sobie z tym najlepiej radzi?

Kraje zamożne, takie jak np. Norwegia czy Szwajcaria. Tam są bardzo dobrze prowadzone programy profilaktyczne, co ma bardzo duże znaczenie w leczeniu raka. Niedawno byłam też w Islandii, gdzie działa system wychwytujący pacjentów, którzy nie przychodzą na badania profilaktyczne. Ludzie, którzy tych rejestrów pilnują, dzwonią do pacjentów i przekonują ich tak długo, aż przyjdą na badania. Efekt jest taki, że na Islandii nie ma raka szyjki macicy.

Kilka lat temu Ewa Kopacz proponowała, by cytologię wprowadzić do obowiązkowych badań pracowniczych. Środowiska feministyczne były tym pomysłem oburzone.

Znając koszty społeczne i skutki leczenia tych chorób, również skłaniam się ku temu, że te badania powinny być obligatoryjne. W Japonii też działa ciekawy system. Tam ktoś, kto robi badania profilaktyczne, płaci niską składkę na ubezpieczenie zdrowotne, a jeśli ktoś ich nie robi, to płaci bardzo wysoką. To ma sens, bo daje pewną wolność, ale z konsekwencjami, które u nas ponoszą wszyscy.

Profilaktyka jest bardzo ważna, jednak nie leczy. Co powiedzieć kobiecie, która nie chce zrobić mammografii, bo w Polsce i tak jej nie wyleczą?

Rozumiem tę frustrację, bo jak się człowiek zderzy z systemem, to traci zaufanie, ale to nie do końca prawda. Wcześnie wykryty rak jest uleczalny! Powszechny obraz jest taki, że nowotwór to trudne leczenie, a dobrze byłoby zmienić to postrzeganie. By tak się stało, potrzeba nam dobrych doświadczeń – mniej toksycznych terapii i okaleczających operacji, więcej dostępu do tych ukierunkowanych na chorobę i późniejsze życie pacjenta, więcej przykładów skutecznego, efektywnego procesu leczenia, szybkie terminy i skoordynowany proces leczenia. Może to odbuduje zaufanie przeciętnego Polaka do systemu opieki onkologicznej?

© Rozmawiała PAULINA BŁASZKIEWICZ

ANNA

Dziewit-Meller:
Sennik współczesny

30 lipca Instagram przypomniał, że święto! Rocznica, może nie okrągła, nie jakaś wielce jubileuszowa, bo trzydziesta ósma – ale zawsze to powód do wspominek. Przecież wszyscy Polacy pamiętają o tym pięknym patriotycznym, wspaniałym święcie. Premier Morawiecki wyszedł tego dnia na mównicę podczas którejś z gospodarskich, przedwyborczych wizyt w terenie i rzekł:

„Kochani, dziś taki dzień, że choć serce się rwie do tego, by tu u was zostać, ja jednak muszę ruszać dalej. Dziś przecież 30 lipca! Dzień, w którym cała Polska pamięta szczególnie o Łodzi. Zaraz po mityngu tu u was jadę więc z panem marszałkiem (to znaczy pan marszałek poleci), z ministrem Glińskim, wreszcie z panem prezydentem Andrzejem Dudą, który – jak zawsze – objął swoim honorowym patronatem dzisiejsze uroczystości, jadę do tego miasta niezłomnego, gdzie jak co roku, szczęśliwie od wielu już lat, mimo zmian u steru władza naszej wolnej ojczyzny spotyka się z tymi, które nam tę wolność niosły.

Jadę, kochani, do tych najdzielniejszych z dzielnych, do łódzkich włókniarek, by wspominać z nimi i świętować tę pamiątkę dnia, w którym przez miasto Łódź przeszła największa manifestacja niezgody na działania władzy w dobie PRL. Jadę do nich, by być z nimi 38 lat po Marszu Głodowym Kobiet. Nigdy wcześniej i nigdy później komunistyczna Polska nie widziała takich tłumów na ulicach. Kobiety łódzkie, te kariatydy polskości, nasze wspaniałe dzielne matki Polki, równo 38 lat temu wyszły na ulicę Piotrkowską, by domagać się chleba. Chleba dla swoich dzieci, dla nas!

Na ich czele stanęła wspaniała Janina Kończak, wtedy młoda, młodziutka kobieta, ale już matka trójki dzieci. Kochani! Janina pracowała na trzy zmiany, by jakoś połączyć koniec z końcem, a nocami stała w kolejkach po jedzenie dla tych dzieci. Pamiętajmy o tym, patrząc na spracowane dłonie naszych matek, że obowiązek aprowizacji gospodarstw domowych tradycyjnie spoczywał na kobietach, nawet gdy zmian było trzy, a zaopatrzenie sklepów wołało o pomstę do nieba. Stała więc w kolejkach dzielna Janina, ale często po tych nocnych łowach wracała do domu z pustymi siatkami. Czym nakarmić głodne dzieci, gdy nie ma nic do jedzenia? Gdy nie została choć kruszyna chleba? Co im powiedzieć? Jak spojrzeć w oczy?

Janina miała już dość. Tak żyć nie sposób! Ona i jej podobne ciche bohaterki tamtych dni bały się, a jakże! Dobrze wiedziały, jak skończył się rok 1970 na Wybrzeżu, gdy o chleb i godność upomnieli się robotnicy. A jednak gdy Janina Kończak zaczęła namawiać koleżanki do strajku, te niemal bez wahania opowiedziały się za. I w końcu wyszły na ulicę. Wzięły ze sobą dzieci, niosły je na rękach, wiozły w wózkach, prowadziły za ręce. Te małe i te większe. Wzięły ze sobą więc to, co miały najcenniejszego w życiu, na strajk, na protest, na konfrontację z władzą, która już nie raz pokazała, jak potrafi pacyfikować opór społeczny. Ale gdy tylko wyszły z domów i znalazły się na ulicy Piotrkowskiej, zobaczyły solidarność. Ogólnoludzką, wielką solidarność tłumu, który ma dość i który czuje swoją moc. Moc tłumu kobiet.

»Trzy zmiany, jeden głód« – skandowały, idąc w wielkim, jak okiem sięgnąć, ciągnącym się przez miasto, wielotysięcznym pochodzie, pchając przed sobą te uwiecznione przez SB na czarno-białych fotografiach wózki z dziećmi, krocząc za ciężarówkami przedsiębiorstwa Transbud, udekorowanymi transparentem »Za nami pójdą kobiety!«. Dziś winniśmy im wszyscy pamięć i szacunek, za tamten zryw, za tamtą odwagę, za to, że powiedziały władzy: NIE!

Dlatego w tym szczególnym dniu spojrzenia nasze skierowane być muszą na miasto Łódź. Tam przy Pomniku Włókniarek, z którego tak dumni jesteśmy, dziś po raz kolejny uściśniemy dłonie tym, które ramię w ramię ze swoimi kolegami z Solidarności, z wielkimi bohaterami kolejnych strajków narażały się kiedyś dla nas, byśmy mogli dziś godnie żyć. Czyż moglibyśmy bowiem te strajki socjalne, te manifestacje bez ofiar śmiertelnych, te dumne pochody umniejszyć? Czy przyszłoby nam do głowy wymazywać z podręczników te opowieści pełne pasji i odwagi? Czy determinacja tej gigantycznej masy ludzkiej nie zasługuje na stosowne upamiętnienie i miejsce w zbiorowym portrecie polskich przemian? Musimy jako naród spoglądać w swoją przeszłość z uwagą, dostrzegając tę piękną wielość wątków, ten kalejdoskop postaw, które złożyły się na wolność naszą i waszą”.

A potem się obudziłam. I od rana interpretuję ten sen. Senniki są sprzeczne w jego ocenie. ©

POŻEGNANIE

28 lipca zmarła w Chrzanowie nasza kochana

Janina Bartman

Władzikowi – seniorowi rodu,
Wojtkowi, Małgosi i bliskim
składamy wyrazy współczucia,

niepogodzeni z Jej stratą

Przyjaciele Rodziny

ANTYKLERYKALIZM NIE WYSTARCZY

Coraz powszechniejsza niechęć do księży to jeden z przejawów kryzysu katolicyzmu. Widać w nim też niezrozumienie samej instytucji kapłaństwa.

SEBASTIAN DUDA

W niedzielę 28 lipca, tuż przed mszą świętą o godz. 18 do zakrystii bazyliki św. Jana Chrzciciela w Szczecinie weszło kilku mężczyzn będących pod wpływem alkoholu. Od przebywających w pomieszczeniu proboszcza, kościelnego i zakrystianki zażądali wydania ornatów. Mówili, że chcą odprawić mszę. Gdy ksiądz odmówił, z ich ust wylał się potok bluzgów. Zaczęli różańcami okładać proboszcza po twarzy. Próbujący zasłonić kapłana kościelny dostał pięścią po głowie. Mężczyźni domagający się szat liturgicznych i odprawienia w nich ślubnej ceremonii nie-

bawem – spłoszeni głośnym wołaniem swych ofiar o pomoc – uciekli. Ksiądz i kościelny musieli skorzystać z pomocy lekarskiej. Rany na ich twarzach były głębokie – wymagały szycia. Napastników wkrótce zatrzymała policja. Okazało się, że byli już przez organy ścigania notowani za przestępstwa.

Nie był to jedyny w ostatnim czasie w Polsce akt fizycznej agresji względem katolickich duchownych. W czerwcu pewien (najpewniej chory psychicznie człowiek) rzucił się z siekierą na ołtarz kościoła w Rypinie. Tydzień po tym wydarzeniu przed wejściem do kościoła Najświętszej Maryi Panny na Piasku we Wrocławiu został ugodzony nożem duszpasterz wiernych tradycji łacińskiej. Księża nie doświadczają tylko agresji fizycznej. Coraz więcej kapłanów przyznaje, że częściej niż dawniej spotykają się z przemocą słowną ze strony przypadkowo spotykanych ludzi.

Przyjaźń poddawana próbie

Niełatwo pisać o cierpieniach doznawanych przez księży, gdy „w imię katolickiej polskiej wiary" bici są na polskich ulicach członkowie społeczności LGBT+ czy ludzie o innym kolorze skóry bądź mówiący w autobusie miejskim obcym językiem. Bez wątpienia na postępującą erozję autorytetu duchowieństwa (zarówno biskupów, jak i szeregowych kapłanów) wpływają też ujawniane seksualne skandale, o których sprawstwo obwinia się członków kleru. Nigdy jednak dość podkreślania, że stosowanie zasady *pars pro toto* zazwyczaj sprawiedliwe nie jest. Także względem księży.

O przejawach niechęci wobec siebie (jak również w ogóle wierzących katolików) napisał ostatnio w poruszającym, publikowanym w letnim numerze kwartalnika „Więź" tekście „Czekając na Macieja" ks. Andrzej Luter. To właściwie parafraza kilku odbytych przez niego niedawno rozmów ze współbraćmi kapłanami. Refleksja ks. Lutra jest gorzka: „Zło tkwi w tym, że jestem księdzem. Nieważne jakim. Chodzi o to, że w ogóle jestem księdzem. Dobry ksiądz to były ksiądz. Bardzo łatwo dziś zostać »obskurantem«. (...) Przez ten ostatni rok narasta we mnie bunt przeciwko zdegenerowanej rzeczywistości kościelnej i jednocześnie wielkie rozczarowanie środowiskami – nazwijmy je ogólnie, ale niezbyt precyzyjnie – laickimi. Mam tu kłopot, nie cierpię uogólnień, one zawsze zakłamują rzeczywistość. (...) Ktoś powie: ale to przecież wina Kościoła, sami sobie nawarzyliście piwa. Tak, wina Kościoła jest bezsporna, powiedziałbym nawet: pierwotna. Odczuwam dzisiaj z tego powodu wstyd. Czy może jednak ona usprawiedliwiać nienawiść wobec wiary jako takiej? Taka nienawiść to uderzenie także we mnie, bo jestem cząstką tego Kościoła. Ale nie chcę jęczeć. Coś się bezpowrotnie skończyło, niektóre trwające od lat kontakty środowiskowe ustały. Czy mam poczucie przegranej? Trochę tak. Za rok będę obchodził 30. rocznicę kapłaństwa".

Jawna, motywowana nie tylko niechęcią do instytucji Kościoła, ale i samej chrześcijańskiej wiary wrogość, której doświadczają księża – nawet ze strony swych dotychczasowych niewierzących i wierzących przyjaciół – jest w Polsce coraz powszechniejsza. Myślę, że to jeden ze znaków kryzysu współczesnego katolicyzmu. W kryzysie tym stopniowo odsłaniają się teologiczne aberracje rozumienia instytucji kapłaństwa służebnego. ↦

Targi Sacroexpo, Kielce 2017 r.

DAWID ŁUKASIK / EAST NEWS

Anomalia władzy

Na aberracje te wielokrotnie wskazywał w swych wystąpieniach i pismach papież Franciszek. Wedle niego podstawową chorobą Kościoła jest grzech klerykalizmu. W styczniu tego roku w swym przemówieniu na audiencji dla ponad 70 biskupów wywodzących się z 30 krajów papież stwierdził z wielką stanowczością, że „klerykalizm to anomalia w rozumieniu władzy w Kościele, bardzo powszechna we wspólnotach, w których odnotowano zachowania polegające na nadużyciu urzędu, sumienia i wykorzystywaniu seksualnym". Owo (charakterystyczne dla katolicyzmu, a teologicznie błędne) rozumienie władzy ma dramatyczne skutki w postaci grzechu strukturalnego. To zło, które ma charakter systemowy.

We wspomnianym przemówieniu papież wypowiedział również do biskupów inne znamienne słowa: „Nie bądźcie karierowiczami, nie bądźcie ambitni. Łatwo jest nosić krzyż na piersi, ale Pan prosi nas, by dźwigać znacznie cięższy na barkach i w sercu, prosi, by dzielić jego krzyż. Ewangelii nie głosi się na siedząco, lecz w drodze. Biskup nie żyje w biurze jak administrator firmy, ale wśród ludzi, na drogach świata, jak Jezus. (...) Biskup nie oszczędza energii, nie czuje się jak książę, lecz poświęca się dla innych. (...) Klerykalizm niszczy jedność. Nie czujcie się panami stada, nie jesteście nimi, nawet jeśli inni by to robili czy też pewne miejscowe zwyczaje by temu sprzyjały".

Gdy przytaczam te słowa Franciszka moim znajomym – mniej czy bardziej praktykującym katolikom oraz niewierzącym – zwykle łapią się za głowę: „W Polsce ciężko spotkać takich biskupów, którzy zachowywaliby się, jak chciałby papież". Pytam ich wtedy: „Czy znacie przynajmniej szeregowych księży, którzy do tego ideału się zbliżają?".

Odpowiedź jest najczęściej twierdząca. Prawie każdy spotkał się osobiście z kapłanem prawdziwie żyjącym Ewangelią (albo przynajmniej o takim słyszał). Najczęściej słyszę jednak wtedy, że tacy księża są w Kościele wyjątkami. W swej masie instytucja hierarchicznego kapłaństwa wygląda zgoła inaczej. Duchowni kojarzeni są często z pychą, butą, arogancją, chciwością i obłudą. W Polsce cechy te odczytywano do niedawna przede wszystkim w przymierzu kleru z władzą polityczną czy bogatymi (w dobra materialne) członkami wspólnoty Kościoła. Ostatnio na dowód słabości i niemoralności duchowieństwa przytacza się także przypadki seksualnych przestępstw popełnianych na nieletnich i dorosłych oraz tendencję do ich tuszowania.

Niewielu krytyków Kościoła zdaje się rozumieć, że gorszące i niemoralne zachowania kleru nie wynikają jedynie z ludzkich słabości, ale również (a może przede wszystkim) z anomalnego, by użyć określenia Franciszka, rozumienia kapłaństwa w katolicyzmie. Skandale seksualne wśród kleru z ostatnich dekad z całą mocą odsłoniły teologiczną perwersję, jaka w tej anomalii jest ukryta.

Uświęcenie in blanco

W 1990 r. podczas VIII Synodu Biskupów w Rzymie kard. Josef Ratzinger wygłosił ciekawy referat. Jego zamiarem, jak zadeklarował przyszły papież, było wyłożenie „natury kapłaństwa".

W swym wystąpieniu powiedział m.in.: „Jeżeli w Kościele przyjęło się nazywać święcenia kapłańskie sakramentem, to ma to następujący sens: kapłan spełnia swoją funkcję bynajmniej nie dlatego, że ma po temu szczególne, wrodzone zdolności lub że sprawia mu to przyjemność, albo przynosi zysk. Przeciwnie – kto przyjmuje sakrament, zostaje posłany, aby dawał to, czego sam z siebie dać nie może; aby działał w osobie kogoś innego i był jego żywym narzędziem. Dlatego żaden człowiek nie może samego siebie ogłosić kapłanem. Dlatego też żadna społeczność nie może z własnej woli przeznaczyć kogoś do tej posługi. Kapłaństwo można przyjąć tylko przez sakrament, który należy do Boga. Posłannictwo można przyjąć tylko od posyłającego – od Chrystusa w Jego sakramencie, mocą którego człowiek staje się dla świata głosem Chrystusa i Jego dłońmi. Ten dar z samego siebie to wyrzeczenie się i zapomnienie o sobie, nie niszczy jednak człowieka, ale prowadzi go ku prawdziwej ludzkiej dojrzałości, włącza go bowiem w tajemnicę Trójcy Świętej i ożywia w niej ten obraz, według którego zostaliśmy stworzeni. A ponieważ zostaliśmy stworzeni na obraz Trójcy, ten, kto straci samego siebie, odnajdzie się".

Wszystko to brzmi bardzo pięknie. Mało kto pewnie mógłby dostrzec od razu, że koncepcja kapłana „działającego w osobie i będącego żywym narzędziem Chrystusa" niesie z sobą poważne implikacje nie tylko dla sfery spekulatywnych teologicznych rozważań. Jeśli widzi się w księdzu kogoś reprezentującego Zbawiciela (czyli występującego *in persona Christi*, „w osobie Chrystusa"), to można niestety z wielką konsekwencją nie zauważać szkaradnych grzechów, jakich dopuszczają się duchowni. Z tego powodu rodzice dzieci wykorzystywanych seksualnie przez kler często nie chcieli przyjąć do wiadomości tego, co o swej krzywdzie próbowali im powiedzieć syn czy córka. Kapłan to przecież *alter Christus* – drugi Chrystus. Kapłańskie dłonie, cokolwiek by robiły, pozostaną „święte", bo zostały namaszczone w sakramencie święceń. Sakrament kapłaństwa to wedle wielu niemal intensyfikacja chrztu, do której szeregowi chrześcijanie nigdy nie będą w stanie dorosnąć.

Takie myślenie jest właśnie podstawą anomalii klerykalizmu w Kościele. Opiera się na długowiecznej tradycji. Świadectwa takiego rozumowania znajdziemy w wypowiedziach największych świętych. W XIV-wiecznym „Dialogu o Bożej Opatrzności" nie kto inny jak sam Bóg Ojciec opowiada o kapłanach św. Katarzynie Sieneńskiej w następujący sposób: „Są oni mymi pomazańcami i nazywam ich Chrystusami moimi. Powierzyłem im rozdawanie Mnie samego wam. Umieściłem ich, jak kwiaty wonne, w mistycznym ciele świętego Kościoła. Godności tej nie ma nawet anioł, a dałem ją ludziom, tym, których wybrałem na mych szafarzy. Uczyniłem z nich aniołów, więc powinni być w tym życiu aniołami ziemskimi".

Cóż jednak myśleć i robić w sytuacjach, gdy ewidentnie okazuje się, że kapłani aniołami nie są? Gdy nie osiągają też nawet w niewielkim stopniu „prawdziwej ludzkiej dojrzałości, która włącza w tajemnicę Trójcy Świętej", o której tak zgrabnie mówił przed prawie trzema dekadami kard. Ratzinger? Na takie problematyczne przypadki Kościół miał od wieków szczególne antidotum. Tak przedstawił je w mistycznym dialogu Bóg św. Katarzynie ze Sieny: „Ponieważ On [tj. Chrystus] ustanowił kapłanów swymi pomocnikami, więc do Niego też należy karcenie ich błędów. I chcę, aby tak było. (...) Prawo cywilne nie może wymierzać im kary; zależą oni tylko od tego, kto ma władzę rządzenia i zawiadywania wedle prawa boskiego. Są to moi pomazańcy i przeto mówi Pismo: Nie tykajcie moich pomazańców (Ps 104, 15). W największe

nieszczęście wpada człowiek, który wymierza im kary".

Nic dziwnego, że przez długi czas księża dopuszczający się nawet najokropniejszych przestępstw mogli się czuć bezkarni.

Nowa reforma Kościoła

Skandale seksualne z udziałem duchownych, których ujawniona na całym świecie skala wzbudziła gniew i przerażenie zarówno wśród samych katolików, jak i poza Kościołem, spowodowała bardzo szybko postępującą destrukcję mitu „instytucjonalnej kapłańskiej bezgrzeszności". Wszędzie, nie tylko w Polsce, upada autorytet księży. Wielu widzi w nich coraz częściej uzurpatorów, którzy, ogłaszając się reprezentantami Chrystusa, nie bardzo troszczą się o ewangelię. Są i tacy, którzy twierdzą, że sama instytucja hierarchicznego Kościoła jest tak chora i przeżarta moralną zgnilizną, że wszelkie próby jej reformowania muszą spełznąć na niczym.

W takim ujęciu wiara jest tylko wygodnym instrumentem dla duchownych, by na plecach katolików i niekatolików zabiegać o władzę, wpływy i nieewangeliczne zgoła dobra. Należy zatem przyjąć postawę, jak określił to niedawno zarzucający Kościołowi wielowiekowe propagowanie antysemityzmu i inne zbrodnicze postępki prof. Jacek Leociak, „antyklerykalizmu integralnego". Ta postawa to w gruncie rzeczy manifestacja wolności od wpływów „klerykalnej korporacji". Prof. Leociak twierdzi wręcz, że to ochrona autentycznego chrześcijaństwa przed Kościołem katolickim.

„Antyklerykalizm integralny" nie musi mieć za swój rezultat agresję względem duchownych. Inna rzecz, że nie stanowi też żadnego lekarstwa na akty przemocy czy społecznego ostracyzmu wobec księży, którzy uczciwie starają się żyć Ewangelią i autentyczną Ewangelię głosić. Współczesny kryzys Kościoła, istotnie najpoważniejszy od czasów Reformacji, to raczej palące wezwanie dla katolików nie do przyjmowania postawy „antyklerykalizmu integralnego", ale dogłębnego przemyślenia na nowo znaczenia i działania instytucji kapłaństwa hierarchicznego.

Coraz wyraźniej widać, że nie wystarczą tu ani papieskie filipiki kierowane przeciw „anomalii klerykalizmu", ani wzywanie kapłanów do „życia bardziej zgodnego z Ewangelią". Na czym miałaby zatem polegać ta nowa reforma Kościoła?

> Do uzdrowienia sytuacji mógłby się przyczynić **podział władzy** w Kościele i wprowadzenie rozwiązań demokratycznych.

Wspólna odpowiedzialność

Włoski socjolog Marco Marzano zasugerował w zeszłym roku Franciszkowi następujące posunięcia, by pozbyć się klerykalnych grzechów systemowych: „Na początek np. można by całkowicie pozbawić księży parafialnych obowiązku prowadzenia parafii, pozbawić ich jedynowładczej i absolutnej funkcji zarządczej (tak finansowej, jak i duszpasterskiej), z jakiej dziś korzystają. Możliwe byłoby wprowadzenie ważnego elementu demokracji, wybieralności biskupów (głosem ludu). Tak mogłoby się stać, gdyby [stare] zastąpić otwartymi i przejrzystymi strukturami. Należałoby zamknąć seminaria – instytucje kontrreformy, w których klerykalizm jest wciąż wywyższany i kultywowany. Wtedy najpewniej okaże się wreszcie możliwa rezygnacja z norm, na których opiera się współczesny klerykalizm (to one stanowią podstawę przeważającej większości przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych), w tym także obowiązkowego celibatu. Bo to właśnie zakładana w przypadku duchownych seksualna wstrzemięźliwość, [a właściwie] konsekwencje owego wymogu czystości i świętości oraz ponadludzkie aspekty z niego wynikające stworzyły główną podstawę dla klerykalizmu".

Nie sądzę, że zniesienie obowiązkowego celibatu i likwidacja seminariów okazałyby się skutecznym lekarstwem na obecny kryzys. Do rzeczywistego uzdrowienia sytuacji mógłby się natomiast istotnie przyczynić nowy podział władzy w Kościele, który oznaczałby rzeczywiste wprowadzenie rozwiązań demokratycznych na różnych poziomach działania instytucji i konkretnych wspólnot. Jednak punktem wyjścia musiałoby być tu nowe, pogłębione, wychodzące poza skutkujące różnymi perwersjami formuły rozumienie sakramentu kapłaństwa. W praktyce znaczy to tyle, że kapłaństwo musi być dziś postrzegane i realizowane (i to nie deklaratywnie, a skutecznie) przede wszystkim jako służba, a nie władza.

W liturgii sakramentu święceń kapłańskich mowa jest o trzech zadaniach związanych z urzędem duchownego. Są to: głoszenie słowa Bożego (czyli *munus docendi*, co odnosi się do władzy nauczania), celebracja sakramentów (*munus sanctificandi*, czyli „możność uświęcania") oraz kierowanie ludem Bożym (*munus regendi*, czyli sprawowanie rządów nad wspólnotą wiernych).

W przypadku władzy nauczania należy pomyśleć o tym, by realizację tego charyzmatu rozszerzyć na świeckich teologów (także kobiety). Można się zasadnie zastanawiać, czy homilie zawsze muszą być głoszone przez kapłanów (jakość księżowskich kazań często pozostawia przecież wiele do życzenia). Świeccy powinni mieć też prawo głosu (a nie tylko biernego uczestnictwa jako audytorzy) na synodach i soborach.

Gdy idzie o kierowanie ludem Bożym, mnóstwo konkretnych zadań można by przekazać świeckim niemal natychmiast. Powinni oni mieć realny wpływ na działalność sądów biskupich, a także na kontrolę finansów diecezjalnych i parafialnych oraz kościelnych instytucji na poziomie krajowym i międzynarodowym.

Pozostaje jeszcze do przemyślenia owa „możność uświęcania", która w szczególności wiąże się z szafarstwem sakramentów (przede wszystkim eucharystią i spowiedzią). Dzieje Reformacji dowodzą, że być może jest to zadanie najtrudniejsze. Szafarstwo sakramentów to bowiem najbardziej chyba fundamentalny wymiar kapłaństwa, do którego z pewnością odnosi się wyrażenie *in persona Christi* (choć nie w rozumieniu „intensyfikacji chrztu"). Jak człowiek w kapłaństwie służebnym może i powinien reprezentować Zbawiciela? W Kościele coraz wyraźniejsze zdaje się oczekiwanie na rozpoczęcie debaty w tej kwestii. Trzeba do niej dążyć, ale trzeba też konsekwentnie bronić teraz kapłanów przed przemocą – podobnie jak wszystkich, którzy przemocy doświadczają.

© SEBASTIAN DUDA

Autor jest filozofem, teologiem, publicystą, redaktorem kwartalnika „Więź". Ostatnio opublikował zbiór esejów „Przesilona wątpliwość".

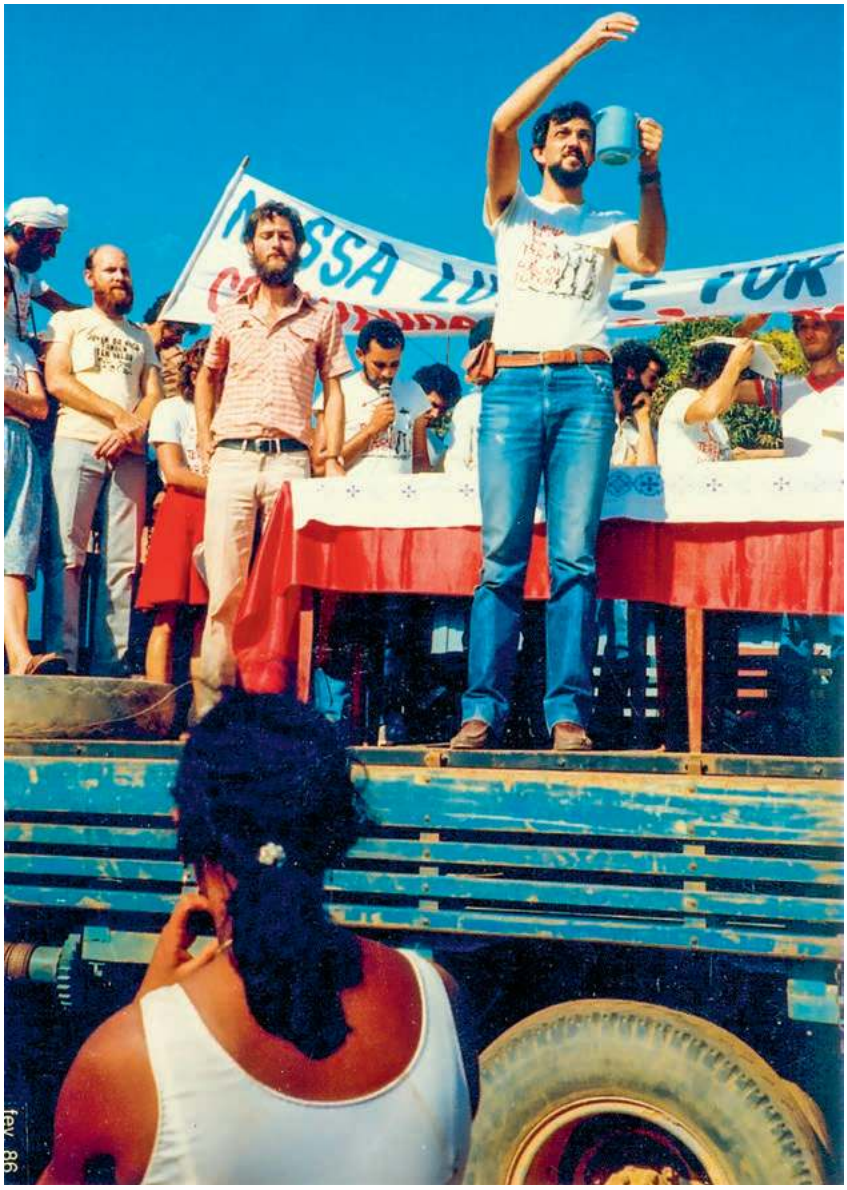

ARCHIWUM ZGROMADZENIA MISJONARZY KOMBONIANÓW

O. Ezechiele Ramin błogosławi rolników uprawiających kawę, Święto Robotnika, Cacoal, 25 lipca 1984 r.

Boży narwaniec

EDWARD AUGUSTYN

Możliwe, że o. Ezechiele Ramin zostanie patronem Synodu amazońskiego – chcą tego brazylijscy biskupi. Kim był zamordowany przez latyfundystów młody zakonnik?

Do fazendy Catuva było sto kilometrów. Dżipem jechało się dwie godziny. O. Ezechiele Ramin wyjechał z samego rana. Wczesnym popołudniem chciał być z powrotem w domu.

Konflikt w Catuva zaczął się po Wielkanocy. Trzech bezrolnych chłopów zajęło nieuprawiane od lat pola. Właściciel latyfundium wysłał przeciw nim swoich *pistoleiros*. Biedaka łamiącego prawo można tu zabić niemal bezkarnie, zwłaszcza w obronie własności prywatnej. Statystycznie co drugi dzień ginie jakiś desperat. Misjonarz jedzie przekonać rolników, by czekali na decyzję władz i nie wdawali się w żadne utarczki. Nie chce, by doszło do rozlewu krwi. Jest 25 lipca 1985 r.

W Brazylii blisko 12 mln chłopów nie ma własnej ziemi. Zakładając, że każdy z nich ma na utrzymaniu rodzinę, choćby niewielką, jak na tamte warunki – żonę i troje dzieci – wychodzi jakieś 60 mln ludzi bez środków do życia. Połowa społeczeństwa. Z drugiej strony niemal połowa ziemi uprawnej jest w ręku jednego procenta właścicieli. Większość nieuprawianych pól zamieniono na pastwiska dla bydła. Ale spora część leży odłogiem.

O reformie rolnej mówiono już w latach 60. XX w. Skończyło się wojskowym puczem i dwudziestoletnią dyktaturą. Dopiero teraz, po powrocie do władzy demokratów, pojawiły się szanse na zrealizowanie obietnic. Do podziału miało być 500 mln hektarów przejętych od latyfundystów. Rząd obiecał, że za zajęte samowolnie nieużytki wypłaci właścicielom odszkodowanie, a ziemię przekaże okupującym ją biedakom. Nagła choroba i śmierć nowo wybranego prezydenta Tancreda Nevesa odsunęły w czasie realizację obietnic i nadwerężyły cierpliwość czekających na cud biedaków.

Trybun ludowy

Ojciec Ezechiele, włoski misjonarz ze zgromadzenia kombonianów, miał 32 lata. W Cacoal był od roku, w Brazylii – raptem kilka miesięcy dłużej. Szybko zdobył zaufanie miejscowych rolników, a nawet – co trudniejsze – zamieszkujących pobliski rezerwat Indian. W pierwszym kazaniu, jeszcze czytanym z kartki, mówił: „Podczas sześciu miesięcy spędzonych w Brazylii, gdy uczyłem się waszego języka, dokonałem pierwszego wyboru. Chcę pracować wśród ubogich i Indian – najbardziej wykorzystywanych ludzi na tej ziemi. Teraz podtrzymuję ten wybór z wszelkimi konsekwencjami, choćby to było więzienie, tortury czy nawet przelanie krwi”.

Był dostępny w każdej chwili i pomagał w każdej potrzebie. Pisał prośby i skargi do władz, uczył, jak się zorganizować w walce o swoje prawa, bronił w sądach i urzędach. W kazaniach mówił o sprawiedliwości społecznej i potrzebie samoobrony. Jedno z nich, z lutego 1985 r., ktoś nagrał na magnetofonową kasetę. Tłumaczy w nim ludziom, dlaczego mają prawo i obowiązek walczyć o swoje; dlaczego nie wolno im stosować przemocy, nawet gdy sami jej doznają.

Nie grzmi, nie straszy, nie ucieka się do retorycznych chwytów. Przytacza liczby i podaje przykłady. Mówi o rządowym dokumencie przyznającym ziemię... latyfundystom. Wymienia nazwiska dziesięciu osób, które dostały 1,2 mln hektarów. Oblicza, że ten areał zapewniłby spokojne życie blisko 12 tys. rodzin. Mówi o środkach pomocowych Banku Światowego, z których zaledwie 2 proc. trafiło do adresatów. O braku wymaganej – pomimo różnych deklaracji – ochrony dla ludności rdzennej (Indian) i ich terytoriów, o zdefraudowaniu pieniędzy przeznaczanych na ich edukację i opiekę medyczną. O zawiązującym się właśnie ruchu Movimento Sem Terra, którego celem jest przejmowanie „ziemi niczyjej". Mówi nie w swoim imieniu, ale z mandatu Kościoła, który od ponad dekady – po wcześniejszym, krótkim flircie z wojskową juntą – zwrócił się ku ubogim.

ARCHIWUM ZGROMADZENIA MISJONARZY KOMBONIANÓW

Skrwawiona koszula o. Ezechielego pokazywana podczas mszy w rocznicę jego śmierci, Cacoal, 2013 r.

Od Medellín do Puebli

Tak, to była teologia wyzwolenia. W 1968 r. biskupi Ameryki Łacińskiej zebrani w Medellín (Kolumbia) potępili przemoc prawicowych dyktatur, skrajne nierówności społeczne i niesprawiedliwy dostęp do podstawowych praw i dóbr człowieka. Przyjęli „opcję na rzecz ubogich" – duszpasterze mieli pójść do ludzi z marginesu: chłopów i robotników, bezrolnych i bezdomnych. Sprawy społeczne i polityczne nie tylko stały się tematem kazań – księża włączyli się czynnie w ich rozwiązywanie, startowali w wyborach, obejmowali stanowiska w rządzie.

Europejczykom trudno to zrozumieć, ale w tamtych warunkach Ewangelia miała bardzo konkretny, społeczno-polityczny wymiar. Wyzwolenie, o którym mówiła, traktowano dosłownie – nie tylko jako wybawienie z niewoli grzechu i zła, ale też głodu, nędzy i wyzysku. Kościoły i kaplice stały się miejscem zebrań społecznych i politycznych, organizowania pomocy materialnej. Zaczęto tworzyć tzw. kościelne wspólnoty podstawowe, zwłaszcza tam, gdzie brakowało księży – w wioskach i małych miastach na prowincji. Kościół ożył.

Radykalizm teologów wyzwolenia sięgnął zenitu na przełomie dekad. W styczniu 1979 r. Jan Paweł II pojechał w pierwszą zagraniczną pielgrzymkę do Meksyku. W Puebla, na zakończenie konferencji biskupów południowoamerykańskich, skrytykował tych, którzy sprowadzają człowieka tylko „do wymiaru ekonomicznego, politycznego, społecznego czy kulturowego", a Ewangelię zamieniają w ideologię. Na twórców i głównych przedstawicieli teologii wyzwolenia posypały się kościelne kary. W 1984 r. Kongregacja Nauki Wiary, kierowana przez kard. Josepha Ratzingera, wydała specjalną instrukcję, w której zebrano zarzuty i wypunktowano błędy nowej teologii.

Dziś teologia wyzwolenia nie budzi skrajnych emocji. Przestano w niej widzieć komunistyczny spisek, dostrzega się natomiast zalążek Franciszkowego „Kościoła na peryferiach".

Niecierpliwy rewolucjonista

Gdy Ezechiele Ramin jechał do Brazylii, miał za sobą lekturę pism południowoamerykańskich teologów, znał dokument z Puebla, nauczanie Jana Pawła II i watykańską „Instrukcję o niektórych aspektach teologii wyzwolenia". I dobrze wiedział, czym jest marksizm i dialektyczny materializm. Spotkał się z nimi we wczesnej młodości, gdy w burzliwych latach licealnych, które przypadły na czas rewolty 1968 r., zakładał organizację Wyciągnięte Ręce – antykapitalistyczną i antyimperialistyczną, ale opierającą radykalizm na soborowej odnowie Kościoła. Zauważał programową zbieżność swojego stowarzyszenia z grupami komunizującymi, marksistowskimi czy nawet maoistycznymi i nie unikał z nimi kontaktu ani dyskusji, ale dostrzegał też zasadnicze różnice w spojrzeniu na los człowieka.

Kilka lat później pisał o tym do swojego brata, Antonia, lokalnego działacza Chrześcijańskiej Demokracji w Padwie. Te listy to prawdziwe eseje – poważne i długie (ośmio-, dziewięciostronicowe) o historii filozofii, chrześcijańskiej antropologii, katolickiej nauce społecznej.

Taki już był. Każdy temat, na jaki miał się wypowiedzieć, wpierw musiał sam przetrawić, przestudiować, zrozumieć. Był drobiazgowym analitykiem, który dzielił włos na czworo, mnożył wątpliwości, racjonalizował. Ale kiedy już przekonał się do jakiejś racji, oddawał się jej z pasją i nic go nie było w stanie zawrócić z obranej drogi.

To była jego druga twarz, bardziej znana: zapalonego działacza, przywódcy, utopisty o gorącej głowie i sercu. „Niczego nie da się zrobić bez utopii, która nas mobilizuje i inspiruje" – pisał w programie Wyciągniętych Rąk.

Miał silny, ale trudny charakter. Był bezpośredni i otwarty, ale jednocześnie uparty i nieustępliwy. Dyskutował bez końca. I nie umiał przegrywać. Gdy to się zdarzało – choćby na boisku – natychmiast domagał się rewanżu. Do tego pisał wiersze i malował. To nie są zalety, zwłaszcza u zakonnika. Seminaryjni przełożeni dostrzegli w nim „przesadny intelektualizm, chęć kontrolowania rzeczywistości poprzez analizowanie, wnioskowanie i osądzanie". Krytykowali jego „niecierpliwość w akceptowaniu siebie samego i słuchaniu innych".

Ludzie, nie owce

Komboniańskie seminarium było dla Ezechielego trudnym czasem, choć nie miał wątpliwości co do wyboru drogi życiowej. Po zachłyśnięciu się życiem w nowicjacie stanął przed trudną, szczególnie dla Włocha, próbą. Wysłano go na siedmiomiesięczny kurs językowy do ↦

Anglii, gdzie dokuczał mu zarówno brak dobrego jedzenia (choćby polenty, którą gotowano w domu) i wina z regionu Veneto, jak i – przede wszystkim – ciepłej, braterskiej atmosfery.

Jeszcze gorzej było w USA, gdzie pojechał na studia filozoficzno-teologiczne. W Nowym Jorku trafił do klasztoru, w którym życie płynęło tak, jak przed Soborem (był rok 1979). Swoich mocno konserwatywnych współbraci uważał za faszystów, oni widzieli w nim zawziętego komunistę. W Richmond, gdzie spędzał wakacje, zetknął się z problemem rasizmu ale poznał też „inną Amerykę": ludzi wykluczonych, zagubionych, życiowo przegranych. W Chicago znalazł się w środowisku meksykańskich emigrantów, w Dakocie Południowej po raz pierwszy zobaczył skrajną biedę Indian.

Każde z tych doświadczeń, poddane dokładnej analizie socjologicznej i religijnej, kończyło się szukaniem sposobów skutecznej pomocy. Jednym z nich miała być opieka medyczna, której biedakom zawsze brakowało. Postanowił być i księdzem, i lekarzem. Kończąc seminarium, kleryk Ezechiele poprosił przełożonych o zgodę na rozpoczęcie studiów medycznych. Nie dostał ani jej, ani kapłańskich święceń.

Na rok wysłano go do La Paz w meksykańskiej Kalifornii Dolnej, gdzie miał uczyć się hiszpańskiego i sprawdzać swe siły w pracy duszpasterskiej. „Bieda wywarła na nim ogromne wrażenie" – pisali w opinii opiekunowie praktyki, dodając, że przeznaczał wiele czasu i sił na „zgłębianie mentalności, obyczajów etc. miejscowych ludzi oraz problemu ewangelizacji". Nie omieszkali dodać, że było to dla niego „ważniejsze niż praca apostolska". Najwyraźniej wolał zapach ludzi, nie owczarni. Przełożeni uznali, że nie jest jeszcze gotowy do pracy na misjach. Wrócił do Włoch. Święcenia kapłańskie otrzymał w rodzinnej Padwie.

Zawsze na czele

Na jednym z filmów, które dziś krążą po sieci, jego dawni licealni koledzy mówią, że śmierć Ezechielego zasmuciła ich, ale nie zdziwiła. On zawsze był tam, gdzie coś się dzieje, nie usiedział w miejscu, szukał guza. Był narwańcem i miał niewyparzoną gębę. W jednym z listów, pisanych już z Brazylii do zaprzyjaźnionej zakonnicy, opowiadał historię ewangelickiego pastora, który wyrzucił ze swej ziemi dziewięć rodzin, by założyć farmę krów. „I jak tu mówić o ekumenizmie?" – pytał ze złością. – „Wpierw trzeba by mu było gębę wysmarować krowim gównem". Wobec ludzkiej krzywdy gorąca krew burzyła się najmocniej.

Czas, w jakim mu przyszło dorastać, też zrobił swoje. Rodzinna Padwa, ośrodek uniwersytecki, była w latach jego młodości kolebką wszelkich radykalizmów: od neofaszyzmu po terrorystyczne organizacje lewicowe. Pacyfistyczne demonstracje, wielogodzinne zebrania, dyskusje na wszystkie możliwe tematy, uliczne starcia i krwawe zamieszki były dla młodych ludzi szkołą obywatelskiego zaangażowania, brania spraw we własne ręce i naiwnego przekonania, że można zmienić świat.

Ezechiele, wywodzący się z głęboko wierzącej, wielodzietnej rodziny (miał pięciu braci), za swój program przyjął przede wszystkim Ewangelię, odczytaną w najbardziej dosłowny sposób. Drugim moralnym drogowskazem, który odkrył w licealnych latach, był Dietrich Bonhoeffer, antynazista i pacyfista, zamordowany z rozkazu Hitlera. We Włoszech właśnie ukazało się pierwsze wydanie jego listów z więzienia. Ezechiele miał je wciąż pod ręką, wielokrotnie do nich sięgał, z nich przejął ideę „bycia dla innych", choćby za cenę śmierci.

Tak mu zostało. Przekonanie, że Boga nie trzeba szukać daleko, bo jest na wyciągnięcie ręki – w drugim człowieku, zwłaszcza najbiedniejszym, nigdy go nie opuszczało. Ani wtedy, gdy po święceniach skierowano go do pracy z młodzieżą w Neapolu, ani gdy ruszył na pomoc ofiarom trzęsienia ziemi w niedalekiej Irpinii i przez miesiąc mieszkał w przyczepie kempingowej, rozdając potrzebującym żywność i odbudowując szkołę. Ani gdy po powrocie do Neapolu zorganizował pierwszy marsz przeciwko mafii. Szli w pięciu – on, biskup, jeszcze jeden ksiądz i dwie osoby świeckie. Był dzień świąteczny, na ulicy żywej duszy, choć zza zasłoniętych żaluzji patrzyło na nich całe miasto. Dopiero po chwili, powoli i pojedynczo, zaczęli dołączać inni. Do kościoła wchodzili już w sporej grupie.

Wśród wykorzystanych

Chciał jechać na misje. Przecież po to poszedł do kombonianów. Chciał żeby to była Afryka. Potem miał być Meksyk. Wreszcie, po trzech latach czekania na zgodę przełożonych, przyszła „obediencja" do Brazylii. Znów musiał zacząć od nauki języka, już trzeciego.

Jednym z pierwszych wspomnień z nowej, amazońskiej parafii był pochód na „święto robotnika", zorganizowane w niespełna miesiąc po jego przyjeździe. Manifestanci przeszli przez miasto, aż pod posterunek policji, gdzie domagali się uwolnienia z aresztu przewodniczącego związku rolników. Nie doszło do incydentów. Ale w sąsiedniej Aripuanie policja ostrzelała maszerujących, nie zważając nawet na biskupa idącego na czele procesji. Trzy osoby zostały ranne.

Wybrał życie wśród najbardziej pokrzywdzonych – chłopów i Indian. Jedni i drudzy cierpieli biedę, jednych i drugich mordowano. Podczas budowy stanowej drogi straciło życie 10 tys. Indian z plemion Surui, Nambikwara i Cintas Largas. Ci, którzy przeżyli, nie mieli dostępu ani do edukacji, ani do opieki medycznej. Tereny, które od wieków były ich własnością, stały się łakomym kąskiem dla latyfundystów i zagranicznych firm. Po wykarczowaniu lasu można było założyć hodowlę bydła, plantację kauczuku, kawy czy trzciny cukrowej. Albo wydobywać cenne surowce.

Bezrolni chłopi też kiedyś, przed laty, mieli bezpieczny dom i kawałek ziemi, który pozwalał im utrzymać rodzinę. Stracili je w różny sposób – jedni sprzedali za grosze, innym odebrano podstępem lub siłą. Niektórzy wyjechali, zaludniając slumsy i fawele Rio de Janeiro. Inni najęli się do niewolniczej pracy. Jeszcze inni zaczęli się buntować, organizować i szukać „ziemi niczyjej".

Dzikie zwierzęta

Do domu było sto kilometrów. Dżipem jakieś dwie godziny. Tuż za fazendą Catuva ktoś powalił na drogę drzewo. Tam czekali *pistoleiros*.

Ciało o. Ezechielego znaleziono następnego dnia. Leżało obok samochodu. Ludzie mówią, że Surui całą noc pilnowali, by nie rozszarpały go dzikie zwierzęta.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

▪ Dziękuję o. Tomaszowi Markowi, kombonianinowi, który wiele lat pracował na misjach w Brazylii, za cenne uwagi i niedostępne w Polsce materiały źródłowe.

AMR NABIL / AP / EAST NEWS

Pogrzeb ofiar zamachu na koptyjską katedrę w Minya (Egipt), maj 2017 r.

Ludzie bezbronni

PATRYCJA BUKALSKA

Chrześcijanie są prześladowani na trzech kontynentach, a ich sytuacja się pogarsza. Państwa demokratycznego Zachodu robią za mało, by im realnie pomóc.

W Mosulu, zanim Państwo Islamskie zajęło to irackie miasto, mieszkało ponad 30 tys. chrześcijan. Po wyzwoleniu powróciło, jak dotąd, około 20 rodzin. Z łatwością mieszczą się w jedynym ocalałym kościele. Co się stało z innymi? Wielu zginęło, a ci, którzy uciekli i przeżyli, boją się wrócić. W całym Iraku liczba chrześcijan spadła z 1,5 mln do 120 tys.

Jeszcze pięć lat temu na indeksie organizacji Open Doors, monitorującej sytuację chrześcijan w świecie, tylko Korea Północna była uznana za skrajnie niebezpieczne dla nich miejsce. W tym roku takich państw było już 11, a do pierwszej dziesiątki trafiły Indie. Chiny, w których prześladowania chrześcijan gwałtownie się nasilają, poszły aż o 16 miejsc w górę. Co miesiąc ginie z powodu wiary średnio 345 chrześcijan. W tym roku prześladowań w wysokim stopniu może doświadczyć 245 mln z nich. To o 30 mln więcej niż w roku ubiegłym.

Według danych Pew Research Center, chrześcijanie są celem prześladowań aż w 144 krajach (dane za 2016 rok). Z taką skalą niechęci nie ma do czynienia żadna inna religia. Organizacje pozarządowe biją na alarm, ale informacje na ten temat rzadko trafiają na pierwsze strony gazet – z wyjątkiem takich tragedii, jak atak terrorystyczny na kościoły na Sri Lance w ostatnie Święta Wielkanocne.

Specjalny raport opublikowała ostatnio Wielka Brytania.

Zapomniani prześladowani

Sporządzenie raportu ówczesny szef brytyjskiej dyplomacji Jeremy Hunt powierzył pod koniec ubiegłego roku wielebnemu Philipowi Mounstephenowi, który kilka tygodni wcześniej został biskupem Truro. Przed objęciem biskupstwa 60-letni anglikański duchowny kierował towarzystwem misyjnym Church Mission Society.

Celem raportu było pokazanie skali i formy prześladowań doświadczanych przez chrześcijan oraz przeanalizowanie dotychczasowych brytyjskich reakcji. Obszar – kilka kontynentów (bez Europy) – ogromny. Czas na sporządzenie raportu był ograniczony do kilku miesięcy, więc, jak przyznaje biskup, nie jest to obraz pełny, a raczej rodzaj katalizatora, który – jak ma nadzieję – doprowadzi do podjęcia odpowiednich działań.

Jak się okazuje, 80 proc. wszystkich motywowanych religijnie ataków na świecie jest skierowanych przeciwko chrześcijanom. Skala prześladowań, zwłaszcza w Afryce i na Bliskim Wschodzie, jest taka, że w niektórych miejscach można mówić o ludobójstwie.

I choć już kilka lat temu prześladowania chrześcijan i innych mniejszości religijnych (np. jazydów) przez Państwo Islamskie zostało uznane za ludobójstwo przez Parlament Europejski, Stany Zjednoczone oraz brytyjski parlament (zagłosowali za tym posłowie wszystkich partii), to jednak działania na rzecz chrześcijan są, zdaniem Jeremy'ego Hunta, wciąż niewystarczające. Dlaczego? Jego zdaniem, wynikać to może m.in. ze źle zrozumianej poprawności politycznej. Z kolei Mounstephen mówił w jednym z wywiadów, że Wielka Brytania pozostaje w pewien sposób ślepa na los prześladowanych chrześcijan ze względu na poczucie winy związane z kolonialną przeszłością. Na Zachodzie nadal też istnieje przekonanie, że chrześcijaństwo to religia uprzywilejowanej białej większości. Tymczasem obecnie chrześcijaństwo to głównie religia globalnego Południa, które jednocześnie jest tą uboższą częścią planety.

Zmiana percepcji Zachodu jest konieczna, bo, jak podkreśla biskup, wolność wyznania jest fundamentalnym prawem człowieka. Jeśli ono jest podważane, zagrożone są i inne prawa. Przede wszystkim zaś nie chodzi tylko o chrześcijan – upominając się o nich, należy pamiętać o ochronie wszystkich mniejszości religijnych. Jeśli dyskryminowana jest jedna z nich, to zapewne to samo spotyka lub spotka wszystkie pozostałe. Widać to chociażby na przykładzie ujgurskich muzułmanów w Chinach, Rohingów w Birmie czy... ateistów.

Zaskakujące dane

Prześladowania, jakich doświadczają chrześcijanie, mają przeróżne formy. Czasem jest to dyskryminacja w pracy, biurokratyczne przeszkody przy budowie ↦

kościoła, odmowa pochówku. Czasem fizyczna przemoc, aresztowania czy śmierć.

W szeregu państw odpowiednie warunki do tego stwarza system prawny, np. wprowadzając kary za bluźnierstwo. Bywa to wykorzystywane w sporach sąsiedzkich z przedstawicielami mniejszości, może też prowadzić do linczu. Znana stała się sprawa katoliczki z Pakistanu Asii Bibi, która w 2010 r. została oskarżona o bluźnierstwo i jako pierwsza kobieta skazana na śmierć (uniewinniono ją w ubiegłym roku).

Przeciwko chrześcijanom jest też używana państwowa propaganda. Raport podaje m.in. przykład Turcji, gdzie nasila się religijny konserwatyzm i nacjonalizm, a tureccy chrześcijanie mają często być przedstawiani w mediach nie jako „prawdziwi Turcy", ale jako wrogowie, zachodni kolaboranci i „zagrożenie dla stabilności narodu". W Pakistanie niemuzułmanie są przedstawiani w negatywny sposób w szkolnych podręcznikach. W Indiach nasila się narracja, że prawdziwym Indusem jest tylko wyznawca hinduizmu.

Pozbycie się chrześcijan i wszelkich śladów ich obecności jest nieskrywanym celem ekstremistycznych militarnych bojówek – tak jest w Syrii, Iraku, Egipcie, Nigerii. W ubiegłym roku to właśnie w Nigerii zginęło 90 proc. wszystkich zabitych z powodu wiary chrześcijan. Największym zagrożeniem pozostaje tam dla nich, jak i dla innych mieszkańców przeciwnych ustanowieniu państwa islamskiego, islamistyczna organizacja terrorystyczna Boko Haram. Do przemocy dochodzi też jednak ze strony koczowników Fulanich – raport przywołuje dwa ataki na kościoły, w który zabito i wiernych, i duchownych.

Philip Mounstephen przyznał, że najbardziej zaskakująca była dla niego konkluzja, że jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc na świecie dla chrześcijańskiego duchownego jest katolicki Meksyk. W latach 1990–2017 zabito tam 46 księży. Podobnie jednak jest w innych państwach Ameryki Łacińskiej. W lutym w Kolumbii na progu kościoła został zastrzelony pastor Leider Molina. Nie jest on pierwszą ofiarą paramilitarnych bojówek, narkotykowych gangów i grup przestępczych. I zapewne nie ostatnią. Na celowniku są też rodziny duchownych oraz chrześcijańskie szkoły.

Chrześcijanie są celem prześladowań aż w 144 krajach. Z taką skalą niechęci nie ma do czynienia żadna inna religia.

W ostatnich latach znacznie pogorszyła się też sytuacja wiernych w Chinach, Indiach i Nepalu.

Raport nie pomija przy tym sytuacji, gdy to chrześcijanie byli lub są prześladowcami. Chodzi np. o chrześcijańskie bojówki w Republice Środkowoafrykańskiej czy odwetowe ataki farmerów na koczowników Fulanich.

Aktorzy, nie widzowie

Na początku swojego raportu biskup Mounstephen przywołał tytuł artykułu z brytyjskiego dziennika „The Times" sprzed pięciu lat, zatytułowany „Widzowie rzezi". Tamten tekst mówił właśnie o prześladowaniach, aresztowaniach, egzekucjach chrześcijan w Azji, Afryce i na Bliskim Wschodzie. I o tym, że zachodni politycy wolą milczeć. To się akurat nie zmieniło, ale same prześladowania są bardziej intensywne, na większą skalę.

Biskup ma nadzieję, że jego raport skłoni do przerwania milczenia wokół cierpienia chrześcijan, tych „najbardziej bezbronnych ludzi" na Ziemi, jak ich nazywa. A także do podjęcia konkretnych kroków – by „widzowie" przestali tylko patrzeć, i stali się czynnymi aktorami.

Jednym z sugerowanych narzędzi, które rząd ma do dyspozycji, jest nałożenie sankcji. Jakich? Zależałoby to od konkretnej sytuacji i kraju, którego problem dotyczy. Należałoby też stworzyć definicję obejmującą dyskryminacyjne zachowania skierowane przeciwko chrześcijanom, na wzór takich istniejących już pojęć jak antysemityzm czy islamofobia. Brytyjscy dyplomaci i przedstawiciele MSZ powinni też przejść szkolenia, by umieli rozpoznać zjawisko i ocenić jego skalę. Czasem nie jest to proste – opisywane przypadki zabitych księży w Meksyku czy Kolumbii łatwiej zaklasyfikować jako przemoc ze strony karteli, choć przecież aktywność duszpasterska ofiar odegrała tu również rolę.

Raport sugeruje też, by zacząć analizować zagrożenia dla wolności wyznania w szerszym kontekście powiązanych problemów jak np. równość płci, przemyt ludzi, wymuszane małżeństwa. Lista rekomendacji jest długa i są na niej konkretne propozycje działań (np. zatrudnianie w placówkach dyplomatycznych osób pochodzących z dyskryminowanych mniejszości), jak i postulaty dotyczące edukacji, zmiany nastawienia i większego zaangażowania. Może się okazać, że właśnie spojrzenie na kwestię prześladowań chrześcijan w nowy sposób jest tu największym wyzwaniem.

Wolność myśli

Biskup Truro zaleca rewizję rekomendacji za trzy lata. To, co stanie się z jego raportem, będzie jednak zależeć już od nowego brytyjskiego rządu, na którego czele od końca lipca stoi Boris Johnson. Jeszcze w czasie, gdy ubiegał się o ten urząd, zapewniał, że ochrona wolność wyznania będzie jednym z jego priorytetów.

W posłowiu biskup przywołuje książkę George'a Orwella „1984" i opisaną tam Policję Myśli. „Wolność samodzielnego myślenia i wybrania tego, w co ktoś chce wierzyć, bez lęku przed przymusem, jest najbardziej fundamentalnym prawem człowieka, a także prawem, od którego zależy wiele innych. Jeśli człowiek nie jest wolny, by myśleć i wierzyć, jak może uporządkować swoje życie w inny, wybrany przez siebie sposób? – czytamy. – A jednak wszędzie na świecie widzimy, jak prawo to jest kwestionowane, ograniczane i podważane. To wielka groźba, której musimy się przeciwstawić, ponieważ jest złem samym w sobie i zagraża tylu innym rzeczom".

Na koniec Mounstephen pyta: „Jak jeszcze musiałaby się pogorszyć sytuacja, żebyśmy zaczęli działać?".

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

TP *Klub „TP" zaprasza na spotkanie:*

GRUDZIĄDZ,
poniedziałek, 12 sierpnia, godz. 17.30
„Gdzie nie sięga Ewangelia?
Miłość i agresja – bieguny Kościoła".
Miejsce: NSP1 (ul. Chełmińska 121).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SZYMON

Hołownia:
Jak odłożyć kamień

To pierwszy rok, w którym odkrywam coś, co inni odkryli już dawno – polskie wakacyjne festiwale, nie tylko muzyczne, zresztą większość z nich to wydarzenia o bardzo szerokiej formule. Mówiłem już na – brak słów, jak fajnym – Slot Art Festiwalu w Lubiążu, tradycyjnie już na festiwalu Kazimiernikejszyn w Kazimierzu nad Wisłą, a ten tekst piszę w drodze powrotnej z super rozmowy, jaką zaprzyjaźnione Stowarzyszenie Otwarte Klatki zorganizowało mi na WOŚP-owym Pol'and'Rock w Kostrzynie. Przede mną w sierpniu jeszcze Ełk i „Patrząc na Wschód" w Budzie Ruskiej.

Nie mam kalendarzowych szans, by posiedzieć w takich miejscach dłużej, zakotwiczyć się w nich jak regularni uczestnicy, ale zazdroszczę im jednego, i to wcale nie kempingowego klimatu, okazji do zabawy z przyjaciółmi. Dużo bardziej tego, że przy takim napakowaniu każdej z tych imprez propozycjami programowymi (na takim Slot Art Festiwalu każda godzina to co najmniej kilka konkurujących ze sobą warsztatów, wykładów, prezentacji, projekcji), nawet stojąc w kolejce do kranu, toi toia czy idąc do food trucka, chcąc nie chcąc nasiąkasz tym, co z każdej strony dobiega z głośników, namiotów, stoisk – chłoniesz nową wiedzę o świecie niemal zupełnie bezwysiłkowo, przy okazji, przez osmozę.

Dziś na festiwalu Jurka Owsiaka, wracając ze swojego spotkania do samochodu, w ferworze omijania błotnych szykan, omijania gór pozostałych po wczorajszym (jak widać – udanym) wieczorze śmieci, i z radością udzielając tzw. wizerunku do licznych selfie, wyłapałem na ten przykład jedno zdanie rzucone w odbywającej się obok, w wielkim namiocie Akademii Sztuk Przepięknych, debacie z udziałem m.in. sędziego Igora Tulei. Sędzia Tuleya mówiąc o rolach obrońcy i sędziego w procesie karnym i wątpliwościach, jakie ludzie mają patrząc choćby na adwokatów broniących sprawców naprawdę koszmarnych przestępstw, powiedział rzecz pewnie oczywistą dla kogoś, kto studiował prawo, ale dla laika mocno porządkującą poznawczo: obrońca broni człowieka, nie przestępstwa, sędzia sądzi nie człowieka, a czyn przez niego popełniony.

Uderzyło mnie to, bo dosłownie dzień wcześniej czytałem prasowe doniesienie o aresztowaniu we Włocławku mężczyzny oskarżonego o zakatowanie na śmierć trzyletniego synka swojej konkubiny (która też poszła siedzieć i dostała zarzut pomocnictwa w zbrodni). Prokurator ustalił, że wielorakie tortury (bicie, rzucanie dzieckiem, nakazywanie stania z podniesionym rękami, wyzywanie, niereagowanie na prośby malucha o zaprzestanie bicia) trwały ponad miesiąc. Myślałem długo nad tym, jak mądrym zrządzeniem Opatrzności było to, że – choć w liceum miałem takie plany – ostatecznie nie zostałem księdzem. Bo co bym zrobił, gdybym został np. więziennym kapelanem i trafiłby pod moją duchową kuratelę człowiek z takim *dossier*, o którym wiedziałbym, że katował błagające go o litość małe dziecko? Jak przeszłyby mi przez gardło nauki o miłosierdziu, czy byłbym w ogóle w stanie – wiem, nie w swoim imieniu – udzielić takiemu człowiekowi rozgrzeszenia? Czy sam nie musiałbym zaraz spowiadać się z rodzącej się niejako z automatu pogardy wobec niego, z chęci (jednak niefizycznego) splunięcia mu w twarz? Myślałem – na nowym piętrze refleksji, z na nowo odkrywanym szacunkiem – o wszystkich więziennych kapelanach, których w życiu spotkałem (wydawało mi się dotąd, że ich największym kłopotem jest to, co na zewnątrz – komunikacja, więzienne warunki etc.; dziś widzę, że dużo trudniejszą pracę mają w sobie, wewnątrz), o osadzonych, z którymi rozmawiałem podczas wielu spotkań w zakładach karnych. O spowiednikach w ogólności, o tym, jak często zdarza im się ludzki bunt przeciw Bożemu miłosierdziu, gdy w konfesjonale słyszą to, co słyszą?

Jakżeż to strasznie trudne: zobaczyć w sprawcy człowieka, nie czyn. Jak to koszmarnie wymagające powołanie, jakie stawia przed nami, mieniącymi się chrześcijanami, Pan, bo przecież każe nam On być nie tylko sędzią, ale i obrońcą grzesznika. Od dawna już nie rozumiem ludzi, którzy w Ewangelii jakąś słodką, uwznioślającą łatwiznę dostrzegają, nie widząc, jak ostro i brutalnie Ewangelia idzie czasem w poprzek naszych emocji, naszych „sprawiedliwych" osądów, naszemu tzw. zdrowemu rozsądkowi. Znakiem dojrzewania w wierze jest dla mnie to, gdy ktoś mówi Mu: „Przepraszam, wszystko się we mnie buntuje, ja nie dorastam, nie rozumiem, nie umiem", a nie kokietuje i udając, że nie ma pytań, głośniej powtarza odpowiedzi.

Znam takich, co zarzucają duchową kokieterię papieżowi, który spotykając się z więźniami, mówi: „Nie wiem, jak to się stało, że wy jesteście tam, a ja tu". Rzecz wygląda inaczej, gdy każdy z nas uczciwie pomyśli, że i nas od krat dzielą sekundy i centymetry, że aby się tam jutro znaleźć, dziś wcale nie trzeba siadać za kółkiem po butelce wódki czy katować dzieci. Moment mniejszej uwagi, ciut za duża prędkość, auto odbija się od krawężnika, wpada na przystanek, giną ludzie. Nieumyślne, nieszczęśliwe potrącenie kogoś w pośpiechu na ulicy. Wynikająca ze zmęczenia czy osobistych problemów pomyłka w pracy, w której stawką jest ludzkie życie. Nieodparta pokusa wyrównania sobie doświadczanej niesprawiedliwości przez przywłaszczenie sobie czegoś, co nie jest twoje. Jezus miał tak bardzo, tak dramatycznie rację, gdy mówił oprawcom kobiety pochwyconej na cudzołóstwie: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem". Kamień muszę więc odłożyć. Zrobić więcej – chyba nie jestem w stanie. ©

KRYZYS W CZASACH TRUMPA

USA przeżywają największy od lat napływ imigrantów na południową granicę. Trudno się dziwić, że nielegalna migracja to jeden z głównych tematów amerykańskiej polityki.

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (POGRANICZE USA-MEKSYK)

Mike Pence tym razem stawia na sportową elegancję. Ubrany w czarną marynarkę i koszulkę polo, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych odwiedza rozgrzany lipcowym słońcem ośrodek straży granicznej w teksaskim McAllen.

Otoczony wianuszkiem spoconych funkcjonariuszy, Pence patrzy na imigrantów, którzy trafili do ośrodka po tym, jak zostali zatrzymani podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy USA. Choć na nagraniu telewizji NBC trudno to zauważyć, wiceprezydent zapewne dusi się od intensywnego zapachu potu. W końcu niektórzy spośród 382 przebywających tu mężczyzn nie brali prysznica od kilku tygodni. Wielu nie ma nawet ubrania na zmianę.

Unoszący się w powietrzu fetor potęguje fakt, że imigranci stłoczeni są na niewielkiej przestrzeni. W ich celach jest tak ciasno, że nie wszyscy mogą się położyć. Ci, którym uda się wywalczyć miejsce, śpią na matach lub bezpośrednio na podłodze. Sfrustrowani warunkami w ośrodku, imigranci wykrzykują w obecności Pence'a to, co najbardziej leży im na sercu. Wołają, że są głodni, że marzą o kąpieli i umyciu zębów.

„Obozy koncentracyjne"

Pence udał się do placówki w McAllen po tym, jak w Stanach wybuchła polityczna burza. Jej przyczyną były doniesienia z monitoringu w ośrodkach straży granicznej w Teksasie.

Już w maju, w raporcie dla Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego [odpowiednik polskiego MSW – red.], inspektor generalny alarmował o „niebezpiecznym przeludnieniu" w ośrodku w El Paso. Na niechlubnej liście znalazła się też m.in. placówka w Clint, skontrolowana przez grupę

Prowizoryczne obozowisko migrantów na granicy z Meksykiem, McAllen, Teksas, maj 2019 r.

FORUM

prawników zajmujących się imigracją. Trafiają tam głównie dzieci, które przekroczyły granicę USA na własną rękę lub w towarzystwie osoby niebędącej ich opiekunem prawnym. Jak wynika z monitoringu, przebywające w tym ośrodku dzieci – podobnie jak mężczyźni z McAllen – mają ograniczony dostęp do pryszniców, szczoteczek do zębów i mydła. W niektórych placówkach dzieci nie dostawały ciepłych posiłków.

Oliwy do ognia w dyskusji dolała kongresmenka z Partii Demokratycznej Alexandria Ocasio-Cortez, która ośrodki dla imigrantów nazwała „obozami koncentracyjnymi". Jej kontrowersyjna wypowiedź spotkała się z natychmiastową krytyką – nie tylko ze strony amerykańskiej prawicy, ale także amerykańskich środowisk żydowskich oraz Izraela.

O 29-letniej kongresmence, która w parlamencie federalnym USA zasiada od ostatnich wyborów, po raz kolejny zrobiło się głośno, gdy pod koniec czerwca odwiedziła ośrodek straży granicznej w Clint. Jak oświadczyła potem na Twitterze, w niektórych celach nie ma bieżącej wody i imigranci zmuszeni są do picia wody z muszli klozetowej. Na podstawie rozmowy z jedną z przebywających tam kobiet Ocasio-Cortez zarzuciła również straży granicznej, że jej funkcjonariusze stosują wobec imigrantów przemoc psychiczną.

Ani łóżka więcej

Dziennikarze „New York Timesa" sytuację w ośrodku w Clint przedstawiają w nieco bardziej złożony sposób. Jak wynika z ich rozmowy z funkcjonariuszem straży granicznej Matthew Harrisem, ośrodek przystosowany jest do zakwaterowania około stu osób. Tymczasem, na skutek natężonego napływu imigrantów przez południową granicę, w placówce niekiedy przebywa nawet 700 dzieci.

Ponadto wiele z nich spędza tam dłużej niż 72 godziny. To naruszenie prawa, które nakazuje jak najszybsze skierowanie dzieci do rządowych ośrodków dla małoletnich imigrantów. Straż graniczna nie może jednak nic z tym zrobić, bo w tego rodzaju placówkach również brakuje miejsc. Tylko od października 2018 r. do rządowych ośrodków trafiło 52 tys. dzieci – to ponad dwa razy więcej niż w tym samym okresie rok wcześniej. Ze względu na ograniczone fundusze w ośrodkach wstrzymano prowadzenie ↦

↦ zajęć edukacyjnych i sportowych. Ograniczony jest też dostęp do porad prawnych.

Oblężenie przeżywają również ośrodki prowadzone przez federalną agencję imigracyjno-celną ICE. To właśnie tutaj, po krótkim pobycie w placówkach straży granicznej, trafiają dorośli imigranci. W czerwcu w ośrodkach ICE zajętych było 54 tys. łóżek. Tymczasem agencja dysponuje funduszami, które pozwalają na utrzymanie jedynie 42 tys. miejsc noclegowych.

Coraz bliżej miliona

Dramatyczne warunki w ośrodkach dla imigrantów są konsekwencją najpoważniejszego od prawie 20 lat kryzysu migracyjnego na południowej granicy Stanów Zjednoczonych. Jego symbolem stało się zdjęcie ojca i córki, którzy utonęli w rzece Río Grande podczas próby nielegalnego przedostania się do USA. Fotografię pokazującą dramat dwojga imigrantów z Salwadoru porównano do słynnego zdjęcia Syryjczyka Alana Kurdiego; trzyletni chłopiec utonął w 2015 r. podczas przeprawy przez Morze Śródziemne. W przypadku Stanów Zjednoczonych epicentrum kryzysu stała się przecinająca pogranicze z Meksykiem rzeka Río Grande.

Skalę kryzysu oddają liczby. Od października 2018 r. do dziś amerykańska straż graniczna zatrzymała prawie 700 tys. ludzi próbujących nielegalnie przekroczyć granicę USA. Tylko w maju aresztowano prawie 133 tys. osób – to najwyższy miesięczny wynik od kwietnia 2007 r. Szacuje się, że w całym roku 2019 liczba aresztowanych na granicy może przekroczyć milion. To coraz bliżej rekordu z 2000 r., gdy straż graniczna zatrzymała ponad 1,6 mln imigrantów pragnących nielegalnie dostać się do USA. Obciążony też jest amerykański system azylowy. W 2018 r. złożono ponad 99 tys. wniosków o status uchodźcy. To siedmiokrotnie więcej niż w 2012 r.

Z czego wynika wzmożony szturm na południową granicę USA, przy którego rozmiarach i rosnącym stale natężeniu blednąć musi nawet – jednorazowy – kryzys migracyjny w Europie z roku 2015?

Początki amerykańskiego kryzysu sięgają jesieni zeszłego roku, gdy w kierunku USA wyruszyła tzw. karawana – idące do granicy Meksyk-USA kolumny imigrantów z krajów Ameryki Środkowej. Pomimo prób ich zatrzymania przez służby Gwatemali i Meksyku, kilka tysięcy ludzi przybyło do Tijuany – meksykańskiej miejscowości graniczącej z San Diego w Kalifornii. Większość z nich, powołując się na prześladowania w ogarniętych przemocą krajach Ameryki Środkowej, postanowiła starać się o azyl w Stanach. W kolejce oczekujących na złożenie wniosku o status uchodźcy było wówczas ponad 5 tys. ludzi.

MARTA ZDZIEBORSKA

„Trumpie, nie zapłacimy za twój mur" – demonstracja podczas wizyty prezydenta Meksyku Andrésa Manuela Lópeza Obradora w Tijuanie, 8 czerwca 2019 r.

„Zrób to teraz!"

Gwatemala, Honduras i Salwador faktycznie znajdują się w czołówce najbardziej niebezpiecznych krajów świata.

W Hondurasie w 2017 r. dochodziło do 43,6 morderstw na 100 tys. obywateli. Bardziej brutalnie było tylko w Salwadorze: w 2017 r. na 100 tys. osób notowano 60 morderstw. Spiralę codziennej przemocy w krajach Ameryki Środkowej nakręcają gangi, które rekrutują już chłopców i wymuszają haracze od właścicieli niewielkich biznesów. Ofiarami takich grup jak Mara Salvatrucha (MS-13) czy Barrio 18 padają też młode kobiety, wykorzystywane seksualnie przez członków gangu lub sprzedawane do domów publicznych.

Życia mieszkańców Ameryki Środkowej nie ułatwia niestabilna sytuacja polityczna, bieda i nawiedzające region susze. Jak wynika z doniesień New York Times, ponad 90 proc. imigrantów szturmujących granicę USA na początku tego roku stanowili Gwatemalczycy pochodzący z rolniczych rejonów. Większość zdecydowała się na ucieczkę ze względów ekonomicznych. W wyniku niszczących uprawy susz rolnikom coraz trudniej było związać koniec z końcem.

Do podjęcia decyzji, aby wyruszyć w drogę do Stanów – ciągle postrzeganych jako jeśli nie ziemia obiecana, to w każdym razie lepsze miejsce do życia – zachęcają też przemytnicy trudniący się przerzutem ludzi za pieniądze. Media w USA donoszą, że w środkowoamerykańskich stacjach radiowych roi się od reklam, których przekaz jest bardzo prosty: „Donald Trump może jeszcze bardziej zaostrzyć politykę imigracyjną. Jeśli planowałeś wyjazd do USA, zrób to teraz!".

To musi być azyl

Imigranci z krajów Ameryki Środkowej są najliczniejszą grupą wśród tych, które szturmują południową granicę USA. Zapełnili lukę po królujących przez dekady w statystykach Meksykanach, którzy – wraz z poprawą sytuacji gospodarczej w ich ojczyźnie – coraz rzadziej emigrują do Stanów.

Podczas gdy większość imigrantów z Meksyku stanowili przekraczający nielegalnie granicę mężczyźni, przybysze z Ameryki Środkowej to głównie rodziny z dziećmi, które chcą dostać się do USA w ramach procedury azylowej. To wyzwanie dla przeciążonych sądów imigracyjnych, które każdy wniosek o status uchodźcy rozpatrują średnio dwa lata.

W tym czasie rodziny z dziećmi przebywają poza prowadzonymi przez ICE ośrodkami dla imigrantów. Według amerykańskich przepisów dzieci mogą tam bowiem trafić tylko na 20 dni. System mający na celu szczególną ochronę małoletnich imigrantów niekiedy prowadzi jednak do nadużyć. Lokalny dziennik

„San Diego Union Tribune" informuje, że w Tijuanie zdarzają się przypadki, gdy grupy mężczyzn z Ameryki Środkowej zachęcają samotne matki do sprzedania im swoich dzieci. Wszystko po to, aby mogli przekroczyć amerykańską granicę już jako „rodzina" i uniknąć pobytu w ośrodku prowadzonym przez ICE.

Nie ma dobrych rozwiązań

Do pierwszego kryzysu z udziałem imigrantów z Ameryki Środkowej doszło w 2014 r. Gdy na południową granicę USA dotarło wtedy m.in. ponad 68 tys. dzieci podróżujących bez opieki, w amerykańskiej debacie politycznej zaroiło się od pomysłów, jak sprawnie doprowadzić do ich deportacji.

Jednym z rozwiązań, które rozważała wówczas administracja prezydenta Baracka Obamy, było zniesienie prawa chroniącego dzieci z Ameryki Środkowej przed przyspieszoną deportacją. Amerykańskie władze nie zdecydowały się na ten krok, wprowadziły jednak – wątpliwą z prawnego punktu widzenia – politykę długoterminowego przetrzymywania rodzin z dziećmi w ośrodkach dla migrantów.

Jeszcze dalej posunęła się administracja Donalda Trumpa, znana z kontrowersyjnej polityki „zero tolerancji". Wiosną 2018 r. straż graniczna USA zaczęła zatrzymywać imigrantów pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy, nawet jeśli deklarowali chęć złożenia wniosku o azyl. Szczególnie dramatyczna była sytuacja rozdzielanych rodzin: dorośli trafiali do ośrodków prowadzonych przez ICE [mieli tam przebywać do czasu rozpatrzenia ich sprawy – red.], a ich dzieci do rządowych ośrodków. Potem, pod wpływem nacisków ze strony obrońców praw człowieka, Partii Demokratycznej i społeczności międzynarodowej, administracja Trumpa zaprzestała rozdzielania rodzin.

Problem szturmujących granicę z Meksykiem imigrantów jednak nie zniknął. Gdy kilka miesięcy później słynna karawana dotarła do Tijuany, amerykańskie władze szukały kolejnych sposobów na opanowanie kryzysu. Aby zniechęcić imigrantów do ubiegania się o azyl, ograniczono liczbę przyjmowanych wniosków.

Wprowadzono również program „Pozostać w Meksyku", który zakłada, że na rozstrzygnięcie procedury azylowej imigranci mają oczekiwać po meksykańskiej stronie granicy. Restrykcje nie odstraszyły jednak nawet rodzin z dziećmi, które zaczęły decydować się na nielegalne przekroczenie granicy – długiej na, bagatela, 3145 kilometrów.

Uszczelnianie granicy, umowy i mur

Aby powstrzymać napływ imigrantów z Ameryki Środkowej, administracja Trumpa wywiera też naciski na meksykańskie władze. Pod groźbą wojny handlowej Biały Dom doprowadził do podpisania w czerwcu porozumienia, w którym Meksykanie zobowiązali się uszczelnić swoje granice. Na amerykańskie pogranicze wysłali już 15 tys. żołnierzy i członków Gwardii Narodowej. Ponad 6 tys. żołnierzy trafiło też na granicę Meksyku z Gwatemalą.

Zmuszone do poszukiwania nowych rozwiązań, amerykańskie władze ogłosiły ostatnio nowe zasady azylowe. Zakładają one, że imigranci, którzy w drodze do USA przekroczą terytorium tzw. bezpiecznego kraju, to właśnie tam, a nie w Stanach, powinni ubiegać się o status uchodźcy. Regulacje te przypominają politykę Unii Europejskiej, która po kryzysie migracyjnym z 2015 r. postawiła na porozumienia z Turcją i krajami Afryki Północnej, aby to w tych państwach, uznanych za bezpieczne, zatrzymać kolejne fale migrantów.

W Stanach nowe regulacje spotkały się z natychmiastowymi pozwami sądowymi ze strony organizacji broniących praw człowieka; skarżący zarzucali, że łamią one przepisy amerykańskie i międzynarodowe.

Administracja Trumpa nie porzuciła jednak swojej strategii – i pod koniec lipca podpisała porozumienie z władzami Gwatemali. Umowa zakłada, że imigranci, którzy w drodze do USA przekroczą terytorium tego kraju, mogą być odsyłani tam przez amerykańskie władze. Jak na razie nie wiadomo jednak, kiedy – i czy w ogóle – porozumienie wejdzie w życie.

Sztandarowym projektem Trumpa, który miałby ograniczyć nielegalną imigrację do USA, jest budowa systemu zapór na całej granicy z Meksykiem (zwanych obiegowo „murem"). Batalia z Kongresem, który od początku nie chciał przekazać na ten cel środków, doprowadziła pod koniec 2018 r. do trwającego 35 dni częściowego zawieszenia działania rządu federalnego i jego instytucji.

Po kolejnych bojach dotyczących przekazania funduszy na budowę „muru" ostatecznie doszło do przełomu: na mocy decyzji Sądu Najwyższego USA sprzed kilku dni administracja Trumpa – do czasu dalszych rozstrzygnięć sądowych – może finansować budowę „muru" ze środków Departamentu Obrony.

Temat numer jeden

Kryzys imigracyjny coraz bardziej polaryzuje amerykańską politykę – i jest jednym z głównych tematów w trwającej już kampanii przed wyborami prezydenckimi w 2020 r.

Jego emocjonalność dobrze pokazuje spór o kształt ustawy dotyczącej pomocy humanitarnej, mającej złagodzić sytuację na granicy z Meksykiem. Politycy z „lewego" skrzydła Partii Demokratycznej domagali się możliwości prowadzenia niezapowiedzianych kontroli w ośrodkach straży granicznej. Nie chcieli się na to zgodzić posiadający większość w Senacie Republikanie, którzy przygotowali własny projekt ustawy. Szefowa Izby Reprezentantów, Nancy Pelosi z Partii Demokratycznej (mającej większość w Izbie), zmuszona do lawirowania między skłóconymi frakcjami swojej partii, ostatecznie poparła mniej restrykcyjny projekt senacki. Na pomoc dla agencji federalnych, które prowadzą ośrodki dla imigrantów, Kongres przeznaczył 4,6 mld dolarów.

Kryzys na granicy z Meksykiem budzi też emocje wśród zwykłych Amerykanów. Gdy 12 lipca Mike Pence wizytował ośrodek w McAllen, przez całe Stany przetoczyły się demonstracje.

Jeden z protestów odbył się w San Ysidro, tuż przy przejściu granicznym z Tijuaną. Setki amerykańskich przeciwników Trumpa, domagających się wypuszczenia z ośrodków rodzin z dziećmi, skandowały hasła przeciwko prezydentowi i jego polityce. Na transparentach roiło się od napisów: „Wsadźcie do klatki Trumpa, a nie dzieci", „Nie dla klatek, nie dla muru", „Koniec z obozami koncentracyjnymi".

Przymusowe przetrzymywanie imigrantów w federalnych ośrodkach to temat, który budził emocje na długo przed tym, jak w 2016 r. prezydentem został Trump. Ale obecny rekordowy *exodus* z Ameryki Środkowej obnażył najwyraźniej wszystkie słabe punkty amerykańskiej polityki imigracyjnej – te, które politycy ignorowali przez lata.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Kontynent pozbawiony historii

MACIEJ MACHCEWICZ

Afryka, dom ponad miliarda ludzi, o niezwykłej różnorodności kultur i ludów. Dzieje sięgające czasów prehistorycznych, zapisane w tradycji, sztuce i legendach. Dzieje, których w Europie nie znamy.

Kiedy jedziemy do Francji, zachwycamy się jej kulturą i architekturą. W Azji podziwiamy ukryte w dżungli świątynie, w Ameryce Południowej wspinamy się po górskich zboczach, aby ujrzeć pozostałości po indiańskich miastach. Czy jednak ktoś podróżuje do Afryki w poszukiwaniu śladów minionych cywilizacji? A może inaczej: kto jest świadom, że w Afryce można znaleźć ślady cywilizacji innej niż ta, którą zaprowadzili biali kolonizatorzy?

W geograficznej izolacji

Na wstępie należy wyjaśnić, że mowa o Afryce Subsaharyjskiej. W przeciwieństwie do północnej części kontynentu – tej, która od starożytności była częścią świata śródziemnomorskiego, a później została zdominowana przez wpływy arabskie – tereny położone na południe od Sahary przez wieki pozostawały w izolacji – oddzielone od naszej części świata przez saharyjską pustynię na północy, Ocean Indyjski na wschodzie i Atlantyk na zachodzie.

Tym samym była pozbawiona inspiracji zewnętrznych. Nie brała udziału w wymianie myśli i technologii, która od najdawniejszych czasów odbywała się na osi Wschód–Zachód czy Północ–Południe. Aby zrozumieć, jak wielkie miało to znaczenie dla rozwoju społeczeństw, wystarczy sobie uświadomić, że dzięki kontaktom z Bliskim i Dalekim Wschodem do Europy zawitały takie wynalazki jak papier czy proch. Państwa afrykańskie, nawet jeśli osiągały wysoki stopień zaawansowania, miały ogromny problem z nawiązaniem kontaktu nie tylko z resztą świata, ale nawet ze sobą nawzajem.

Mało kto zdaje sobie sprawę z ogromu Afryki. W błąd wprowadza mapa Merkatora (system sporządzania map wynaleziony w XVI w.), która przez setki lat kształtowała wyobrażenie Europejczyków o świecie. Choć pochodzi sprzed kilku wieków i pierwotnie służyła do żeglugi, do dziś pozostaje w powszechnym użyciu.

W koncepcji flamandzkiego kartografa Gerarda Merkatora południki i równoleżniki przecinają się pod kątem prostym, a do tego wszystkie równoleżniki są długości równika. Zabieg ułatwia nawigację, ale zaburza proporcje rozmiaru lądów. Patrząc na mapę Merkatora, można odnieść wrażenie, że Grenlandia jest wielkości Afryki, podczas gdy w rzeczywistości jest czternastokrotnie mniejsza. Dość powiedzieć, że na powierzchni Afryki można by zmieścić Stany Zjednoczone, Indie, Chiny, Hiszpanię, Francję, Niemcy i Wielką Brytanię, a i tak zostałoby miejsce na kilka mniejszych państw europejskich.

Ta ogromna przestrzeń pozbawiona jest dogodnych połączeń. Wybrzeżom Afryki Subsaharyjskiej daleko do naturalnych portów, a potężnym rzekom – do spławnych szlaków komunikacyjnych. Dużą jej część zajmowały nieprzebyte dżungle i jałowe pustynie. To wszystko utrudniało koncentrację ludności i wymianę handlową, a w konsekwencji sprawiło, że rozwój przebiegał tu wolniej i trudniej niż na innych kontynentach.

Nie oznacza to, że w Afryce przed przybyciem Europejczyków nie było nic. Rysując mapę przedkolonialnej Afryki, okazuje się, że wcale nie był to dziki i niezamieszkały ląd, lecz tętniący życiem kontynent, pełen politycznych bytów.

Problem ze źródłami

Dlaczego zatem tak mało o nich wiemy? Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, brak źródeł pozwalających odtworzyć losy poszczególnych społeczności afrykańskich. Niewiele z nich używało pisma, większość opierała się na przekazie ustnym. Niektóre dotrwały do dziś, lecz z powodu zmian, jakie zaszły przez ten czas, trudno ocenić ich wiarygodność. W wielu przypadkach zabrakło też ciągłości pamięci. Wraz z rozpadem danej wspólnoty zanikała pamięć o niej.

Pozostają nam jedynie ślady. To nieliczne źródła autorstwa cudzoziemców: zapiski kupców i podróżników. Od XI w., wraz z ekspansją islamu i rozwojem handlu transsaharyjskiego, pojawia się szereg relacji arabskich. To głównie opisy skupione wokół miast, władzy i towarów, którymi handlowano. Nie dają odpowiedzi na pytania o organizację społeczeństwa czy życie codzienne. Są też wykopaliska. Napisy na kamieniach, monety, przedmioty, które dają fragmentaryczny

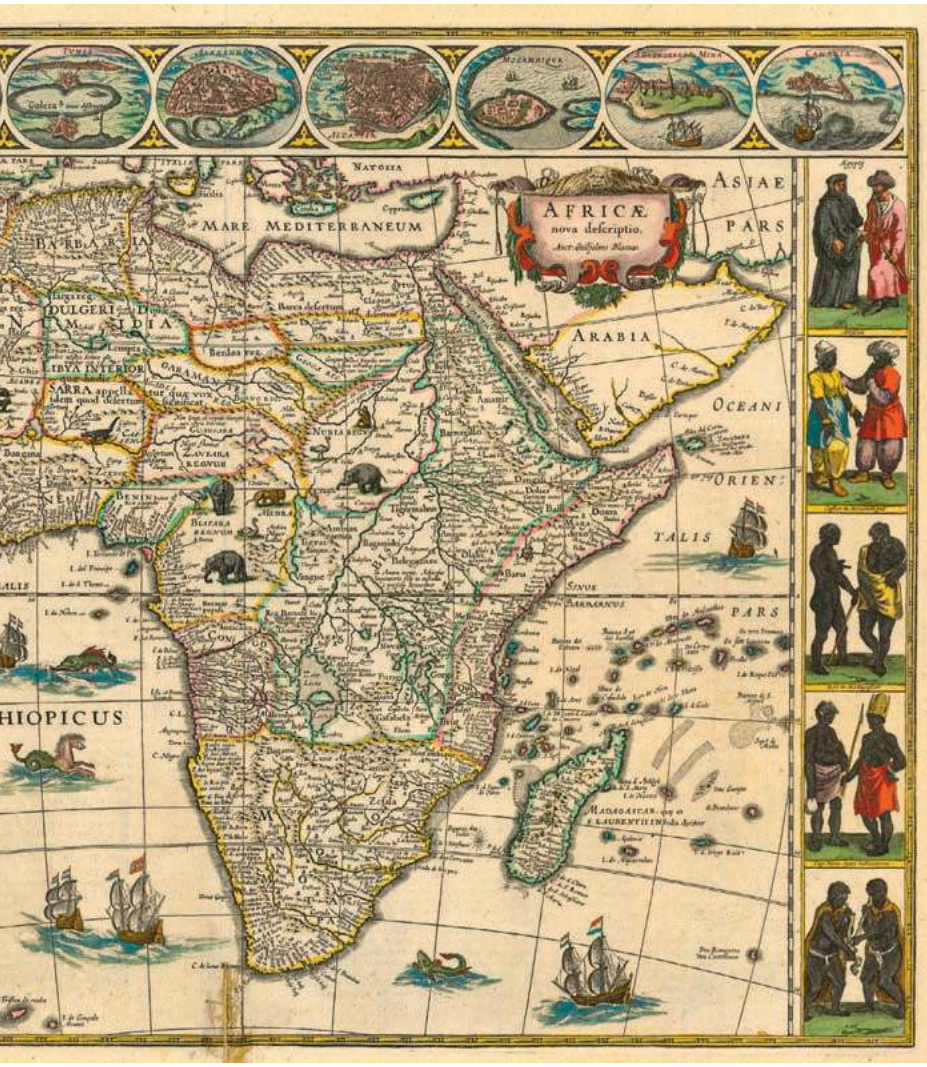

PRINCETON LIBRARY / DOMENA PUBLICZNA

MAPA „NOWE OPISANIE AFRYKI"
Willema Janszoona (1571–1638), wielokrotnie przedrukowywana z oryginalnej miedzianej płyty i ręcznie kolorowana w latach 1630–1667 w wielojęzycznych atlasach Blaeu. Reprodukowana obok odbitka pochodzi z łacińskiej edycji z 1644 r.

obraz przeszłości. Wreszcie: pozostałości miast, pałaców, różnego rodzaju monumentów i miejsc kultu religijnego – jest ich mało, są w kiepskim stanie, słabo udokumentowane przez naukowców.

Od momentu przybycia pierwszych Europejczyków w XV w. możemy już mówić o względnej obfitości źródeł pisanych. Wpierw były to dzienniki z podróży i relacje misjonarzy, potem zaczęły powstawać rozprawy naukowe. Ale tu pojawia się problem. Choć pisano na różne tematy – o geografii, historii, kulturze – afrykańskiemu życiu politycznemu, społecznemu i kulturalnemu odmawiano jakiekolwiek wartości.

„Reszta była ciemnością"

Znakomita większość tych dzieł pełna jest opinii, które wtedy uznawano za normę, a które – sformułowane dziś – zasłużyłyby na miano rasistowskich uprzedzeń. Np. w 1825 r. Georg Hegel pisał w „Filozofii historii", że Afryka „nie jest historycznym kontynentem, nie wykazuje ani zmiany, ani rozwoju", zaś „Afrykanie nie są zdolni ani do rozwoju, ani do nauki". Takie poglądy szybko zdobyły uznanie wśród europejskich społeczeństw. Wzmacniały poczucie wyższości i posłannictwa zawarte w haśle o „brzemieniu białego człowieka", wedle którego europejskie wzory i idee miały wyzwolić Afrykę z okowów barbarzyństwa. Były też usprawiedliwieniem dla podboju tego kontynentu.

Jeszcze na początku lat 60. XX w., już w czasach dekolonizacji, uznany brytyjski historyk Hugh Trevor-Roper oceniał, że historia Afryki zaczęła się w XIX w., gdy kontynent opanowali Europejczycy. Jego zdaniem „reszta była ciemnością, a ciemność nie może być przecież przedmiotem historii". Tym tokiem rozumowania podążali autorzy dzieł tak monumentalnych jak „The Cambridge History of the British Empire" oraz „The New Cambridge Modern History", traktowanych jako klasyka gatunku. Powielali one stereotypy zawarte w pracach pseudonaukowych, oparte na zasłyszanych plotkach i wydumanych teoriach. Jednocześnie dużo miejsca poświęcali dziejom europejskich kolonizatorów, utrwalając pogląd, że wcześniejsze dzieje Afryki nie są warte uwagi.

Tajemnica Wielkiego Zimbabwe

O tym, jak krzywdzące to opinie, świadczy przykład Wielkiego Zimbabwe.

Ogromny kamienny kompleks budowlany – to największa osobliwość architektoniczna Afryki Subsaharyjskiej i jej najcenniejszy zabytek. Ruiny na wyżynie zimbabweńskiej, 300 km na południe od Harare (stolicy obecnego Zimbabwe), rozciągają się na przestrzeni 7,5 km kw. Poszczególne ich części nazywa się „Świątynią", „Akropolem" i „Kompleksem w Dolinie". Wrażenie robi zwłaszcza ta pierwsza: otoczona potężnym granitowym murem, wysokim na dziesięć metrów i szerokim na pięć. Zabytek ten wywołał wiele błędnych interpretacji i do dziś kryje tajemnice.

Na okolice Wielkiego Zimbabwe, a raczej znajdujące się tam pokłady złota, pierwsi zwrócili uwagę Portugalczycy. Uznali je za biblijny Ofir, gdzie miały znajdować się kopalnie króla Salomona. Mit ten przetrwał do XVIII w., choć liczne europejskie ekspedycje nie odkryły dowodów na potwierdzenie tej teorii. W końcu, gdy w 1871 r. do ruin kamiennego miasta dotarł niemiecki geolog Karl Mauch, rozpowszechniła się koncepcja o fenickich twórcach Wielkiego Zimbabwe: argumentacja (wątpliwa) ↦

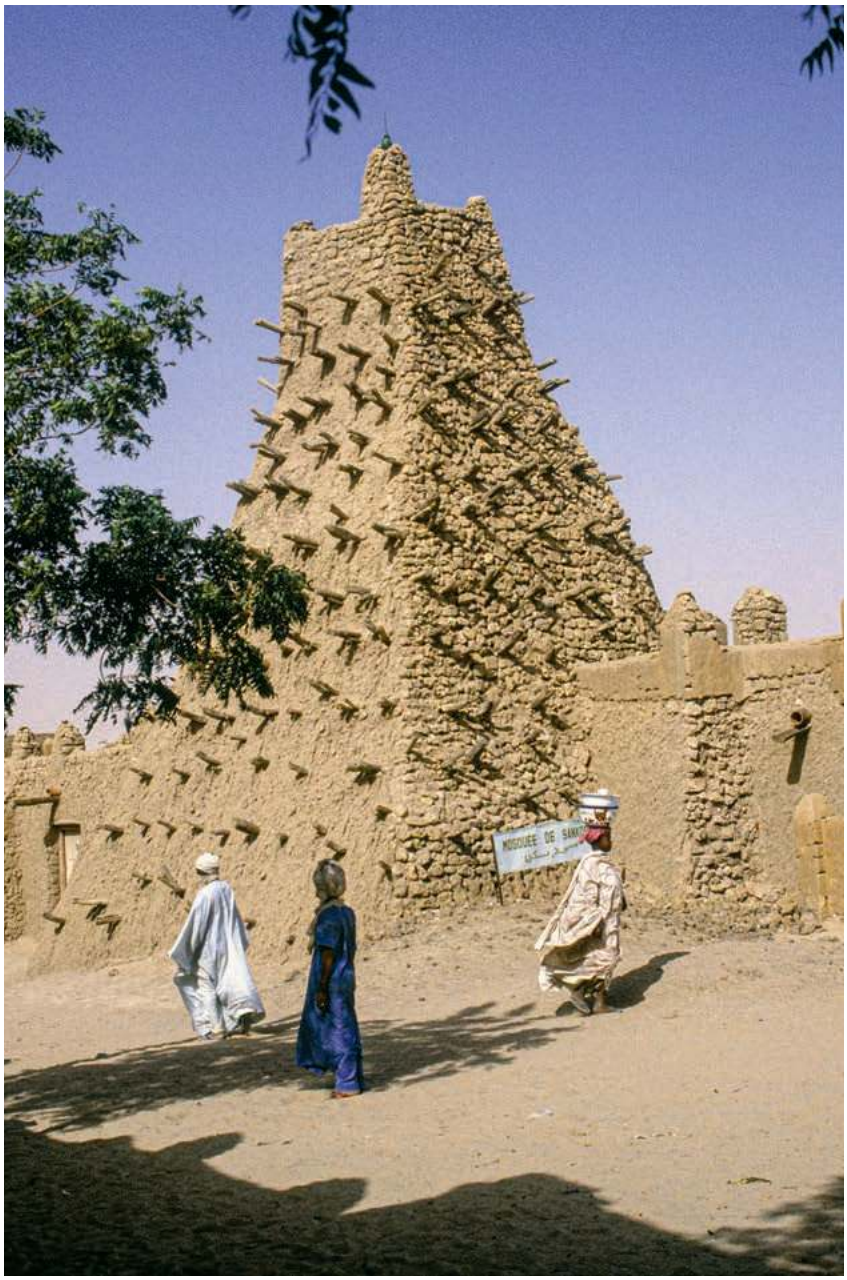

FORUM

Meczet w Timbuktu, Mali

↦ opierała się na znalezionych fragmentach bramy z drewna cedrowego, które Fenicjanie mieliby sprowadzić tu z Libanu.

Hojnym mecenasem tego poglądu był Cecil Rhodes. Ten dziewiętnastowieczny polityk i biznesmen, jeden z głównych autorów brytyjskiej ekspansji w Afryce (zwany też „królem diamentów"), dopatrywał się analogii między podbojem fenickim w starożytności na tym obszarze oraz tym prowadzonym jego rękoma. Ale jako domniemanych twórców cywilizacji Wielkiego Zimbabwe wymieniano też Żydów, Persów, Arabów, nawet Azjatów. Wzniesienie obiektu o tej skali miało przekraczać możliwości Afrykanów.

Centrum handlu złotem

Dziś nie ma wątpliwości, że Wielkie Zimbabwe było dziełem ludności rodzimej. Twórcami kamiennego miasta byli Afrykanie z rodziny Bantu, z której wywodzi się zamieszkująca obecne Zimbabwe ludność Szona. Słowo „Zimbabwe" pochodzi z języka tego plemienia i oznacza „domy z kamienia".

Obecnie zakłada się, że Wielkie Zimbabwe było centrum władzy rozległego państwa, które swą potęgę zbudowało na hodowli bydła i wydobyciu złota. Szacuje się, że miało 10 tys. mieszkańców (dla porównania: archeolodzy uważają, że Izrael króla Dawida liczył 5 tys. osób). Posiadało rozwinięte rzemiosło, czego dowodem są znalezione metalowe tygle, sztaby miedzi, ceramika i biżuteria. W okresie świetności, między wiekiem XIII i XV, Wielkie Zimbabwe było centrum handlu złotem, do którego podążali kupcy z arabskiej i centralnej części Afryki.

Potem nastąpił nagły i trudny do wyjaśnienia upadek państwa. Utraciło swe polityczne i gospodarcze znaczenie jeszcze przed pojawieniem się Europejczyków. Czy wyczerpały się miejscowe zasoby, czy zmieniły się szlaki handlowe, czy nastąpił jakiś kataklizm? Tego, jak i wielu innych rzeczy o historii Wielkiego Zimbabwe na razie nie wiemy.

Najbogatszy człowiek świata

W tym samym czasie w zachodniej Afryce kwitło Imperium Mali. Potężne królestwo w okresie swojej świetności rozciągało się od Atlantyku do dzisiejszej Nigerii. Swoje legendarne bogactwo zbudowało dzięki położeniu na skrzyżowaniu szlaków kupieckich i na ogromnych pokładach złota.

Do dziś grioci [artyści sztuki muzyczno-słownej z Afryki Zachodniej – red.] snują opowieści o królu Mansie Musie, który miał być najbogatszym człowiekiem w historii świata. Gdy ten muzułmański władca wybrał się w 1324 r. na pielgrzymkę do Mekki, miał mu towarzyszyć orszak liczący kilkadziesiąt tysięcy ludzi i dźwigający takie ilości złota, że na trasie jego przemarszu doszło do wieloletniej hiperinflacji.

Imperium Mali to jednak nie tylko bogactwo mierzone w szlachetnym kruszcu. Timbuktu, stolica państwa, było kwitnącą metropolią pełną akademii, meczetów i bibliotek, które przyciągały uczonych i poetów. W granicach imperium żyło wiele plemion, a społeczeństwo funkcjonowało wedle praw zebranych w Karcie z Kurukan Fuga, ogłoszonych przez Sundiatę Keitę, założyciela i twórcę potęgi Mali.

Przekazywane drogą ustną zapisy, uważane za jedną z pierwszych konstytucji na świecie, mówiły m.in. o prawie do życia, nienaruszalności fizycznej czy równości płci. Dzieliły też mieszkańców na klany definiujące ich role społeczne.

Istniał klan odpowiedzialny za obronę, klan nauczania islamu czy zajmujący się handlem i rzemiosłem.

Jak w wielu imperiach, także w Mali spory dynastyczne i bunty na prowincjach doprowadziły do jego upadku. Wpierw na południu zaczął panoszyć się lud Mossi, na północy zaś pojawili się Tuaregowie. W końcu w drugiej połowie XV w. klęskę Imperium Mali przypieczętowało wzrastające w siłę państwo Songhaj, które wkrótce stało się nowym regionalnym hegemonem.

Spacer po muzeach

Warto też wspomnieć o Królestwie Beninu, które w relacjach europejskich podróżników z XVI i XVII w. jawi się jako państwo o rozwiniętym systemie politycznym, porównywalnym z ówczesnymi krajami Europy. Holender Olfert Dapper z uznaniem opisywał rozmiary stolicy tej afrykańskiej monarchii i rezydencję władcy. Miasto posiadało trzydzieści głównych ulic i cechowało się wielką czystością – czego nie można powiedzieć o Londynie czy Paryżu w tamtych czasach.

To tylko trzy przykłady. Na południe od Sahary istniało też wiele innych państwowości. Choć oczywiście wszystkie miały swoje ograniczenia, o których była mowa na wstępie.

Zaczęliśmy je odkrywać późno. Dopiero w drugiej połowie XX w., wraz z dekolonizacją i powstaniem niepodległych państw afrykańskich, nastąpił rozwój studiów afrykanistycznych. Od tego czasu powstał szereg rzetelnych publikacji, dzięki którym możemy poznać przeszłość Afryki Subsaharyjskiej.

Uczone księgi nie są dziś zresztą jedynym dostępnym źródłem wiedzy. Muzea w Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii czy Niemczech pełne są eksponatów pozyskanych (dziś powiedzielibyśmy raczej: zrabowanych) w czasach kolonialnych. Samo paryskie Musée du quai Branly posiada 70 tys. afrykańskich dzieł sztuki. Sporo jak na kontynent rzekomo pozbawiony własnej historii.

Tymczasem w 2018 r. w Senegalu otwarto Musée des Civilisations Noires, które opowiada o historii i kulturze czarnych cywilizacji. Na ogromnej wystawie znajdują się puste gabloty, do których w przyszłości mają trafić eksponaty z europejskich placówek, których zwrotu od lat domagają się państwa afrykańskie. Kolejne tego typu muzea powstają w Nigerii i Beninie.

Jak dotąd europejskie muzea nie zamierzają nic oddawać. Przełomowa dla starań Afrykanów była zapowiedź prezydenta Francji Emmanuela Macrona podczas wizyty w Burkina Faso w 2017 r. – zwrotu dzieł zagrabionych w czasach kolonialnych do krajów ich pochodzenia. W ślad za tą deklaracją powstał raport sporządzony przez dwoje naukowców, Francuzkę Bénédicte Savoy i Senegalczyka Felwine'a Sarra: zarekomendowali oni, że powinno to nastąpić bezwarunkowo.

Z podobnymi dylematami mierzą się Niemcy, Belgowie i Brytyjczycy. Chociaż akurat ci ostatni, jak na razie, pilnie strzegą skradzionych skarbów i sukcesywnie odrzucają kolejne wezwania płynące z byłych kolonii.

Obraz ukształtowany przez stereotypy

Zrealizowanie obietnicy francuskiego prezydenta oznaczałoby, że w pierwszej połowie XXI w. koniec ery kolonialnej nastąpiłby także w muzealnictwie. Czy nastąpi kiedyś w naszej świadomości?

Nasze wyobrażenie o afrykańskim kontynencie wciąż kształtują powielane od lat stereotypy. Bo czym jest dla nas Afryka?

Z jednej strony to kreowany przez media obraz conradowskiego jądra ciemności: wojny, klęski głodu, susze, dzieci z chmarami much wokół twarzy. Z drugiej strony – promowana przez turystykę egzotyczna pocztówka z wakacji. Rajskie plaże i safari po pełnych dzikich zwierząt sawannach.

Tyle w Europie wiemy zazwyczaj o Afryce – kontynencie, na którym na długo przed przybyciem białego człowieka rozwijały się i upadały dziesiątki królestw i imperiów. Myślenie rodem z epoki kolonialnej tkwi w nas głębiej, niżbyśmy sobie życzyli.

© MACIEJ MACHCEWICZ

Autor jest historykiem i socjologiem. Interesuje się Afryką, Bliskim Wschodem i Bałkanami. Współpracuje z portalem Holistic News.

REKLAMA

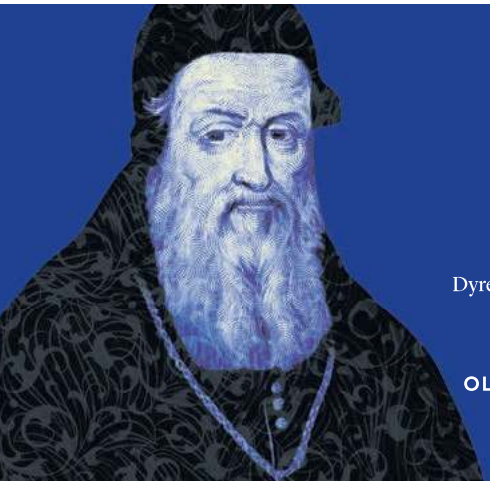

Burmistrz Biecza zaprasza

Patronat honorowy:
Jan Wątroba – Biskup Rzeszowski
Witold Kozłowski – Marszałek Województwa Małopolskiego
Piotr Gliński – Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dyrektor artystyczny: Arkadiusz Bialic

KROMER
BIECZ FESTIVAL
6–11 SIERPNIA 2019

LES BASSES RÉUNIES / {OH!} ORKIESTRA HISTORYCZNA / LE NUOVE MUSICHE
NAROL BAROQUE / SIRKKA-LIISA KAAKINEN-PILCH / MARTIN GESTER
OLGA PASIECZNIK / MARTYNA PASTUSZKA / BRUNO COCSET / LILIANNA STAWARZ
MAREK TOPOROWSKI / MARTA BOBERSKA

Wstęp wolny · Free entrance · www.kromerbieczfestival.pl

Miasto i Gmina Biecz
Bieckie Centrum Kultury
Parafia pw. Bożego Ciała w Bieczu
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
MAŁOPOLSKA
Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego
PGE
PZU FUNDACJA
Sfinansowano ze środków Fundacji PZU
TVP 1
TVP KULTURA
TVP 3 RZESZÓW
TVP 3 KRAKÓW
RADIO KRAKÓW
DZIENNIK POLSKI
Polskie Radio RZESZÓW
interia
STYL.PL
misteria paschalia
kbf

Epidemia mitów

MARCIN ŻYŁA

W Demokratycznej Republice Konga walka z ebolą to nie tylko wyzwanie medyczne. Niektórych trzeba najpierw przekonać, że groźny wirus w ogóle istnieje.

Gdyby Justin Bwambale, 22-latek z Butembo, kilkusettysięcznego miasta na wschodzie Konga, był zwykłym studentem, o tym, że obronił pracę dyplomową, nie dowiedziałyby się z radia miliony jego rodaków.

Stało się jednak inaczej. Jeszcze niedawno Bwambale walczył bowiem o życie. Zapadł na gorączkę krwotoczną ebola, chorobę wywoływaną przez wirus, którego epidemia, największa w historii Demokratycznej Republiki Konga, trwa już rok. Umiera 68 proc. zarażonych. On miał szczęście – wypisano go ze szpitala w Nowy Rok, od razu wrócił na studia. Obrona dyplomu była dla mediów okazją, by rozprawić się z mitem, że groźny wirus trwale pozbawia ludzi mądrości.

Czy to aby nie spisek

Takich mitów jest więcej. Niektórzy Kongijczycy wierzą, że w chronionych przez wojsko klinikach chorzy, aby umrzeć bez cierpień, dostają śmiertelny zastrzyk. Albo że podczas szczepień dzieci celowo zarażane są wirusem. Leczyć ma sporządzana w domu mikstura z gorącej czekolady, kawy i cebuli. Z ciał zmarłych zaś pobiera się jakoby narządy do przeszczepów. W Kiwu Północnym, prowincji, gdzie od miesięcy trwa lokalna wojna domowa, aby powstał taki mit, nie trzeba wiele: wystarczy, że wojsko otoczy kordonem dom osoby podejrzewanej o nosicielstwo wirusa eboli, wywiezie je w nieznanym kierunku, chory nigdy nie wróci...

W Kiwu Północnym i sąsiedniej prowincji Ituri wirusem zaraziło się już ok. 2600 osób (zmarło ponad 1800). Z początku wiejski, trudno dostępny teren, utrudniał chorobie rozprzestrzenianie się, lokalne ogniska epidemii za każdym razem udawało się opanowywać. Aż do minionego tygodnia – wtedy, niemal dokładnie w rocznicę ogłoszenia epidemii, potwierdzono pierwsze przypadki transmisji wirusa w dwumilionowej Gomie, regionalnej stolicy.

Z Vincentem Kulimushi, lekarzem z tego miasta, skontaktowałem się przez Facebooka. Zapytałem go, dlaczego walka z ebolą akurat w tym miejscu i czasie jest tak trudna. „Z kilku powodów – odpisał. – Po tym, gdy wykorzystując epidemię długo opóźniano wybory, Kongijczycy nie ufają władzom. Na temat choroby utrzymują się mity oraz zwykła niewiedza. Do tego dochodzi wiara w tzw. *Ebola business*. Na obronę przed wirusem wydano już miliony dolarów. Są tacy, którzy uważają, że wirus nie istnieje, że wymyślono go tylko po to, aby ktoś zarobił".

Punkt zwrotny

To ostatnie tylko z pozoru brzmi niewiarygodnie. We wschodnim Kongu, jednym z najbardziej skorumpowanych regionów świata, wiadomości z dalekiej Kinszasy – obojętne czy dotyczą wyborów, czy ochrony przed ebolą – z zasady uznaje się za kłamstwo. Efekt? Według cytowanego przez „The Economist" koordynatora ds. walki z epidemią w Butembo, ok. 40 proc. mieszkańców prowincji Kiwu Północne nie wierzy w istnienie choroby.

Kulimushi – z którym wymieniam wiadomości kilka godzin po tym, gdy w Gomie potwierdzono piąty przypadek choroby – pisze o panice wśród mieszkańców: „Do niektórych dzielnic władze zabroniły wjazdu. Na ulicach ustawiono punkty sanitarne, przy których, w ramach profilaktyki, myje się dłonie. Strach i niepewność wzmogło zamknięcie na kilka godzin granicy z Rwandą. Wielu z nas zarabia na życie w Gisenyi, położonym po drugiej stronie".

Sąsiadujące z kongijskim Północnym Kiwu Rwanda i Uganda za wszelką cenę nie chcą dopuścić do rozprzestrzenienia się wirusa na wschód, w stronę Jeziora Wiktorii. Obecność eboli w Gomie to punkt zwroty epidemii. Po niedawnej dymisji ministra zdrowia prezydent Félix Tshisekedi powołał specjalną komisję. Mówi się o tym, że ma dwa cele: zastosować nową wersję próbnej szczepionki przeciwko wirusowi – oraz przekonać do niej tych, którzy w Kongu już nikomu nie ufają. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD
– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na **powszech.net/bnd**

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

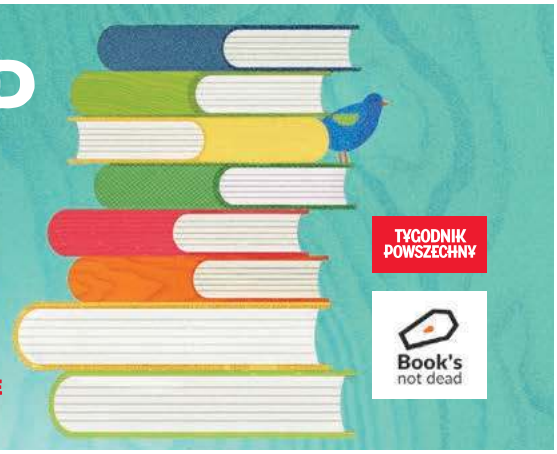

TYGODNIK POWSZECHNY
Book's not dead

Anna Kutera (na drugim planie) prowadzi resuscytację noworodka w szpitalu w Midigo. Poniżej: Joanna Wasil z wcześniakiem, listopad 2018 r.

Trzeba improwizować

TEKST I ZDJĘCIA ALEKSANDRA RUTKOWSKA

Niewielki szpital w ugandyjskiej wsi z dnia na dzień stał się najważniejszą placówką w regionie: obok znajduje się jeden z największych na świecie obozów dla uchodźców.

Nie oddycha" – słyszę donośny głos Anny Kutery. Lekarka błyskawicznie zaczyna resuscytację noworodka, tuż obok położnych wypełniających ze spokojem dokumenty. Dołączają ratowniczki Asia i Paulina. Potrzebne są: lepsze światło, rękawiczki, przedłużacz. I dodatkowa dłoń do przytrzymania wąsów tlenowych. Są za duże, nie dla małych dzieci – ale innych nie ma.

Temperatura ciała spada, lecz serce wciąż bije. Trzeba improwizować – izolatorem ciepła, też jedynym dostępnym, jest folia spożywcza. Resuscytacja trwa już 42 minutę. Na zewnątrz słychać grzmot. Wiatr porywa wiszące w drzwiach moskitiery. Ktoś pospiesznie zamyka okno. Z nieba spada ściana deszczu. Trzy kobiety są jednak skupione na swoim pacjencie. Jeszcze jedno wkłucie. Ostatnia dawka adrenaliny. Ostatni oddech.

– Zrobiłyśmy wszystko – mówi jedna z ratowniczek. Dziś zajmowała się pacjentami na innym oddziale, na położniczy przyszła tylko kontrolnie. Nikt z lokalnego personelu nie zauważył, że noworodek przestał oddychać.

Koc, czyli inkubator

W szpitalu w Midigo w północno-zachodniej Ugandzie, w małym pokoju zaadaptowanym na oddział położniczy, mieści się kilkanaście łóżek. Ich właścicielki zmieniają się tak szybko jak pogoda u schyłku pory deszczowej. Na korytarzu mijam roześmiane matki, raczkujące dzieci, którym kilka godzin wcześniej urodził się brat lub siostra, i nonszalancko spacerujące kury.

Z maleńkiej izby wydobywają się ledwie słyszalne dźwięki najmłodszych pacjentów. Noworodki, zwykle wcześniaki, czekają położone na małym biurku, jeden obok drugiego. Często tylko na śmierć. Położne nie zawsze wiedzą, jak im pomóc. Zawijają je w grube koce, imitujące inkubatory, czasem podają tlen. Bywa, że na tym interwencje się kończą.

W Midigo, przez siedem dni w tygodniu, na trzech zmianach, pracują 42 osoby – odbierają porody, diagnozują malarię, wykonują badania. Przez dwa dni wykonują zabiegi i operacje.

Miesięcznie do szpitala zgłasza się ok. 2 tys. pacjentów. Większość to uchodźcy z Sudanu Południowego mieszkający w niedalekim Bidi Bidi, jednym z największych na świecie obozów dla uchodźców (obecnie żyje tu 227 tys. osób; w całej Ugandzie – 825 tys.). Od listopada 2018 r. uchodźcy kierowani są do szpitala na takich zasadach, jak inni mieszkańcy dystryktu Yumbe. W obozie są polowe kliniki, jednak Midigo, jako ośrodek referencyjny całego regionu, musi być gotowe na przyjęcie każdego pacjenta.

Wielu udaje się do przychodni z objawami malarii. Mechanizmy szybkiej diagnozy szpital ma opanowane perfekcyjnie. Wystarczy kilka minut, krótka konsultacja i już wypisywana jest recepta. Problem w tym, że badaniami ↦

zajmuje się tylko jeden lekarz. Pracuje codziennie.

Cięcia cesarskie i finansowe

Znacznie gorzej jest na oddziale położniczym. Uganda jest w czołówce państw z najwyższym współczynnikiem dzietności (wynosi 5,6). Podobnie jak sąsiednia Demokratyczna Republika Konga, z której przed lokalnymi walkami też uciekają ludzie.

Polki, które przyjechały do Midigo w ramach misji Medycznego Zespołu Ratunkowego PCPM, polskiej fundacji prowadzącej projekty humanitarne i rozwojowe, odczuły to już pierwszego dnia pracy. W ciągu dwóch godzin uczestniczyły w pięciu porodach, w tym trzech cesarskich cięciach. Kiedy weszły na salę, okazało się, że nie ma nawet igieł do znieczulenia.

– Jeśli zabraknie sprzętu i nie można go znikąd pożyczyć, trzeba improwizować – tłumaczy Michał Madeyski, szef ugandyjskiej misji.

Zamiast tzw. igły Tuohy do znieczulenia stosuje się wenflon. Źle wykonane znieczulenie może spowodować komplikacje, lecz inaczej się nie da. Zakupy sprzętu jednorazowego są robione raz na kwartał. Lekarze oszczędzają, jak mogą. Budżet szpitala, jaki zapewnia rząd Ugandy, to równowartość 42 tys. złotych rocznie, z czego część pokrywa utrzymanie szpitala. Pacjenci sami kupują rękawiczki jednorazowe.

– Jeden z pacjentów – opowiada Anna Kutera – w ciągu dnia połknął 15 tabletek diplofenacu, które kupiła mu rodzina, bo nie mógł znieść bólu nogi. Nikt mu nie wytłumaczył, ile powinien wziąć. W Midigo nie ma obchodów. Pacjenci nie dostają leków na czas, bywa, że nawet przez kilka dni nie zmienia się im opatrunków – mówi lekarka. Potwierdza to chory, starszy mężczyzna z moszną rozciągniętą niemal do kolan i opatrunkiem sprzed trzech dni.

Personelowi brakuje czasu. Przemęczone pielęgniarki tracą czujność. Lekarze, którzy wykonują pracę internistów, ortopedów i ginekologów zarazem (w Ugandzie studia medyczne obejmują wszystkie specjalizacje w ograniczonym zakresie), bywają bezsilni, gdy przypadek wymaga pogłębionej wiedzy.

Często kończy się to tragedią. To frustrujące, dlatego mało kto decyduje się na pracę tutaj – mówią zatrudnieni w szpitalu Ugandyjczycy. Zarabiają równowartość 600–800 złotych miesięcznie. Mieszkają na terenie szpitala, do domu nie opłaca się wracać. Lekarze z obozu Bidi Bidi śpią w namiotach, które w porze deszczowej zatrzymują wilgoć. Wielu rezygnuje.

Śmiech i cierpienie

Polska fundacja dostarczyła do szpitala pierwsze inkubatory i wybudowała tymczasowe domy dla personelu. Nasi ratownicy pomagali przez miesiąc. Przygotowali też wewnętrzny audyt, strategie rozwoju i szkolenia – m.in. z resuscytacji noworodków.

Od listopada 2018 r. w misji wzięło udział 11 Polaków – lekarzy, położnych, pielęgniarek i farmaceutów. Doświadczenie pobytu w Midigo trudno będzie zapomnieć.

– Noworodka urodzonego w zamartwicy [niedobór tlenowy prowadzący do śmierci – red.] wentylowałyśmy przez 40 minut na tzw. worku Ambu, czyli worku samorozprężalnym przeznaczonym do resuscytacji. W Europie byłoby to nie do pomyślenia. To przerażające – mówi Joanna Wasil, ratowniczka.

Pacjenci w Midigo wyglądają na pogodzonych z losem. W Sudanie Południowym i Kongu doświadczenia wojny i głodu to dla nich codzienność. Bezpośrednio dotknęły co drugiego. Na trawie przed szpitalem, który z daleka wygląda jak stara polska remiza, pacjenci siedzą w grupach, głośno rozmawiając i śmiejąc się. Chwytają dzień. Są wdzięczni, że ktoś chce się nimi zająć.

Paulina Sęk, ratowniczka z Krakowa: – Przyszłam zbadać chłopca, który w związku z urazem nogi był skazany na leżenie w środku. Gdy skończyłam, zobaczyłam, że za moimi plecami utworzyła się kolejka uśmiechniętych pacjentów. Każdy chciał, żebym go zbadała. Albo chociaż dotknęła stetoskopem.

Dziś, w ciągu jednej doby, zmarło trzech małych pacjentów. Żadne z rodziców nie dzieliło się cierpieniem. Jedna z matek łkała bezgłośnie.

To jej dziecka nikt tu nie zauważył.

© ALEKSANDRA RUTKOWSKA

Więcej informacji o działalności Medycznego Zespołu Ratunkowego na stronie pcpm.org.pl

Autorka pracuje w fundacji Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej.

Walka o ziemię

DOMINIKA MATEJKO

W Amazonii wrze: poszukiwacze złota zabili wodza indiańskiego plemienia, by eksplorować jego tereny. Tymczasem prezydent Brazylii otwarcie deklaruje, że chce intensywnie eksploatować puszczę amazońską.

Wódz plemienia Wajãpi został zamordowany przez uzbrojonych poszukiwaczy złota w sobotę 22 lipca (data ma znaczenie). Napast-

JOEDSON ALVES / PAP

Protest przeciwko polityce prezydenta Bolsonaro, Brazylia, kwiecień 2019 r.

nicy zajęli też indiańską wieś i liczą, że eksploatacja ziemi Indian zapewni im duże zyski.

Do napadu doszło na terenie rezerwatu indiańskiego w stanie Amapá, w północno-wschodniej Brazylii. W promieniu dziesiątków kilometrów nie ma tam nic prócz gęstego lasu. Jeden z Indian nagrał apel do władz federalnych o interwencję. Alarmował, że napastnicy zajmują domy, plądrują zapasy jedzenia i szykują się do przejęcia kolejnych wsi. Ale trzeba było tygodnia, zanim na miejsce dotarły policja federalna i wojsko.

Wiadomość wstrząsnęła Brazylią. Ziemie indiańskie są bowiem pod ochroną. Tereny Wajãpi wydzielono jako rezerwat w 1996 r., a prawo Indian do ich ziemi jest zapisane w konstytucji. Mimo to regularnie dochodzi do starć między rdzenną ludnością i przede wszystkim dużymi firmami – nie tylko w Amapá, lecz w wielu regionach. Np. rok temu Instytut Ochrony Środowiska informował o wycince lasu na terenie należącym do Indian Ituna Itata w stanie Pará.

Autostrada przez dżunglę

Senator z Amapá Randolfe Rodrigues jest wstrząśnięty ostatnimi wydarzeniami, a winą za napaści w regionie obarcza samego prezydenta kraju. Jair Bolsonaro otwarcie popiera bowiem firmy prowadzące kopalnie i pomysł, by ograniczyć indiańskie tereny.

Bolsonaro często wypowiada się przeciw rdzennej ludności Amazonii. Nic dziwnego. Te tereny to żyła złota, a prezydentowi zależy na szybkim rozwoju ekonomicznym. Podobnie jak jego głównemu elektoratowi: rolnikom, którzy wycinają las tropikalny pod hodowlę bydła i uprawę soi. Ale na przeszkodzie stoją im rezerwaty. Rolnicy – i wielcy farmerzy, i ci drobniejsi – skarżą się, że nieliczna grupa Indian „okupuje" nieproporcjonalnie duże terytorium. Np. w Amapá na 600 tys. hektarów mieszka 120 tys. autochtonów.

Jeszcze podczas kampanii prezydenckiej Bolsonaro postulował zniesienie rezerwatów. Teraz poszedł o krok dalej. Zaprosił zagraniczne firmy (szczególnie z USA) do eksploatowania zasobów puszczy amazońskiej. Ale żeby plan się udał, potrzeba infrastruktury. Niedawno prezydent oświadczył, że zajmie się remontem drogi krajowej BR-319 z Manaus do Porto Velho, która częściowo biegnie przez puszczę i indiańskie wioski. Oddana do użytku w 1976 r., w czasie rządów dyktatury wojskowej, droga miała być alternatywą dla transportu rzecznego – i stać się symbolem sukcesu ekonomicznego junty.

Autostrada funkcjonowała jednak tylko do lat 80., dziś jest praktycznie nieuczęszczana, a jedyny sprawny transport, jaki funkcjonuje w tym regionie, odbywa się drogą powietrzną. Rząd twierdzi, że remont odcinka BR-319 w Amazonii jest niezbędny i nie widzi innej drogi – w przenośni i dosłownie – do ekonomicznego rozwoju kraju.

Zielone złoto

Brazylia zajmuje niechlubne pierwsze miejsce na świecie pod względem wycinki lasu. Na czwartym miejscu plasuje się sąsiednia Kolumbia. Narodowy Instytut Badań nad Przestrzenią szacuje, że w czerwcu tego roku wycinka lasu była aż o 88 proc. większa w porównaniu z czerwcem roku ubiegłego. Instytut mówi o 920 km kwadratowych wylesionego terenu w tym roku (to powierzchnia trzy razy większa niż np. Kraków).

Nie trzeba być zapalonym ekologiem, by wiedzieć, że Amazonia odgrywa ważną rolę w globalnym ekosystemie. Roślinność, jaka tam (jeszcze) rośnie, jest unikatowa. Pod względem bioróżnorodności to najbogatszy region Ameryki Łacińskiej. Niestety Amazonia plasuje się w czołówce także pod względem zasobów złota.

Na niedawnej konferencji prasowej Bolsonaro odpierał ataki zagranicznych dziennikarzy, twierdząc, że Amazonia to sprawa Brazylii i jakakolwiek ingerencja z zewnątrz w tej kwestii to podważenie suwerenności kraju (o tym, że głównym beneficjentem kopalin występujących na tych terenach powinny być według niego USA, nie wspomniał). Bolsonaro argumentuje, że przemysł wydobywczy i rolniczy w Amazonii to szansa na tysiące miejsc pracy, a zyski z podatków odczują wszyscy.

Nie wiadomo tylko, czy chodziło mu o wszystkich Brazylijczyków, czy o wszystkich skorumpowanych polityków. ©

ASTEROIDY ATAKUJĄ

Od kilkudziesięciu lat przygotowujemy się na kosmiczną katastrofę. Obserwujemy niebo, zbieramy meteoryty i badamy kratery uderzeniowe. Ale duża asteroida ciągle może nas zaskoczyć.

ANNA ŁOSIAK

Pod koniec lipca stumetrowa asteroida nazwana „2019 OK" o włos minęła Ziemię. Astronomowie zauważyli ją w ostatniej chwili. Gdyby się z nami zderzyła, powstałby krater o średnicy 2-4 km, a wszystko w promieniu kilku kilometrów wyparowałoby w ułamku sekundy. W odległości do kilkudziesięciu kilometrów zburzone lub poważnie zniszczone zostałyby wszystkie budynki, a wszyscy ludzie przebywający na zewnątrz ulegliby poparzeniom pierwszego stopnia. Jeszcze ponad 100 km od miejsca zderzenia można by zarobić w głowę skałą poruszającą się z prędkością większą od kuli z karabinu.

Takie wydarzenia następują znacznie częściej, niż mogłoby się wydawać. Sześć lat temu w Czelabińsku nad głowami spieszących się rano do pracy ludzi eksplodowała asteroida. Jej pojawienie się też było zaskoczeniem. Na szczęście czelabińska asteroida była znacznie mniejsza niż „2019 OK"; przed wejściem w atmosferę miała zaledwie 20 m średnicy. Szkody były więc relatywnie niewielkie: kilka tysięcy budynków straciło szyby, 112 osób trafiło do szpitala.

Piętnaście słoni dziennie

Codziennie na Ziemię spada około stu ton pozaziemskiego materiału – to tyle, co piętnaście słoni afrykańskich. Na szczęście jego ogromna większość przylatuje do nas w postaci malutkich fragmentów, które skutecznie są zwalniane w atmosferze i następnie powoli opadają na powierzchnię. W bezchmurne noce można zobaczyć, jak nieco większe, centymetrowe kawałki pozaziemskiej materii płoną w zderzeniu z cząsteczkami powietrza, tworząc widowiskowe „spadające gwiazdy".

Deszcz meteorytów nad chińskim Obserwatorium Ming'antu w regionie Xilin Gol, 2018 r.

Większe ciała – do kilku metrów średnicy przed wejściem w naszą atmosferę – też nie są groźne dla ludzi. Mogą być wręcz przydatne, bo niewielkie fragmenty kilkumetrowych asteroid mogą dotrzeć na powierzchnię Ziemi jako meteoryty. Są one nie tylko niezastąpionym źródłem wiedzy o początkach naszego układu słonecznego, ale też mogą być traktowane jako próbki dostarczane nam za darmo przez Matkę Naturę prosto z innych globów – np. Marsa czy Księżyca. Co roku na powierzchnię Ziemi spada około 500 meteorytów cięższych niż dziesięć gramów, ale odnajdujemy ślady tylko około dziesięciu rocznie. Reszta na wieczność (to znaczy dopóki mokre, ziemskie środowisko nie spowoduje ich rozpadu na drobny pył) skończy w oceanach, w niedostępnych lasach, a może nawet niepostrzeżenie przeleży w naszych ogródkach.

Im większy jest pojedynczy kawałek kosmicznego gruzu, tym, na szczęście, rzadziej zderza się z naszą planetą. Ciało o średnicy 50 m wpada w ziemską atmosferę raz na kilkaset lat. W zależności od tego, z jakiego materiału jest zbudowane, wywołuje bardzo różne skutki.

Jeżeli tej wielkości asteroida składa się z bardzo lekko związanych skał, eksploduje w atmosferze, tak jak 30 czerwca 1908 r. w pobliżu rzeki Podkamienna Tunguzka na Syberii. Wtedy to wybuch ciała niebieskiego na wysokości około 5 km nad ziemią położył las na powierzchni ponad 2 tys. km kwadratowych. Najprawdopodobniej zginęło kilka osób wypasających w tym rejonie stada reniferów, ale straty trudno jest dokładnie oszacować – pierwsza ekspedycja badawcza dotarła w ten rejon dopiero po 13 latach. Wiadomo za to, że skutki katastrofy tunguskiej były mierzalne na całym świecie.

Właściwy moment

Asteroidy w każdej sekundzie pokonują dystans 20 km – ich zabójcza moc wynika właśnie z prędkości. Poruszają się szybciej niż cokolwiek, co możemy znać z życia. Najszybsze kule karabinowe mogą osiągnąć maksymalną prędkość około 1,5 km na sekundę. Takie ciało niebieskie jak asteroida niesie w sobie więc ogromną ilość energii kinetycznej (proporcjonalnej do masy ciała i prędkości podniesionej do kwadratu). W rezultacie nawet stosunkowo niewielka, kilkudziesięciometrowa asteroida może przenosić energię równą tysiącu bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę. Jeżeli zostanie nagle zatrzymana lub choćby mocno zwolniona, cała ta energia kinetyczna musi gdzieś się podziać – najprościej uwolnić ją w olbrzymim wybuchu.

Ciała niebieskie podobnej wielkości, ale składające się z bardziej odpornego stopu żelaza i niklu, pochodzącego z samego środka dawno rozbitych asteroid, są w stanie przejść przez atmosferę w dużo większych kawałkach i zachować znaczną część swojej energii kinetycznej. Energia ta zostaje uwolniona dopiero w zderzeniu z ziemią, a na powierzchni powstaje krater uderzeniowy. Do takiej sytuacji doszło około 5 tys. lat temu w Morasku pod Poznaniem, gdzie znajdują się jedyne w Polsce potwierdzone kratery uderzeniowe. Największe z siedmiu zagłębień ma około 100 m średnicy i 12 m głębokości. Powstały w jednym momencie w wyniku zderzenia z fragmentami tej samej żelaznej asteroidy, która rozpadła się w atmosferze na mniejsze kawałki.

Bezpośrednie spotkania z asteroidą o średnicy około 100 m – takimi jak „2019 OK" – zdarzają się średnio co około 10 tys. lat. Akurat teraz (plus minus parę tysięcy lat) byłby statystycznie właściwy czas na następne...

Kolizje z gigantycznymi asteroidami, które mogą spowodować kolejne wielkie wymieranie, zdarzają się co około 100 mln lat. Ostatnio 65 mln lat temu, kiedy dziesięciokilometrowa asteroida uderzyła w płytkie morze w okolicach dzisiejszego Meksyku i zakończyła – lub pomogła zakończyć – epokę dinozaurów. Krater Chicxulub (nazwa pochodzi od miasta znajdującego się w pobliżu i oznacza „pchli diabeł") ma 180 km średnicy. Miejsce uderzenia (wraz z morzem, roślinami, zwierzętami i skałami) zostało wyparowane w ułamku sekundy. W dodatku asteroida uderzyła w miejsce, w którym znajdowały się grube pokłady skał węglanowych, co spowodowało natychmiastowe wpompowanie w atmosferę ogromnych ilości dwutlenku węgla i tlenków siarki. Z dnia na dzień zmienił się klimat całej Ziemi. Do tego doszły rozległe pożary, kwaśne deszcze i ciemność spowijająca Ziemię spowodowana dużą ilością pyłu wyrzuconego w atmosferę. Tyranozaury nie miały najmniejszych szans.

Finansowane dzięki Hollywood

Na szczęście już teraz mamy programy, które mogą uchronić nas przed podobnym losem. A wszystko dzięki połączeniu siły nauki i magii Hollywood.

Do początku lat 90. XX w. znaliśmy tylko kilkadziesiąt tzw. NEO-s (*near Earth objects*), czyli asteroid, których orbity przecinają się z orbitą Ziemi. W 1980 r. wiedzieliśmy o 80 takich potencjalnie niebezpiecznych ciałach niebieskich. Wszystko zmieniło się w marcu 1993 r., gdy Carolyn Shoemaker, z pomocą męża i Davida Levy'ego, odkryła kometę nazwaną Shoemaker-Levy 9, krążącą wokół Jowisza po niestabilnej orbicie (zob. wywiad na następnej stronie). Gdy w lipcu 1994 r. to ciało niebieskie zderzyło się z gazowym gigantem, w miejsce zderzenia były wycelowane setki teleskopów. Miliony ludzi śledziły to wydarzenie na żywo w telewizji.

Sugestywny charakter bezpośredniego przekazu z kosmicznej kolizji wpłynął nie tylko na naukowców, ale miał też silny wpływ na scenarzystów i producentów filmowych. W rezultacie w 1998 r. premierę miały aż dwie superprodukcje hollywoodzkie opowiadające o reakcji ludzkości na wielką asteroidę na kursie kolizyjnym z Ziemią: „Armageddon" i „Deep Impact". Oba filmy nie tylko przyniosły ogromne zyski producentom, ale także pomogły naukowcom wpływać na polityków przydzielających fundusze na duże projekty badawcze. Kiedyś naukowcy musieli organizować skomplikowane prezentacje dla polityków ze szczegółowymi wyliczeniami dotyczącymi orbit niebezpiecznych asteroid. Po 1998 r. mogli wyświetlić kawałek „Armageddonu" i po prostu zapytać: „Chcielibyście uniknąć tego scenariusza?".

Właśnie w tym okresie rozpoczęły się programy poszukiwania potencjalnie niebezpiecznych ciał niebieskich. W uproszczeniu: specjalne teleskopy wykonują zdjęcia tych samych dużych obszarów nieba co kilka minut i sprawdzają, czy jakieś punkty światła widoczne na zdjęciach przemieszczają się na tle gwiazd. Te punkty to asteroidy. Na podstawie tego, w jaki sposób przemieścił się punkt świetlny reprezentujący asteroidę na różnych zdjęciach, komputery wyliczają ich orbity. Pierwsze wyliczenie jest pobieżne, potem, jeżeli okaże się, że ↦

BARCROFT MEDIA / GETTY IMAGES

dane ciało niebieskie może znaleźć się w pobliżu Ziemi, po dokonaniu kolejnych obserwacji wylicza się dokładniejszą orbitę. Na podstawie poziomu jasności punktu można wyliczyć wielkość danego ciała niebieskiego. Niestety jasność zależy nie tylko od wielkości asteroidy (i jej odległości od obserwatora), ale też od koloru materiału na jej powierzchni. W skrócie: czarne asteroidy wydają się mniejsze niż białe. Dlatego estymacja wielkości asteroid jest obarczona sporym błędem: np. w bazie danych NASA „2019 OK" ma od 59 do 130 m średnicy.

Obecnie znamy ponad 20 tys. ciał niebieskich, które przynajmniej czasem znajdują się zbyt blisko Ziemi. Zaledwie 896 z nich ma ponad kilometr średnicy – najprawdopodobniej skatalogowaliśmy już 90 proc. asteroid tej wielkości. Mniejszych niż kilometr, ale większych niż 140 m jest w naszych bazach około 8 tys., z oszacowań wynika, że co najmniej drugie tyle pozostało do odkrycia. Tych mniejszych niż 140 m średnicy jest jeszcze więcej i większości z nich nie znamy, mimo że, tak jak „2019 OK", mogą być śmiertelnie niebezpieczne dla całych miast, a nawet regionów.

Zmiana trajektorii

Co moglibyśmy zrobić, gdybyśmy zauważyli asteroidę zmierzającą w kierunku Ziemi? Najlepszym sposobem byłoby przyczepienie do niej niewielkich rakiet, które powoli i w przewidywalny sposób przepchną asteroidę na bezpieczną orbitę. To wymagałoby jednak wielu lat przygotowań. Jeżeli ciało niebieskie będzie miało powyżej kilometra średnicy, a do zderzenia zostanie niewiele czasu, być może jedynym wyjściem będzie zastosowanie metody Bruce'a Willisa z „Armageddonu" i wystrzelenie bomby atomowej. Naszym celem nie będzie jednak rozbicie pojedynczego impaktora na kawałki (jak to robił bohaterski wiertnik naftowy z filmu), ale również przepchnięcie go na inną, bezpieczniejszą dla nas trajektorię. Taki sposób poradzenia sobie z zagrożeniem z kosmosu jest znacznie bardziej ryzykowny od pierwszej opcji, bo nie da się dokładnie przewidzieć, w jaki sposób w odpowiedzi na wybuch jądrowy zmieni się orbita asteroidy. Może się nawet okazać, że przyśpieszymy własną zgubę.

W przypadku mniejszych, trudniejszych do wypatrzenia z odpowiednim wyprzedzeniem ciał, podobnych do „2019 OK", może nie być czasu na przeprowadzenie akcji zmiany orbity. Jedynym ratunkiem może być ewakuacja. Na szczęście jesteśmy w stanie dokładnie przewidzieć czas i miejsce zderzenia – robiliśmy już to w przeszłości. Richard A. Kowalski z Arizony odkrył czterometrową asteroidę „2008 TC3" zaledwie 19 godzin przed kolizją z Ziemią, wystarczyło to jednak, by stwierdzić, że uderzy 7 października 2008 r. w sudańską pustynię. Wydarzenie udało się sfotografować przez satelitę pogodowego Meteosat 8, a krótko po tym specjalna wyprawa naukowców z SETI Institute w USA i Uniwersytetu w Chartumie w Sudanie zebrała meteoryty. Co charakterystyczne dla tego typu wybuchów bolidów, z 80-tonowej asteroidy, mimo długich i dokładnych poszukiwań w pustynnych warunkach, zebrano tylko około 10 kg materiału.

Na podstawie badań skutków środowiskowych podobnych wydarzeń z przeszłości geologicznej możemy oszacować obszar, który musi być opuszczony lub odpowiednio zabezpieczony. Sposób przygotowania na zderzenie będzie zależeć od tego, gdzie dokładnie nastąpi eksplozja. Jeżeli takie stumetrowe ciało upadłoby gdzieś na północy Kanady czy w bezludnej części Syberii, to oprócz zadbania o to, żeby nikt postronny się tam nie kręcił (z wyjątkiem zainteresowanych naukowców, wliczając w to niżej podpisaną), w zasadzie nie musimy wiele robić. Jeżeli asteroida uderzy w zamieszkany teren, wszyscy ludzie w promieniu co najmniej stu kilometrów od miejsca przewidywanego upadku muszą być bezwarunkowo ewakuowani.

Dodatkowo warto wiedzieć, co dokładnie znajduje się w strefie maksymalnego zniszczenia. Gdyby czelabińska asteroida była nieco większa i uderzyła zaledwie 40 km dalej na północ, mogłaby zniszczyć jedno z postradzieckich centrów przechowywania odpadów jądrowych i rozprzestrzenić materiały radioaktywne. Na szczęście taki scenariusz jest mało prawdopodobny, a nasze bezpieczeństwo wzrasta z każdym rokiem, wraz z każdą nowo wykrytą asteroidą.

Pamiętajmy: dinozaury nie miały systemu obrony planetarnej!

© ANNA ŁOSIAK

Zbuntowane gwiazdy

DAVID H. LEVY, ASTRONOM:

Dwadzieścia pięć lat temu patrzyliśmy przez wszystko, co mieliśmy. Przez tydzień cała planeta obserwowała, jak nasza kometa bombarduje Jowisza.

DAVID H. LEVY: Natura powiedziała: „Dobra, patrzcie wszyscy, dam wam dzisiaj lekcję. Zobaczycie, co się dzieje, gdy kometa uderza w planetę. Nie w was, w Jowisza. Wy musicie tylko patrzeć". I patrzyliśmy, przez wszystko co mieliśmy, od teleskopu Hubble'a po malutkie teleskopy w ogródkach. Przez tydzień cała planeta, cywilizacja i gatunek patrzyliśmy w niebo.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Dlaczego to było takie ważne?

Z trzech powodów. Po pierwsze, coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej w historii naszej cywilizacji i nie mieliśmy pojęcia, jakie będą rezultaty takiej kolizji. Musieliśmy to zobaczyć. Po drugie, uderzenia komet mogły dać początek życiu na naszej planecie. To one przyniosły na Ziemię klocki, z których złożone są wszystkie żywe istoty: węgiel, azot, tlen i wodór. Zderzenie komety Shoemaker-Levy 9 było szansą na obserwację tego, jak elementy, z których powstaje życie, trafiają na planety. A po trzecie, te same komety, które przynoszą życie, mogą je zgasić. Musieliśmy wiedzieć, co się stanie, przestudiować to, jak zderzenia wpłyną na Jowisza. A wpłynęły o wiele bardziej, niż sądziłem. Blizny w jego atmosferze były widoczne przez wiele lat. Jeszcze dziś można zaobserwować tam ich ślady.

W swojej karierze „złowił" Pan wiele komet. Jak było z tą konkretną?

Razem z Gene'em i Carol Shoemakerami szukaliśmy komet i asteroid przy pomocy 18-calowego teleskopu w ob-

YOUTUBE

NIE MUSIMY WYSILAĆ WYOBRAŹNI, żeby zrozumieć, jak skończyłoby się dla nas uderzenie kosmicznego pocisku w Ziemię. Widzieliśmy już taki kataklizm. Na żywo. Na szczęście dwie planety dalej. 25 lat temu kometa Shoemaker-Levy 9 uderzyła w Jowisza. Po wielokroć. Grawitacja ogromnej planety rozerwała ją wcześniej, podczas któregoś z poprzednich orbitalnych bliskich spotkań. W lipcu 1994 r. 21 brył lodu kolejno przez tydzień wpadało w atmosferę Jowisza z prędkością 216 tys. km na godzinę i zostawiło widoczne na zdjęciu obok bordowe ślady w atmosferze. Największa z brył miała 2 km średnicy. Jednym z odkrywców tej komety był kanadyjski astronom pasjonat i popularyzator nauki **David H. Levy** (na zdjęciu).

NASA

serwatorium Palomar. W 1993 r. zaczęliśmy obserwacje w noc 22 marca. I od razu zaczęło się od wpadki. Ktoś uszkodził klisze, na których mieliśmy pracować. Niemal wszystkie były prześwietlone, tylko kilka nadawało się do wykorzystania. Kolejnej nocy mieliśmy dobre klisze, ale niebo pokrywały chmury. Zima tego roku była wyjątkowo deszczowa. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, wypatrzyłem kilka przejaśnień i powiedziałem: „W sumie możemy spróbować". Oni zaśmiali się głośno. Gene powiedział: „David, nie mamy budżetu, każdy kawałek kliszy to 4 dolary". Zaproponowałem, żeby wykorzystać uszkodzone klisze z poprzedniej nocy. Zgodzili się. I już na pierwszej z nich wypatrzyliśmy tę kometę. Carol była w szoku: „Nie wiem, co tu mam, ale wygląda jak rozgnieciona kometa". Zamiast jednego jądra i pyłowego ogona mieliśmy długą linię obiektów i strumień pyłu. To była najbardziej niezwykła rzecz, jaką widzieliśmy.

Od razu wiedzieliście, że nastąpi zderzenie?

Nie, choć Gene od razu zwrócił uwagę na to, że kometa jest bardzo blisko Jowisza i to on może być odpowiedzialny za rozerwanie jej jądra. Pamiętam, że 22 maja dostałem mail z obliczeniami, z których wynikało, że w 1994 r. kometa znajdzie się bardzo blisko planety. Dokładnie o 0,3 średnicy Jowisza od jego centralnego punktu. Czyli – zderzy się z planetą.

Cieszyliście się?

Na początku Carol zmartwiła się, że stracimy naszą kometę! Ale wiedzieliśmy, że to będzie coś wyjątkowego. Mieliśmy 14 miesięcy na przygotowania. Najbardziej bałem się tego, że nie zobaczymy nic, a kometa po prostu zniknie w atmosferze.

Obawy, jak się okazało, nieuzasadnione.

Kometa rozpadła się w najwyższych partiach atmosfery Jowisza i zobaczyliśmy wszystko. Uderzenie fragmentu G było jaśniejsze niż sam Jowisz, a jego pozostałości stworzyły w atmosferze planety gruby pas, który pozostawał tam wiele miesięcy. Nie chcielibyśmy, żeby coś takiego stało się na Ziemi.

Dostaliśmy lekcję poglądową tego, jak wyglądały ostatnie chwile dinozaurów?

Scenarzysta filmu „Deep Impact" spędził kiedyś całą noc w obserwatorium z naszą trójką i rozmawialiśmy dokładnie o tym. Tak, uderzenia komet dają planetom życie, ale najpierw wymazują życie, które mogło tam wcześniej być. Gdyby nasza kometa zderzyła się z Ziemią, powiedzmy, u wybrzeży Kalifornii, powstałoby tsunami przynajmniej kilometrowej wysokości, które zrównałoby z ziemią Los Angeles, San Francisco, Portland, Seattle i Vancouver – i ruszyło dalej w głąb lądu. Gdyby uderzenie nastąpiło na lądzie, np. w zachodniej Kanadzie, do atmosfery zostałby wyrzucony ogromny pióropusz pyłu, który szybko pokryłby całą planetę. To byłby ELE – *Extinction Level Event.* Wydarzenie na skalę zagłady.

Martwi Pana taka możliwość?

Prawdopodobieństwo, że obecny prezydent USA na złość komuś zacznie wojnę atomową, jest o wiele wyższe niż to, że trafi nas kometa czy asteroida. Z jednym zastrzeżeniem. Możliwe, że nasz prezydent nie zacznie wojny atomowej, ale obiecuję, że w przyszłości, może za kilka tysięcy lat, może za kilka milionów, kometa czy asteroida trafi w Ziemię. To musi się wydarzyć. Myślę, że mamy 50-procentową szansę na trafienie co najmniej kilometrowym obiektem w ciągu najbliższych stu tysięcy lat.

Szuka Pan ciągle komet?

Akurat dziś nie, bo są chmury. Ale tak, uwielbiam to robić i sprawia mi to ogromną frajdę, choć pewnie żadnej już nie znajdę. Zawodowo zajmowałem się długo literaturą angielską i zawsze zastanawiałem się, czy autorzy, których studiowałem – Tennyson czy Szekspir – też patrzyli w niebo. Okazuje się, że tak. Tennyson miał teleskop i uwielbiał przez niego patrzeć. Szekspir żył, kiedy pojawiła się wielka supernowa w 1572 r. Miał osiem lat i jest oczywiste, że ojciec mu ją pokazywał. Żył też, kiedy pojawiła się supernowa w 1604 r. Jedyne dwie widoczne gołym okiem supernowe ostatniego tysiąca lat, a Szekspir widział obie.

Oto wersy otwierające pierwszą część jego „Henryka VI":

Niechaj niebiosa wdzieją kir żałoby!
Komety, ludów wróżące upadek,
Roztoczcie w górze warkocz kryształowy,
Chłoszczcie nim gniewno zbuntowane gwiazdy.

(przeł. Leon Ulrich)

Te wersy powinny być dla nas ważnym ostrzeżeniem.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

To zaszczyt mieć na niego monopol!

PIOTR MUCHARSKI,
REDAKTOR NACZELNY „TP”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

NIE PRZEGAP! Kup wydanie jubileuszowe – dostępne w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/historia**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 32/2019

Śląsk powstańczy 1919–1921

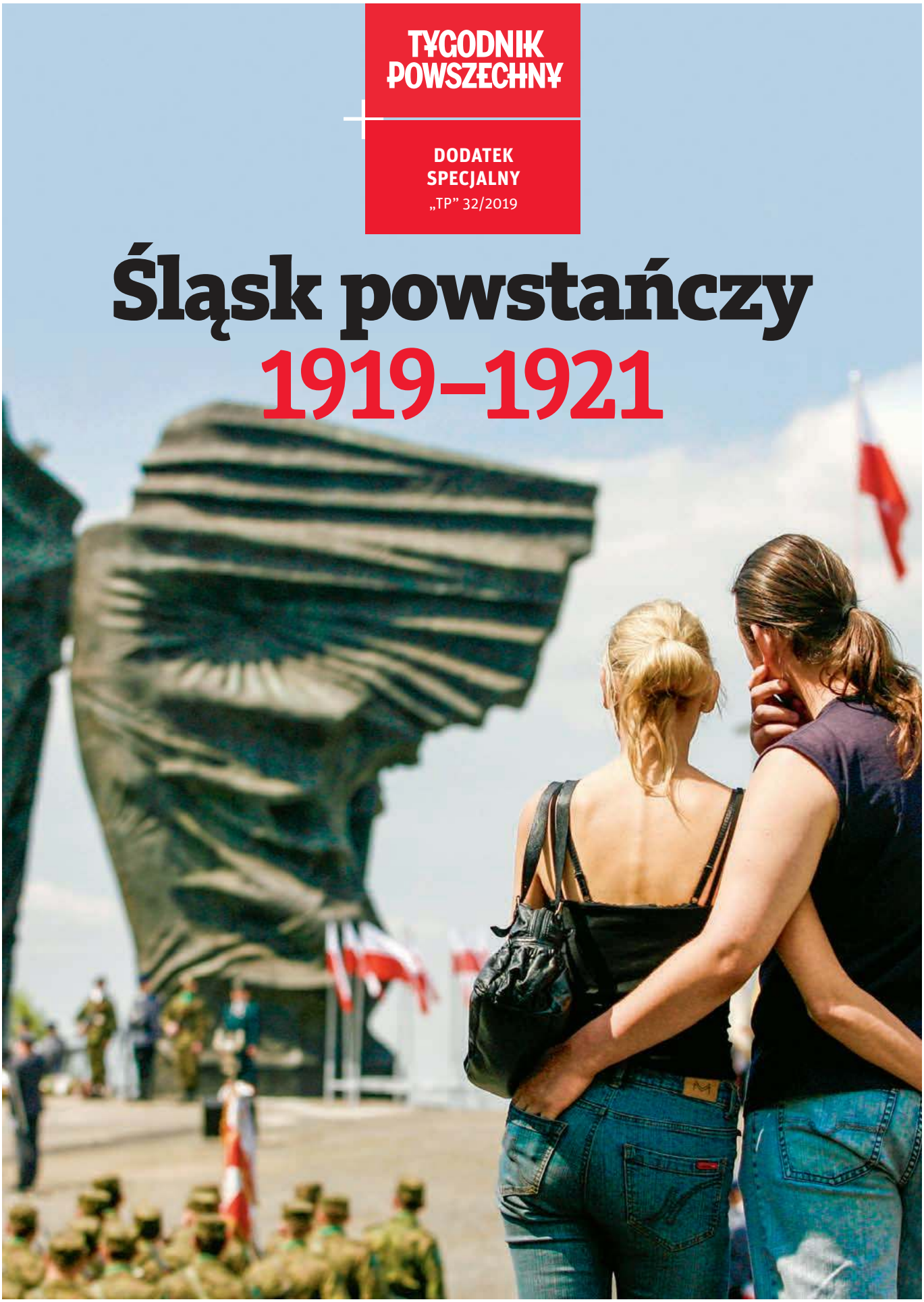

MUZEUM POWSTAŃ ŚLĄSKICH

Polski oddział – wyjątkowo dobrze uzbrojony w niemieckie karabiny mauser – podczas pierwszego powstania śląskiego. Sierpień 1919 r.

Polsko-niemiecka wojna o Śląsk

PROF. RYSZARD KACZMAREK:

Bez wsparcia Polski nie byłoby powstań śląskich – może poza pierwszym, które wybuchło sto lat temu. Tymczasem to one przesądziły, że spora część regionu znalazła się w granicach Rzeczypospolitej.

ZBIGNIEW ROKITA: Czy na Górnym Śląsku można było na przełomie lat 1918 i 1919 prowadzić – jak w Wielkopolsce – politykę faktów dokonanych i otrzymać dla Polski cały ten region?

RYSZARD KACZMAREK: Tak sądzili twórcy konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Chcieli powtórzyć scenariusz wielkopolski: robimy powstanie w porozumieniu z Poznaniem i Warszawą, a zaraz potem na Górny Śląsk wkracza polskie wojsko pod pretekstem zapewnienia bezpieczeństwa tutejszym Polakom. Scenariusz ten był realny – w sensie politycznym – aż do zakończenia konferencji pokojowej w Paryżu w czerwcu 1919 r. Mocarstwa zachodnie, na czele z Francją i Anglią, zaakceptowały to, co stało się w Wielkopolsce jeszcze przed podpisaniem traktatu wersalskiego. Gdyby nie było tam powstania, to pozostaje pytaniem otwartym, czy alianci przyznaliby cały ten region Polsce? Uważano, że tak samo mogło być z Górnym Śląskiem – gdyby i tu wybuchło wcześniej zwycięskie powstanie. Nie miało znaczenia, że Rzeczpospolita utraciła Wielkopolskę w wyniku zaborów pod koniec XVIII w., a Górny Śląsk odpadł jeszcze w średniowieczu.

Nie miałoby znaczenia, że waga Górnego Śląska np. dla gospodarki była większa?

Tak uważam. Jednak polityka to tylko jeden element układanki, gdyż na poziomie wojskowym był to scenariusz nierealny. Sytuacja militarna w obu regionach była nieporównywalna. W Wielkopolsce w grudniu 1918 r. oddziały niemieckie były słabe, bez woli walki. Naprze-

ciw nich stały powstańcze wojska polskie, liczące w szczytowym momencie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na Górnym Śląsku było odwrotnie: w pierwszych miesiącach 1919 r. stacjonowały tam już regularne oddziały niemieckie, a POW Górnego Śląska nie miała porównywalnych sił. Wiele do życzenia pozostawiało uzbrojenie: jeden karabin przypadał na czterech-pięciu powstańców. Bez zaangażowania regularnego Wojska Polskiego sukces militarny był niemożliwy.

Większość sił tworzonego Wojska Polskiego była już zaangażowana: w wojnę z Ukraińcami o Galicję, na rysującym się froncie bolszewickim, na Śląsku Cieszyńskim…

Myślano głównie o Błękitnej Armii Hallera, która miała przybyć z Francji. Ale ona dotarła dopiero w kwietniu 1919 r. i nie była gotowa od razu do walki o Górny Śląsk.

Czy używanie zbiorczej nazwy „powstania śląskie" na określenie trzech wydarzeń – z sierpnia 1919, sierpnia 1920 i maja-lipca 1921 r. – nie zamazuje nam obrazu? Pod względem intensywności i długości trwania różnią się one zasadniczo: dwa pierwsze były niewielkimi zrywami, trzecie miało znamiona regularnej wojny.

Każde powstanie śląskie było odmienne pod względem militarnym i politycznym. Nie były też ciągiem zdarzeń. Ani pierwsze nie determinowało wybuchu drugiego i trzeciego, ani drugie trzeciego. To nie tak, że nie osiągano jakiegoś celu, więc wybuchało kolejne powstanie.

Nie były to trzy akty tej samej sztuki?

Mówi się, że przyczyną wybuchu pierwszego, 16 sierpnia 1919 r., była chęć przeciwdziałania represjom niemieckim. Z dokumentów wynika jednak, że było ono raczej próbą realizacji scenariusza wielkopolskiego, choć cel ten był już nierealny. W sierpniu 1919 r. sytuacja jest inna niż w grudniu 1918 r.: traktat wersalski jest już podpisany, Polska i Niemcy go zaakceptowały, o przynależności Górnego Śląska rozstrzygnąć ma plebiscyt, zaplanowany na marzec 1921 r. Z punktu widzenia Warszawy wybuch powstania jest kłopotliwy.

Nie jest ono uzgodnione z Warszawą?

Nie. Jego dowódcy nie podporządkowują się postanowieniom traktatu wersalskiego. Gdy wybucha, Alfons Zgrzebniok i inni przywódcy dopiero szukają poparcia Warszawy czy bezpośrednio u generała Hallera. Bezskutecznie.

Czasem przywołuje się słowa przypisywane Piłsudskiemu, który miał powiedzieć w sierpniu 1919 r., gdy emisariusze ze Śląska przybyli prosić go o pomoc: „Śląsk to stara niemiecka kolonia. Mam w dupie ten cały Śląsk". Czy one padły?

Nie znalazłem potwierdzenia źródłowego, oprócz nie do końca wiarygodnych notatek prasowych. Ale nawet gdyby tak powiedział, politycznie nic to nie znaczyło, bo liczą się podejmowane decyzje. A rząd polski był wówczas w klinczu. Wojsko Polskie teoretycznie mogło wkroczyć na Śląsk, czyli wówczas nadal do Niemiec, i pomóc powstaniu, które wówczas nie skończyłoby się po ośmiu dniach. Ale to oznaczałoby konflikt Polski z aliantami, co byłoby szkodliwe dla budowania państwowości polskiej – politycznie i finansowo, bo zrujnowany kraj liczył też na pomoc materialną. Starano się więc uzyskać zgodę mocarstw na wprowadzenie na Śląsk choćby niewielkich oddziałów, ale ci odmawiali: do czasu wkroczenia tu wojsk alianckich – w roli „sił pokojowych", co nastąpiło na początku 1920 r. – Górny Śląsk był suwerennym terytorium Niemiec. Pierwsze powstanie śląskie było więc – formalnie rzecz biorąc z punktu widzenia Berlina – irredentą, stawiającą sobie za cel oderwanie kawałka jednego państwa i przyłączenia do drugiego.

Czy pierwsze powstanie wpływa w jakikolwiek sposób na dalszy bieg wypadków? Czy gdyby nie wybuchło, wszystko potoczyłoby się dalej tak samo?

Alianci by wkroczyli, plebiscyt by się odbył. Nie sądzę, aby powstanie z 1919 r. coś tu zmieniło. Istotny był może fakt, iż Niemcy zorientowali się, że ich głównym przeciwnikiem na Górnym Śląsku nie są „spartakusowcy", czyli komuniści, że napięcia nie mają wyłącznie podłoża ekonomicznego, że na ulice wychodzą nie tylko niezadowoleni robotnicy. Docenili czynnik narodowy. Poza tym po pierwszym powstaniu, poniesionych ofiarach i mordach politycznych, pogłębia się przepaść między obydwiema stronami. Obie strony, a przynajmniej ludzie o skrystalizowanej świadomości narodowej głoszą, że nie można już znaleźć rozwiązania kompromisowego. Gdy dziś rozmawiam z historykami niemieckimi o tym, na jakie ustępstwa był gotów Berlin, odpowiadają, że na żadne. Berlin nie był gotowy na oddanie nawet kawałka Górnego Śląska. No, może w 1921 r. po plebiscycie zgodzono by się oddać powiaty pszczyński i rybnicki. Zresztą Warszawa też wychodziła z założenia, że Polsce należy się cały region oceniany jako etnicznie polski.

Potem, w międzywojniu, sanacja ustami wojewody Michała Grażyńskiego starała się wpisać powstania śląskie w tradycje zrywów niepodległościowych. Czy powstania śląskie różnią się od XIX-wiecznych polskich powstań?

Tak – i dlatego w tytule mojej ostatniej książki piszę o wojnie polsko-niemieckiej. Po pierwsze, XIX-wieczni powstańcy nie mogli liczyć na zewnętrzną pomoc państwa polskiego, bo takie nie istniało. Natomiast powstania śląskie mogły udać się tylko pod warunkiem otrzymania takiej pomocy. Po drugie, w XIX w. powstania wybuchały na ziemiach utraconych w wyniku zaborów, ich celem było odtworzenie Rzeczypospolitej w granicach sprzed 1772 r. Górny Śląsk się w tej definicji nie mieścił. No i była to już inna rzeczywistość niż w XIX w.: endecja myślała już o Polsce zbudowanej na zasadach etnicznych, chociaż Piłsudski walczył o Rzeczpospolitą Trojga Narodów, z Litwinami i Ukraińcami.

Obowiązująca narracja o powstaniach śląskich sprowadza się głównie do walki narodowej o powrót do Polski. Z Pana książki wynika, że motywacji był cały gąszcz: językowe, religijne, także klasowe.

Powstania śląskie są wydarzeniami skomplikowanymi. Mówię o nieznanej wojnie polsko-niemieckiej, bo czynnik państwowo-narodowy jest tu najważniejszy, ale nie oznacza to, że nie ma szeregu innych uwarunkowań. Było wiele czynników, które wpływały na konflikt polsko-niemiecki trwający na Górnym Śląsku od przełomu wieków XIX i XX.

Czy dobrym kluczem do analizy powstań jest klucz klasowy? ↦

↦ Profesor Edward Długajczyk nazywa je „buntem oburzonych”.

Niewątpliwie to ważny aspekt. Polscy działacze narodowi podnosili fakt, że ludność polskojęzyczna jest plebejska, a elity składają się z Niemców. Wcześniej, przed rokiem 1914, wszyscy w Niemczech odczuwali gospodarczą *prosperity* i pozytywne zmiany socjalne, jakie zaszły między połową XIX a początkiem XX wieku – nawet jeśli wschodnie regiony Rzeszy w mniejszym stopniu niż reszta kraju. Natomiast po 1918 r. sytuacja była inna i czynnik klasowy już działał. Niemcy borykały się z kryzysem gospodarczym i bezrobociem, załamanie marki prowadziło do utraty oszczędności. Gdy na to nałożyło się hasła narodowe, wszystko zadziałało. Od pierwszego powstania śląskiego było to główną motywacją do głosowania za Polską w plebiscycie. Traktat wersalski przyniósł kolejne. Pytano: „Dlaczego Górnoślązacy, dotąd wykorzystywani przez Niemców, mają płacić za nich reparacje?”.

W odniesieniu do powstańców śląskich mówi się też o „spóźnionych” na I wojnę światową: młodych ludziach, którzy chcieli przeżyć męską przygodę.

Z badań dr. Pawła Parysa wynika, że najwięcej powstańców to ludzie, którzy przeszli szkolenie wojskowe w armii niemieckiej, ale byli za młodzi, gdy kończyła się wojna, i nie trafili na front. Oni postrzegali wojnę nie jako piekło, lecz tak, jak rysowała ją propaganda niemiecka: jako czyn patriotyczny. Legendą jest zresztą, że ci, którzy w latach 1914-18 byli w okopach, po 1918 r. nie chcieli dalej walczyć. Oni też walczyli o Górny Śląsk.

Rok później, w sierpniu 1920 r., wybucha drugie powstanie: jedyne w pełni wygrane, jeśli mierzyć efekty do założonych celów.

To najmniej przebadane powstanie, bo ono w ogóle z trudem mieści się w obiegowym wyobrażeniu powstania. Bardziej przypomina demonstrację, nie dochodzi do dużych walk, pochłania najmniej ofiar – po stronie polskiej około stu zabitych. Wschodnią część Górnego Śląska powstańcy zajmują, bo po drugiej stronie nie ma już wojska niemieckiego, które mogłoby ich powstrzymać, a oddziały alianckie, które mają pilnować porządku, wycofują się do koszar. Pamiętajmy, że na Górnym Śląsku od stycznia 1920 r. nie stacjonują regularne wojska niemieckie. Jest tylko składająca się głównie z Niemców policja (Sicherheitspolizei, Sipo). I jest też Kampforganisation Oberschlesien (Organizacja Bojowa Górnego Śląska), która jednak ma inny charakter niż POW: konspiracja niemiecka jest nastawiona na dywersję i nie jest w stanie wystawić równorzędnych liczbowo oddziałów w polu.

MUZEUM POWSTAŃ ŚLĄSKICH

Członkowie niemieckiego Selbstschutzu (Samoobrony) w mundurach policji Sipo, 1921 r.

Celem tego powstania jest doprowadzenie do rozwiązania Sipo i wymuszenie obietnicy utworzenia neutralnej plebiscytowej policji polsko-niemieckiej.

I gdy ten cel udaje się osiągnąć, po pięciu dniach powstanie się kończy. Dzięki niemu stosunki na obszarze plebiscytowym stają się równiejsze. Policja niemiecka nie może już zakazywać polskich zebrań, a pozwalać na niemieckie.

Czy w tym powstaniu Warszawa odgrywa większą rolę niż w pierwszym?

Tak, od 1920 r. za działania zbrojne na Górnym Śląsku odpowiada *de facto* Wojsko Polskie. Mamy wiele dokumentów mówiących o przerzucaniu broni, oficerów i ochotników, o prowadzonej działalności wywiadowczej itd.

Dlaczego Polakom udało się tu zbudować struktury wojskowe i zmobilizować miejscowych do walki, a Niemcy nie byli w stanie tego zrobić? Wszak w marcu 1921 r. plebiscyt pokaże, że większość Górnoślązaków popiera przynależność regionu do Niemiec.

Niemcy byli nastawieni nie na walkę, lecz na plebiscyt. Myśleli, że jego rezultat rozstrzygnie o losie regionu, gdyż do tego zobowiązały się mocarstwa w traktacie pokojowym. Po co w takim razie budować tak dużą konspirację wojskową jak Polacy, skoro zdecyduje głosowanie? Zamiast tego ważna jest dla nich dywersja, komanda mordujące polskich przeciwników politycznych i ważny jest wywiad, by znać nastroje. Do obu tych celów nie potrzeba dużych oddziałów zbrojnych. Dopiero podczas trzeciego powstania Niemcy musieli organizować się do prawdziwej walki w polu, zupełnie od nowa.

Wcześniej dominował po ich stronie naiwny legalizm?

Myśleli racjonalnie. Tylko raz odeszli od takiej strategii – w przeddzień drugiego powstania. Sądzili, że marsz Tuchaczewskiego na Warszawę sprawi, iż uda się uniknąć plebiscytu, tak jak uniknięto go na Śląsku Cieszyńskim [mocarstwa przyznały Czechosłowacji większość spornego Zaolzia bez plebiscytu, dzięki lobbingowi polityków czeskich w Paryżu; Czesi bali się, że może go wygrać strona polska – red.]. Pomysł Niemców był prosty: po zajęciu Warszawy bolszewicy zbliżą się do granicy z Górnym Śląskiem, mogą nań wkroczyć, więc alianci będą potrzebować Niemiec. Użyli tego argumentu na przełomie lipca i sierpnia w korespondencji

z aliantami. Byli triumfalistycznie nastawieni: uważali, że uda się zachować Górny Śląsk bez plebiscytu. Niemieckie rozruchy, które poprzedziły drugie powstanie, były pokłosiem tych nastrojów.

Symbolem rozruchów stał się doktor Andrzej Mielęcki, który pomagał rannym, także Niemcom, a następnie został przez niemiecką bojówkę zakatowany. Kiedy Niemcy zaczynają przygotowywać się do zbrojnego starcia na pełną skalę, do którego dojdzie wiosną 1921 r.?

Na przełomie jesieni i zimy 1920 r.

Czyli na kilka miesięcy przed plebiscytem. Przestali w niego wierzyć?

Raczej zaczynają doceniać wagę, jaką w plebiscycie może odegrać polska konspiracja wojskowa, zwana już wtedy Dowództwem Obrony Plebiscytu. Tworzy się równolegle niemiecka organizacja wojskowa, ale jest słabsza od polskiej. Większe oddziały niemieckie powstaną dopiero w maju 1921 r., podczas trzeciego powstania.

Wciąż toczą się spory, jakie były proporcje miejscowych i napływowych podczas trzeciego powstania w wojskach obu stron. Brak tych danych to jeden z zarzutów wobec Pańskiej książki. Na ogół polscy komentatorzy podają proporcje: w oddziałach polskich 90 proc. miejscowych i 10 proc. napływowych, a w niemieckich odwrotnie.

Nie dysponuję takimi danymi, które mogłyby zostać uznane za wiarygodne – ani w odniesieniu do oddziałów polskich, ani do niemieckich – nie jestem więc w stanie nawet oszacować tych stosunków.

A jak wyglądało uzbrojenie?

Nie było już polskich powstańców bez broni. Pojawiają się pociągi pancerne, artyleria i konnica, choć dominuje broń strzelecka. Na Górny Śląsk przekazują ją władze obu krajów. Dla 60 tys. powstańców przerzucono z Polski 50 tys. karabinów. To inna sytuacja niż rok czy dwa lata wcześniej, gdy bronią trzeba się było dzielić. Z Polski przybywają też dowódcy.

Nie mogli dowodzić miejscowi?

Gdyby dowodzili podoficerowie górnośląscy – bo oficerów po prostu brakowało – wtedy trzecie powstanie pewnie wyglądałoby tak jak pierwsze.

Charakter działań też jest inny?

O ile w pierwszych dwóch powstaniach opanowywano głównie miasta, a do wymiany ognia dochodziło sporadycznie, o tyle trzecie powstanie – szczególnie po 21 maja 1921 r., gdy Niemcy kontratakują – to już klasyczna wojna. Mamy regularną linię frontu, walki toczą się nie w okręgu przemysłowym, lecz w części rolniczej, gdzie – aby przełamać front – trzeba mieć przewagę ognia. Trzecie powstanie trwa też znacznie dłużej, od maja do początku lipca.

Co się dzieje, gdy żołnierze jednej strony biorą jeńca? Zabijają, biją na kwaśne jabłko i puszczają bez galotów?

Po obu stronach zdarzały się przypadki mordów, ale na ogół pojmanych wysyłano do obozów jenieckich – jednych głównie do Cottbus, drugich do Bierunia.

A mordy na cywilach?

Aż do jesieni 1921 r. część niemieckich żołnierzy z tzw. Freikorpsów wkraczała na były obszar plebiscytowy i dokonywała mordów, ofiary można liczyć w setkach. To był szerszy problem: po I wojnie światowej doszło do brutalizacji życia społecznego, czemu sprzyjały słabe struktury państwowe i nędza. Szczególnym problemem było to wśród młodych, którzy w części nie chodzili do szkoły, nie mogli znaleźć pracy, przystępowali do grup bandyckich.

Do aktów terroru dochodziło też po polskiej stronie. Czarną kartą jest atak na Hołdunów pod Pszczyną.

W trakcie drugiego powstania polskie oddziały zaatakowały tę ewangelicką niemiecką osadę i spaliły część domów. Korfanty ofiarował później pieniądze na odbudowę Hołdunowa. Alianci jak zwykle reagowali z opóźnieniem.

Dlaczego alianci często byli bierni, choć ich „siły pokojowe" miały zapewniać bezpieczeństwo na obszarze plebiscytowym?

Na Śląsku stacjonowali do plebiscytu przede wszystkim żołnierze z Francji i Włoch. Tajemnicą poliszynela było, że Francuzi wspierali Polaków, a Włosi – Niemców. Wspierali, ale nie zamierzali walczyć. Ich zadaniem było przeprowadzenie plebiscytu. Porządku miała pilnować policja: Sipo, a po drugim powstaniu policja polsko-niemiecka. Alianci głównie siedzieli w garnizonach w miastach, nie było ich w terenie. Byli w Pszczynie, nie było ich w Hołdunowie. Gdy coś się działo, trzeba było ich ściągnąć, ale francuscy i włoscy oficerowie mieli za sobą cztery lata wojny i nie kwapili się, by interweniować. To zresztą syndrom znany także ze służby żołnierzy ONZ, np. z Bośni. Proszę sobie wyobrazić, że w 1921 r. przyjeżdża na dwóch ciężarówkach oddział z francuskim oficerem i żołnierzami do górnośląskiej wsi. Rozgorączkowana ludność opowiada coś po polsku czy niemiecku, winowajców już nie ma. Trudno ustalić w ciągu kilku minut, co się stało, więc odjeżdżają. A gdy odjeżdżają, walki odżywają na nowo.

Czy można interpretować trzecie powstanie jako formę szantażu Korfantego wobec aliantów po tym, ↦

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 32/2019
REDAKCJA: Wojciech Pięciak, Zbigniew Rokita | TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn
KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
Na okładce: Pod Pomnikiem Powstańców Śląskich autorstwa Gustawa Zemły, Katowice 2017 r. | FOT. ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

WSPÓŁWYDAWCA:
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY:
KONRAD ADENAUER STIFTUNG
FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

WALTER GIRCKE / ULLSTEIN BILD / BEW

Wojciech Korfanty ze swoim ukochanym wilczurem Morycem, ok. 1921 r.

jak wynik plebiscytu okazał się dla strony polskiej niekorzystny?

To był szantaż. Wiosną 1921 r. Wojsko Polskie – za zgodą Piłsudskiego i premiera Witosa – przygotowywało się zresztą do wsparcia powstania, które miało się niebawem rozpocząć. Korfanty przekonywał, że należy powtórzyć scenariusz z 1920 r.: zademonstrować siłę, aby osiągnąć cel. 2 maja wszystko jest gotowe, ale na 24 godziny przed planowanym wybuchem okazuje się, że Warszawa jednak nie poprze powstania. To ogromnie zaskakuje Korfantego.

Warszawa nie chciała zawalczyć o region?

Podejrzewam, że wahanie wynikało z nacisków Paryża. Premier Aristide Briand po wybuchu powstania wysłał depeszę do ambasadora w Warszawie, polecając, by ten zakazał rządowi polskiemu angażować się w to, jak napisał, „kompletne szaleństwo". Ale francuscy wojskowi niekoniecznie podzielali opinię swego premiera. Tuż przed wybuchem powstania z Górnego Śląska wyjeżdża dowódca wojsk alianckich w regionie Henri Le Rond. W kolejnych tygodniach jego nieobecność sparaliżuje działania aliantów na Górnym Śląsku. Wyjeżdża, choć premier Briand kazał mu zostać.

Dlaczego wyjechał?

Podejrzewam, że podjął tę decyzję po którejś z kolei rozmowie z Korfantym. Dogadali się, że powstanie wybuchnie, a Le Rond – nie mogąc oficjalnie poprzeć Polaków – wolał wyjechać. Wobec braku poparcia Paryża i Warszawy Korfanty bierze odpowiedzialność na siebie i decyduje o rozpoczęciu walki. Gdyby się ugiął, powstanie by nie wybuchło.

I co by się stało? Dostalibyśmy skrawki regionu, co zapowiadali alianci?

Dostalibyśmy powiaty pszczyński i rybnicki, może też lubliniecki. Rola Korfantego w tym momencie była ogromna. Gdy powstanie wybuchło, Warszawa nie mogła się wycofać, powodzenie akcji zbrojnej na Górnym Śląsku zależało od wsparcia Warszawy, Wojsko Polskie uruchomiło pomoc dla powstańców. Po kilku dniach, gdy zajęto znaczne tereny, Korfanty uznał – wzorem drugiego powstania – że cele osiągnięto, i wezwał do zakończenia powstania i strajku generalnego. Zakładał, że wystarczy czekać, aż alianci uznają jego zdobycze. Na froncie padło więc: „Chopcy, powstanie skończone, idymy do dom". Nikt nie przypuszczał, że będzie trwać jeszcze półtora miesiąca, i że będą to krwawe walki. „Chopcy" zresztą częściowo szli „do dom", a dowódcy ich ściągali z powrotem.

Gdzie zapadały decyzje w sprawie Górnego Śląska, kto miał największy wpływ na bieg wypadków?

Do 1919 r. w Paryżu i Londynie. Później punkt ciężkości przeniósł się do Berlina i Warszawy. Alianci uzgodnili plebiscyt, a Polska i Niemcy musiały zdecydować, czy to zaakceptują, czy też sięgną po inne środki. Formalnie obie strony zaakceptowały plebiscyt, ale Polska nie wykluczała także akcji zbrojnej jako środka politycznego nacisku. Niemcy zresztą też miały świadomość, że gdy dochodzi już do walki na Górnym Śląsku, trzeba się w nią zaangażować i rząd w Berlinie, mimo oficjalnych deklaracji o neutralności, w czasie trzeciego powstania przerzucał uzbrojone oddziały na teren plebiscytowy.

Jak długo decyzje zapadają w Berlinie i Warszawie?

Do końca trzeciego powstania. Wówczas, latem 1921 r., sytuacja wraca do punktu wyjścia. Następuje dyktat mocarstw, które dzielą Górny Śląsk według swojego uznania.

Mówiliśmy wcześniej o szantażu – może więc mocarstwa dzielą, ale zaszantażowane przez Warszawę?

Rozstrzygnięcie jest oczywiście na korzyść Polski. Alianci zrozumieli, że Berlin i Warszawa nie są w stanie się porozumieć. Więc powrócono do rozmów – które mogłyby się odbyć już na konferencji pokojowej w 1919 r. – pozostawiając właściwie na boku wyniki plebiscytu. Wszystkie górnośląskie miasta głosowały za Niemcami, a jednak koniec końców część z nich w górnośląskim okręgu przemysłowym przyznano Polsce.

Wygląda na to, że do listy naszych wojen o granice z lat 1918-21 powinniśmy dopisać tę z Niemcami o Górny Śląsk. Jak długo trwała?

Niewypowiedziana, ale jak najbardziej realna wojna polsko-niemiecka o ten region toczyła się z przerwami od lata 1919 r. do 5 lipca 1921 r., kiedy zawarto rozejm kończący trzecie powstanie. Oficjalne włączenie przyznanej Polsce części Górnego Śląska nastąpiło – już na drodze pokojowej – w czerwcu-lipcu 1922 r., przebieg nowej granicy nabrał zaś mocy prawnej 15 lipca 1922 r.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA

PROF. RYSZARD KACZMAREK
(ur. 1959) jest wykładowcą Uniwersytetu Śląskiego. Badacz dziejów Górnego Śląska, autor wielu książek, m.in. „Polacy w armii kajzera", „Górny Śląsk podczas II wojny światowej", „Polacy w Wehrmachcie". Ostatnio wydał „Powstania śląskie 1919-1920-1921. Nieznana wojna polsko-niemiecka".

NAC

Tak mogli wyglądać również na Śląsku: dyrektor Opery Warszawskiej Emil Młynarski w otoczeniu swoich pracownic, tancerek baletu (od lewej): Janiny Kaniewskiej, Ireny Szymańskiej, Haliny Szmolcówny i Henryki Kamińskiej. Zdjęcie wykonano między rokiem 1925 a 1929.

Z Moniuszką w kasynie Donnersmarcka

ELŻBIETA SZCZEPAŃSKA-LANGE

Latem 1920 roku zespół Opery Warszawskiej wyruszył na front niewypowiedzianej wojny polsko-niemieckiej. Bronią artystów była opera.

Był czerwiec roku 1920. W Warszawie przestała działać większość instytucji użytku publicznego. Jednak przyczyną nie była panika przed nadciągającą ze wschodu bolszewicką armią – to miało się stać za chwilę, w sierpniu – lecz masowe strajki.

Do protestów przyłączył się także personel techniczny Teatru Wielkiego, siedziby Opery Warszawskiej. Ostatnie przedstawienia obywały się więc bez dekoracji, a 21 czerwca prasa poinformowała o wcześniejszym zakończeniu sezonu operowego.

Emil Młynarski – dyrektor Opery i jej pierwszy dyrygent – miał więc dość czasu, aby wyposażyć i pożegnać swego młodszego syna, idącego na front w szeregach 201. Ochotniczego Pułku Piechoty. W tym czasie jego starszy syn miał już za sobą półtoraroczną służbę frontową: także jako ochotnik, walczył w 1. Pułku Ułanów Krechowieckich w wojnie polsko-ukraińskiej, w tym w walkach o Lwów. Teraz został skierowany do Szkoły Podchorążych Saperów.

Młynarski, wybitny kapelmistrz, w 1901 r. był współzałożycielem Filharmonii Warszawskiej i do kwietnia 1905 r. jej pierwszym dyrektorem muzycznym. We wrześniu 1914 r. rodzina Młynarskich uciekła przed napierającym ↦

↦ frontem pruskim z Litwy Kowieńskiej do Moskwy, gdzie przebywali jako uchodźcy do listopada 1918 r. Mimo wojny Emil Młynarski co roku podróżował na pokładzie rosyjskich statków handlowych na Wyspy Brytyjskie, gdzie miał napięte sezony koncertowe w Londynie, Edynburgu i Glasgow. Ostatni pobyt w Wielkiej Brytanii zakończył wiosną 1916 r. – potem podróże morskie stały się zbyt niebezpieczne, ze względu na niemieckie okręty podwodne.

Teraz, u progu polskiej państwowości – o nieustalonych jeszcze granicach, a już zagrożonej – Młynarski miał 50 lat. Sam również udał się na front. Ale inny: na Górny Śląsk, gdzie trwał niewypowiedziany, lecz realny konflikt polsko-niemiecki.

NAC

Siedziba Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej w Katowicach i chroniący ją francuscy żołnierze, ok. 1921 r. Artyści Opery Warszawskiej występowali też dla Francuzów.

Gorące śląskie lato

Wtedy właśnie, w czerwcu 1920 r., zapadła bowiem decyzja, że Opera Warszawska uda się na sporny teren Górnego Śląska. Właśnie oczekiwano tam plebiscytu, mającego rozstrzygnąć o przynależności tego regionu. Opera miała włączyć się w ówczesną „wojnę informacyjną" – o serca i umysły Górnoślązaków.

Wedle późniejszej relacji „Kuriera Warszawskiego" (z 26 lipca 1920 r.), *tournée* Opery zorganizował Komitet Zjednoczenia Górnego Śląska z Rzeczpospolitą, w porozumieniu z górnośląskim Komitetem Plebiscytowym. Pojechało ok. 150 osób, w tym rzecz jasna Młynarski, a także orkiestra, chór, balet i grupa pierwszorzędnych solistów. Udało się także zmobilizować techników-maszynistów.

Udział w tej eskapadzie wymagał odwagi. Choć wiosną 1920 r. siły alianckie przejęły na Górnym Śląsku od niemieckiej Sipo (*Sicherheitspolizei*) funkcje policyjne, to nieustannie dochodziło do polsko-niemieckich utarczek. Ich uczestnicy posługiwali się typowym dla walk ulicznych arsenałem: laskami, kijami, sztachetami, kamieniami, butelkami.

Historyk Ryszard Kaczmarek pisze w książce „Powstania śląskie 1919-1920-1921. Nieznana wojna polsko-niemiecka", że „kontrola nad sytuacją polityczną na obszarze plebiscytowym zaczęła się wiosną 1920 wymykać aliantom z rąk". Żołnierzom alianckim zdarzało się sięgać po broń. Pod koniec maja bojówki niemieckie zdemolowały i podpaliły siedzibę Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w hotelu Lomnitz w Bytomiu. W odwecie Polacy zdemolowali redakcję jednej z niemieckich gazet.

Dwa tygodnie ciężkiej pracy

Sukcesy armii bolszewickiej, która w lipcu 1920 r. przełamywała kolejne linie obronne Wojska Polskiego i parła niepowstrzymanie na zachód, przyniosły Niemcom spokój i pewność, że – jak pisze Kaczmarek – „nie będzie w ogóle reakcji polskiej na zagarnięcie jeszcze przed plebiscytem Górnego Śląska", i że polskie aspiracje do Śląska wygasają.

Ten optymistyczny nastrój musiały im nieco zmącić dwa pierwsze przedstawienia „Halki" w Teatrze Miejskim w Bytomiu 6 i 7 lipca. „Publiczność w przepełnionym teatrze witała z uniesieniem nieśmiertelne dzieło Moniuszki" – pisał 8 lipca „Głos Śląski". „Polska ludność miejscowa, karmiona dotychczas przez Niemców kłamstwami o Polsce jako o kraju zupełnie zrujnowanym i pozbawionym wszelkiej kultury, mogła wreszcie nie tylko usłyszeć, lecz i zobaczyć, co reprezentuje ta Polska" – to już późniejsza relacja „Kuriera Warszawskiego".

Trudno dziś określić strukturę etniczną publiczności, zwłaszcza że obłożona cenzurą wojenną prasa polska pisała tylko tyle, ile było można (i siłą rzeczy to, co służyło wzmocnieniu polskich argumentów). Podobno w audytoriach bywali jednak, obok Polaków, także „rozsądni Niemcy". Za to ci „nierozsądni" gromili w swojej prasie „bandę śpiewaków-agitatorów", którzy za grube miliony spadli wrażym desantem na Górny Śląsk.

Nikt nie wątpił, że przedstawienia nie były autonomicznymi wydarzeniami muzycznymi, lecz miały do spełnienia zadanie natury politycznej. Ale jeśli podołały zadaniu, to także ze względu na wysoki poziom zespołu Opery Warszawskiej „pod przewodem samego Emila Młynarskiego" – jak pisał po latach Tadeusz Kijonka, wieloletni kierownik literacki Opery Śląskiej.

Artyści przez bite dwa tygodnie pracowali ciężko i z poświęceniem.

Po Bytomiu „Halkę" wystawili 8 lipca w kasynie Donnersmarcka (obecnie Teatr Nowy) w Zabrzu, a 9 lipca w Teatrze Miejskim w Gliwicach. 10 lipca w Bytomiu pokazali jednoaktówkę „Verbum nobile" i suitę tańców narodowych, 11 lipca to samo w Gliwicach. 13 lipca „Halkę" ujrzała publiczność Królewskiej Huty (obecnego Chorzowa) w sali hotelu Graf Reden (dziś Teatr Rozrywki). 14 lipca – ponownie „Halkę" i znów w kasynie w Zabrzu.

Warszawiacy znaleźli nawet nieco czasu na wspólne zabawy ludowe z lokalnymi stowarzyszeniami, brali udział w śpiewach kościelnych.

Zapewne ze względów bezpieczeństwa w prasie nie podawano miejsc, w których zatrzymali się soliści i szef zespołu Młynarski. Jak się miało wkrótce okazać, obawy nie były bezzasadne.

Napad w Zabrzu

Nie udało mi się dociec, z czyjej inicjatywy urządzono specjalny poranek dla żołnierzy francuskich z „sił pokojowych" Ententy. Zorganizowano go 14 lipca, w dzień ich święta narodowego. Obstawiałabym Młynarskiego, który już przedtem w Warszawie dawał koncerty i widowiska na cześć Francji i Francuzów. W każdym razie w czasie przedstawienia

nieustalony z nazwiska mówca wygłosił „odpowiednie przemówienie", a orkiestra odegrała „Marsyliankę".

Jeśli Polacy cenili sobie francuskiego sojusznika, to dla Niemców Francuzi na Górnym Śląsku byli nadal wrogiem, na dodatek posądzanym teraz o stronniczość.

Po tamtym poranku 14 lipca – gdy część chóru i orkiestry udała się wieczorem na stację kolei w Zabrzu, skąd miała jechać do Gliwic (chwilowej bazy mieszkaniowej) – koło stacji została napadnięta przez grupę niemieckich młokosów z kijami. Z relacji wynika, że napastnicy mieli bić przede wszystkim kobiety, chórzystki (może naraziły się sojuszniczym flirtem z Francuzami?).

„Głos Śląski" z 17 lipca podał, że dotkliwie pobity został pan Sobota z Gliwic, przewodnik grupy artystów. Niemiecka Sipo nie zareagowała, natomiast w obronie śpiewaczek stanęli oficerowie włoscy z „sił pokojowych", przejeżdżający właśnie pociągiem przez Zabrze.

17 lipca „Kurier Warszawski" cytował depeszę Polskiej Agencji Telegraficznej: „Z powodu napadu niemieckiego na członków opery warszawskiej w środę wieczorem (...) zamieniło się czwartkowe przedstawienie tej opery w Gliwicach na wielką manifestację narodową. Teatr przepełniony był Polakami, Francuzami i rozsądnymi Niemcami. Zaraz po pierwszej odsłonie »Halki« urządzono chórowi i orkiestrze serdeczną owację".

Napad w Zabrzu nie zakłócił dalszych planów Opery. „Głos Śląski" z 13 lipca zapowiadał: „Najbliższe przedstawienia odbędą się jak następuje: czwartek 15 lipca, w Gliwicach, teatr miejski. Piątek 16 lipca w Katowicach, Reichshalle. Wszędzie ciesząca się wielkim powodzeniem »Halka«. W czwartek, 15 lipca, odbędzie się w teatrze miejskim w Bytomiu koncert z udziałem artystów warszawskich. Zwłaszcza zainteresowanie wzbudza fakt, że w wieczorze tym weźmie udział (...) Mieczysław Frenkiel".

Frenkiel, wybitny aktor komiczny, znany był wtedy m.in. z ról molierowskich; być może na Śląsku prezentował jakieś monologi, w czym celował.

Korfanty żegna Operę

18 lipca Opera Warszawska spektaklem „Halki" pożegnała Bytom. Autor noty recenzenckiej w „Głosie Śląskim" z 22 lipca pisał: „Przepełniony po brzegi teatr bił oklaski szczególnie p. [Marii] Mokrzyckiej (rola tytułowa). Z powodu nagłej niedyspozycji zmuszony był p. [Ignacy] Dygas zrezygnować z występu [w partii Jontka]). Zastępujący p. Dygasa p. Janowski, mniejszą dominując siłą [głosu], starał się sprostać zadaniu". Odnotowano, że „żegnającym Górny Śląsk artystom wręczono piękny wieniec na ręce dyrektora p. Młynarskiego, a balet podczas mazura obsypano kwiatami".

Artyści otrzymali także adres gratulacyjny. Malarz Stanisław Ligoń przedstawił na nim scenę z drugiego aktu „Halki", gdy Jontek śpiewa arię „I ty mu wierzysz biedna dziewczyno, / że cię nie zwodzi ty wierzysz mu". Zamiast Janusza, który Halkę uwiódł, autor narysował niemieckiego żołnierza w pruskim hełmie (tzw. pikielhaubie).

Na ozdobionych krajobrazami górnośląskimi stronicach Kazimierz Ligoń umieścił rzewny okolicznościowy wiersz: „I płynął piękny polski śpiew, / I wstrząsnął śląskim ludem, / Jak snów proroczych głośny zew, / Wolności brzmiał nam – cudem. / (...) / I choć się pieni w złości wróg, / Choć śle na Was siepaczy, / W dzień plebiscytu spłaci dług / Wdzięczności szczep ślązaczy. / A gdy nadejdzie walki czas, / Wzmocnieni Waszą wiarą, / Kraj dyamentów czarnych wraz / Z ojczyzną złączym starą!" .

Pożegnalne przedstawienie Opery Warszawskiej odbyło się 20 lipca w Katowicach, w Teatrze Miejskim (Reichshalle); ze sceny przemówił Wojciech Korfanty.

„Halka" spełniła swój obowiązek

Choć pierwsze powstanie śląskie udowodniło, że polskość polskich mieszkańców regionu nie wymaga reanimacji, plebiscyt miał przynieść wygraną stronie niemieckiej.

Jednak Opera Warszawska przypuszczalnie dobrze odegrała swoją rolę w dziele zbliżenia Ślązaków do polskiej kultury. Jej przekaz adresowany był do lokalnej inteligencji polskiej, zdominowanej przez niemiecką i wystawionej na pokusę germanizacji. Wprawdzie Śląsk pamiętał z koncertów niejednego polskiego muzyka wirtuoza, na czele z Ignacym Paderewskim, ale trudno przecenić kontakt z padającym ze sceny żywym słowem polskim w 1920 r.

Warszawski zespół operowy wkroczył „Halką" na górnośląskie pole bitwy niby rycerz na białym koniu, dostojnie, zbrojny w „piękny polski śpiew". 21 lipca w pewnym pośpiechu odjechał (pogalopował?) do Warszawy, przynaglany bieżącymi wypadkami. Stolica szykowała się do oblężenia, zbliżały się wojska Tuchaczewskiego.

1 września 1920 r., już po wygranej bitwie warszawskiej, Opera Warszawska zaczęła nowy sezon oczywiście sztandarowym dziełem Moniuszki. „»Halka« – westchnął Stanisław Niewiadomski – spełniła jeszcze raz więcej swój obowiązek. Niespożyta i niezastąpiona, a zawsze młoda, chociaż już tyle inauguracyj, obchodów narodowych i jubileuszów przebyła, że inne mniej zdrowe barki byłyby się dawno pod ich ciężarem beznadziejnie pochylić musiały, ściągnęła do teatru znowu wszystkich wiernych i oddanych sobie przyjaciół, nie wyjmując krytyków" („Rzeczpospolita" z 5 września).

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że bywanie w operze wciąż jeszcze należało do kanonu inteligenta.

W politycznym kontekście

Historię polskiego teatru muzycznego niekiedy trudno zrozumieć bez kontekstu politycznego. Opery Moniuszki nie były pierwszymi, które wpisały się w scenerię ważnych wydarzeń politycznych, ale z pewnością „Halka" była takim dziełem.

Jej prapremiera w warszawskim Teatrze Wielkim w 1858 r., możliwa dzięki „odwilży posewastopolskiej" (po wojnie krymskiej), stała się wielką manifestacją narodową. Podobnie prapremiera „Strasznego dworu" w 1865 r., wkrótce po upadku powstania styczniowego, gdzie w prologu podekscytowana publiczność mogła zobaczyć rozłożone obozem polskie wojsko. Nic dziwnego, że po trzech przedstawieniach carska cenzura zdjęła „Straszny dwór" z afisza.

Po 1918 r. powróciła tradycja rozpoczynania nowego roku Moniuszkowską „Halką". Szczególny charakter miał noworoczny wieczór 1 stycznia 1920 r.: żegnano ustępującego z urzędu premiera Ignacego Paderewskiego. Charyzmatyczny pianista, idol melomanów świata i polskiego ludu, zasiadł w loży prosceniowej. W przeciwległej loży pojawił się po II akcie Naczelnik Piłsudski.

Na podium dyrygenckim stał, jakżeby inaczej, Emil Młynarski.

© ELŻBIETA SZCZEPAŃSKA-LANGE

ULLSTEINBILD / BEW

Polscy powstańcy i cywile podczas trzeciego powstania śląskiego, 1921 r.

Projekt górnośląski

ZBIGNIEW ROKITA

Czy sto lat temu mogło powstać państwo górnośląskie, niezależne od Polski i Niemiec? Pytanie nie jest wcale abstrakcyjne.

I wojna światowa nie przetoczyła się przez Górny Śląsk. Ba, wcześniej ostatni raz wojna zagościła tu za Napoleona, a powróci dopiero w 1939 r. (wschodnia część regionu) lub w pierwszych tygodniach roku 1945 (część zachodnia).

Ale rok 1918 wywraca tutejszy porządek do góry nogami. Niemcy pogrążają się w chaosie: rozpada się cesarstwo, w kraju wybuchają rewolucje komunistyczne, cesarz Wilhelm ucieka do Holandii. W pierwszych dniach stycznia 1919 r. prezydent rejencji opolskiej (lokalny przedstawiciel rządu) ostrzega Berlin, że Górny Śląsk „stał się bezbronny".

Niemiecka gospodarka chwieje się w posadach – i według Piotra Greinera, dyrektora Archiwum Państwowego w Katowicach, to ten aspekt miał kluczowy wpływ na rozczarowanie Górnoślązaków Niemcami. W „Historii Górnego Śląska" Greiner pisze: „Wydaje się, że na załamanie się wśród Górnoślązaków »niemieckiego mitu« nie miały takiego wpływu niepowodzenia na frontach, jak załamanie się gospodarcze Rzeszy Niemieckiej u schyłku Wielkiej Wojny. Obalone zostało powszechne przekonanie o sprawności i potędze tego państwa" (mit ten zostanie zresztą potem odbudowany dwukrotnie: w połowie lat 20. i wkrótce po II wojnie światowej w Niemczech zachodnich).

Ponadto, gdy na frontach I wojny światowej milkną działa, o wiele należących do Niemiec ziem upominają się sąsiedzi. Zdziwienie Berlina budzą polskie roszczenia wobec Górnego Śląska. Spodziewano się, że Polacy będą walczyć o Wielkopolskę czy Pomorze Gdańskie, ale Górny Śląsk wydaje się na stałe zintegrowany z Niemcami. Polska wszak nie straciła go w wyniku zaborów – odpadł od niej jeszcze w czasach piastowskich.

Nie jest to jednak pełny obraz poniemieckiego Górnego Śląska (poniemieckiego, bo inny los spotka poaustriacką część regionu, m.in. Śląsk Cieszyński czy Opawski), który po 1918 r. jest obiektem walki polsko-niemieckiej. Istniały bowiem jeszcze inne drogi. Jedną z nich, niezupełnie nieprawdopodobną, była samodzielność Górnego Śląska.

Projekt intelektualistów

Najgorętsze zabiegi o powołanie państwa górnośląskiego przypadają na okres między jesienią 1918 r., gdy upada Cesarstwo Niemieckie, a latem 1919 r., gdy kończy się konferencja wersalska.

Tutejsi niepodległościowcy byli świadomi, iż proklamowanie własnego pań-

stwa bez zgody aliantów oznaczałoby jego szybką likwidację przez Niemców. Musieli więc szukać poparcia Zachodu. Na poniemieckiej części Górnego Śląska wiodącą wśród środowisk opowiadających się za niepodległością regionu była grupa skupiona wokół adwokata Ewalda Latacza oraz braci: księdza Tomasza Reginka i nauczyciela doktora Jana Reginka.

Pierwsze powojenne lata to czas „sprawdzam" dla różnych projektów państwowych. Projekt górnośląski był teoretyczną konstrukcją dość wąskiej grupy intelektualistów. W porównaniu do ukraińskiego, a nawet białoruskiego, był zupełnie nieprzygotowany. Co łączyło jednak Górnoślązaków, Ukraińców i Białorusinów, to konieczność zmieszczenia się między dwiema silniejszymi narracjami, tożsamościami i państwowościami (odpowiednio: polską i niemiecką oraz polską i rosyjską). Należało się odróżnić, aby nie tylko inteligenci, ale i lud upomniał się o samodzielny kraj. Dla Górnoślązaków nie zostało miejsca między Niemcami i Polakami, by u progu XX w. stworzyć osobny naród. Ale mieli silną odrębność.

Projekt górnośląskich niepodległościowców – zakładający neutralne państwo, na wzór Belgii lub Szwajcarii – opierał się na dwóch tezach: że Górny Śląsk jest jednym organizmem (i nie może być podzielony) oraz że Górnoślązacy to naród (odrębny od polskiego i niemieckiego). O ile pierwsza była zasadna, o tyle druga mocno naciągana.

Choć przecież nie trzeba mieć narodu, by otrzymać państwo. Od 1913 r. do dziś liczba państw w Europie mniej więcej się podwoiła. W wielu przypadkach to nie naród tworzył państwo, lecz państwo tworzyło bądź w ogromnej mierze kształtowało naród. Tak było z Białorusinami, Bośniakami czy Mołdawianami – i tak mogło stać się z Górnoślązakami.

Śląsk jak Palestyna?

– Brytyjczycy chcieli wyłączyć pewne obszary sporne spod kompetencji państwowych. Według Lloyda George'a miały to być Górny Śląsk czy roponośny okręg borysławsko-drohobycki – mówi historyk prof. Andrzej Chwalba. – Brytyjski premier chciał, aby było to terytorium mandatowe pod kuratelą Ligi Narodów. Tak samo przejmowano kolonie: nie bezpośrednio, lecz przez Ligę Narodów. Górny Śląsk miałby stać się czymś na kształt Mezopotamii czy Palestyny. Alianci oświadczyliby, że ze względu na toczące się konflikty i brak świadomości narodowej Ślązaków ci ostatni będą mogli swobodnie rozwijać się pod międzynarodowym protektoratem.

Chwalba podkreśla, że w przypadku Górnego Śląska Brytyjczycy liczyli, że to oni będą głównym rozgrywającym, i że w imieniu Ligi Narodów (a tak naprawdę sami) będą zarządzać jego zasobami. Wówczas górnośląski węgiel nie konkurowałby już z węglem brytyjskim.

Brytyjczycy nie chcieli też wzmacniać Polski i Czechosłowacji, które upominały się o Górny Śląsk. Wraz z końcem wojny rywalem dla Londynu coraz bardziej stawali się Francuzi, a coraz mniej Niemcy. Londyn chciał, by Niemcy szachowały od wschodu Francję, a nie, aby Paryż miał silnych sojuszników za plecami Niemiec (tego ostatniego chcieli Francuzi, stąd ich gotowość sojuszu z odrodzoną Polską). Londyn chciał w Europie „równowagi", na czym miał nadzieję zyskiwać tak, jak po kongresie wiedeńskim 1814-15.

Pomysł brytyjski nie był zresztą jedynym projektem niezależności Górnego Śląska od trzech państw ościennych.

– Trzeba traktować pruski i austriacki Górny Śląsk jako całość. W Komisji Międzysojuszniczej w Cieszynie przedstawiciele Wielkiej Brytanii, USA i Włoch poparli umieszczenie opcji niepodległości Śląska Cieszyńskiego [o który spierały się Polska i Czechosłowacja – red.] w planowanym plebiscycie, jednak zablokował to przedstawiciel Francji. W efekcie prezydent Wilson wysłał na Śląsk Komisję Węglową, która forsowała utworzenie „państwa węglowego" z pruskiego Górnego Śląska, Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego i Zagłębia Dąbrowskiego. Niestety, Amerykanie ostatecznie wycofali się z polityki europejskiej – mówi Dariusz Jerczyński, autor budzącej duże spory „Historii Narodu Śląskiego" (doczekała się już kilku wydań). Jedną trzecią książki poświęca on okresowi 1918-22 i projektowi stworzenia republiki górnośląskiej.

Historyk Ryszard Kaczmarek tłumaczy, że amerykański pomysł „państwa węglowego" narodził się w związku z ideą rozczłonkowania Niemiec (wróci ona na chwilę także po II wojnie światowej). – Straszono Niemców, że jeśli nie podpiszą traktatu wersalskiego, nastąpi powrót do sytuacji sprzed 1871 r., czyli ich rozdrobnienia. Zresztą to wśród Niemców pojawiła się koncepcja, by utworzyć np. oddzielne Prusy, których nie obejmą traktat wersalski i reparacje. Ale nie ma to nic wspólnego z programem separatystów, którzy chcieli Górnego Śląska na wzór późniejszego Wolnego Miasta Gdańsk: suwerenem miałaby być Rada Ligi Narodów, a miejscowi zachowaliby odrębny samorząd. Miało to funkcjonować podobnie jak kantony szwajcarskie, gdzie każdy jest w miarę niezależny.

Jerczyński wskazuje, że ideą Brytyjczyków zainteresował się jeden z najbogatszych lokalnych magnatów: książę pszczyński Jan Henryk XV von Hochberg (znany w kreacji Jana Nowickiego z filmu „Magnat"). Wielu arystokratów śląskich było wśród tych, którzy jako pierwsi postulowali niepodległość regionu. Nie chcieli płacić reparacji, nie chcieli też, by ich majątki przecięła granica. Stąd po 1918 r. wielu z nich łożyło na ruch niepodległościowy.

Bez trzeciej opcji

Do traktatu wersalskiego, podpisanego w czerwcu 1919 r., nie trafia jednak zapis o niezależnym Górnym Śląsku. Jego los ma rozstrzygnąć plebiscyt, a opcje będą dwie: za Niemcami lub Polską.

Ryszard Kaczmarek: – W Paryżu była delegacja górnośląskich separatystów, ale decyzja mocarstw z 28 czerwca 1919 r. przekreśliła szanse na niepodległość. Kto miałby wesprzeć republikę górnośląską, skoro postulaty separatystów odrzucały Paryż, Londyn, Waszyngton i Rzym, a także Berlin i Warszawa? Po konferencji powoli zanikają oni jako realna siła polityczna. Można ich dostrzec jeszcze w kampanii plebiscytowej. Ale o marginalizacji tego środowiska świadczą wybory samorządowe w dwudziestoleciu międzywojennym: i na polskim, i na niemieckim Śląsku nie udało im się uzyskać poważnego poparcia.

Andrzej Chwalba: – Niepodległość Górnego Śląska była niemożliwa, gdyż Brytyjczycy nie przekonali do tego pomysłu ani Francuzów, ani Amerykanów, ani nawet Włochów. Nikt nie miał interesu w tym, by Londyn tworzył w Europie własny system kolonialny. Gdy więc Brytyjczycy spostrzegli, że nie przejmą kontroli nad regionem, podjęli grę mającą prowadzić do plebiscytu. Nie chcieli, by cały Górny Śląsk znalazł się w polskich rękach.

Wobec rozstrzygnięć konferencji pokojowej i represji niemieckich dążenia niepodległościowe wyhamowały, choć ↦

nie ustały. Wielu działaczy dołączyło do obozu polskiego lub niemieckiego – starając się wywalczyć taką samodzielność, jaka wydawała im się możliwa (np. status niemieckiego państwa związkowego na wzór Bawarii).

Jednak rok 1919 nie oznaczał kresu zabiegów na rzecz państwa górnośląskiego. W książce „Wojciech Korfanty. Biografia polityczna" Marian Orzechowski opisuje, że jeszcze w 1921 r. – najpewniej w trakcie trzeciego powstania lub zaraz po nim – do Korfantego zwracał się członek brytyjskiej Partii Pracy, który obiecywał poparcie tego ugrupowania i premiera George'a dla idei niepodległości. Orzechowski pisze: „Można tylko przypuszczać, że dla Anglików realizacja koncepcji samodzielnego Śląska oznaczać mogła wybrnięcie z poważnych kłopotów dyplomatycznych". Po regionie hulała plotka, że Korfanty zdradzi Polskę i ogłosi się dyktatorem „freistaatu" (z niemieckiego: wolnego państwa).

Pojemne słowo: niepodległość

A jakim poparciem cieszyła się koncepcja niepodległości wśród samych Górnoślązaków? Na to pytanie trudno odpowiedzieć.

– Opcja niepodległości Górnego Śląska mogłaby liczyć na poparcie miażdżącej większości aktywnych politycznie Ślązaków – uważa Jerczyński. – Związek Górnoślązaków [czołowa od 1919 r. organizacja działająca na rzecz niepodległości regionu – red.] podawał liczbę 300 tys. swoich członków w 1920 roku, a w grudniu 1921 r. już 500 tys. członków.

Autor „Historii Narodu Śląskiego" przyznaje jednak, że organizacja nie pobierała składek członkowskich – zbierała wyłącznie deklaracje.

Ponadto w latach powojennego chaosu idea niepodległości mogła dla różnych osób oznaczać różne rzeczy. Dla jednych – rzeczywistą samodzielność. Dla innych – zmiany administracyjne, np. autonomię w ramach Niemiec, Polski czy Czechosłowacji (na Górnym Śląsku poaustriackim). Różnie rozumiane mogło być także samo słowo „niepodległość": jako suwerenność, samodzielność, niezawisłość, autonomia, wreszcie realna niepodległość.

Inna rzecz, że nastroje zmieniały się wtedy szybko: inne były tuż po klęsce Niemiec w I wojnie światowej i załamaniu gospodarczym, inne kilka lat później, gdy sytuacja gospodarcza Niemiec się ustabilizowała.

W każdym razie projekt niepodległościowy zakończył się fiaskiem.

Co by było...

Republika górnośląska, gdyby powstała na terytorium plebiscytowym, miałaby w 1921 r. liczbę mieszkańców taką jak ówczesna Litwa czy Urugwaj, około dwukrotnie wyższą niż Estonia, Albania czy Paragwaj, kilkukrotnie zaś większą niż Wolne Miasto Gdańsk. Dominowałaby w niej kultura niemiecka, zapewne postępowałaby germanizacja obywateli i oddalanie się od polskości. Niewykluczone, że po kilkunastu latach silne byłyby postulaty powrotu do Niemiec, a „freistaat" nie ustrzegłby się losu Austrii.

Profesor Uniwersytetu Śląskiego Zygmunt Woźniczka zastanawiał się kilka lat temu, na łamach magazynu „Fabryka Silesia", jak taki kraj w międzywojniu mógłby funkcjonować. Twierdził, że państwo górnośląskie byłoby silne gospodarczo i zachowałoby związki z Niemcami. Wielkim plusem dla lokalnego przemysłu byłoby to, że nie musiałby ani spłacać reparacji narzuconych pokonanym Niemcom, ani pokrywać kosztów reform Władysława Grabskiego (ważnych dla odbudowy gospodarczej Polski).

Woźniczka widział też minusy. Państwo górnośląskie byłoby odgrodzone od sąsiadów barierą celną, pozbawione polskiego zaplecza taniej żywności i siły roboczej (co podnosiłoby koszty wydobycia węgla i produkcji przemysłowej). Na rynku niemieckim też trudno byłoby mu się przebić. Kolejnymi problemami byłby brak inwestycji z Berlina i Warszawy oraz możliwy brak kadr technicznych i urzędniczych, które mogłyby częściowo wyemigrować.

Z kolei prof. Marek Czapliński pisał (również w magazynie „Fabryka Silesia"): „Można byłoby spodziewać się raczej poważnych trudności ze zbytem towarów górnośląskich, co prowadziłoby do zamykania kopalń, fabryk, hut i coraz większego bezrobocia. Robotnicy kraiku, widząc dużo lepsze warunki pracy i życia w Niemczech, prawdopodobnie wróciliby do sprawdzonej już doświadczalnie emigracji na zachód".

Gdyby powstał górnośląski „freistaat", bardzo dużo straciłaby Polska. Przyłączenie części Górnego Śląska w 1922 r. przyniosło prawie trzykrotny przyrost jej potencjału przemysłowego. Bez tego regionu mogłaby nie powieść się nie tylko reforma Grabskiego; mogłyby nie powstać magistrala węglowa i Gdynia.

A po II wojnie światowej? Wtedy państwo górnośląskie byłoby albo okupowane (przynajmniej do lat 50., jak Austria), a później stałoby się sowieckim satelitą. Albo zostałoby włączone w granice Polski. Byłby to już jednak inny Górny Śląsk niż ten, który znamy dzisiaj.

Ale to tylko fantazje.

© ZBIGNIEW ROKITA

Tryptyk górnośląski

MUSIAŁO MINĄĆ STO LAT od powstań śląskich, aby powstała pierwsza o nich książka, która spełnia dwa warunki: tłumaczy je obiektywnie i przekrojowo oraz „jest do czytania". Wraz z „Polakami w armii kajzera" oraz „Polakami w Wehrmachcie" współtworzy ona tryptyk prof. Ryszarda Kaczmarka o Górnym Śląsku. Przy czym dwie pierwsze książki różnią się zasadniczo od trzeciej. O ile tamte traktowały o wydarzeniach jednak mało znanych, tutaj jest odwrotnie: o powstaniach śląskich słyszał (chyba) każdy, a jednak są one wciąż niezrozumiane, obrosłe legendami. Tymczasem wydaje się, że trudniej jest odkłamywać historię, niż opowiadać o jej nieznanych kartach.
Kaczmarek stawia mocną tezę – odczytując powstania jako (niewypowiedzianą) wojnę polsko-niemiecką – i mierzy się przy tym z licznymi mitami. Nie ogranicza się jednak do opowieści o samych walkach Jest to panoramiczna opowieść o regionie w pierwszych latach po I wojnie światowej. Autor nie stroni też od plastycznych opisów kontekstu – górnośląskiego społeczeństwa czy tożsamości. Niewykluczone, że Kaczmarek zdążył z tą książką w ostatnim momencie. Najpewniej gdy minie setna rocznica powstań, poza samym Śląskiem zostaną one znów odłożone do lamusa.
Dobrze, że zostanie chociaż ta książka.

© ZBIGNIEW ROKITA

Ryszard Kaczmarek
POWSTANIA ŚLĄSKIE 1919--1920-1921. NIEZNANA WOJNA POLSKO-NIEMIECKA,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

PAP

Obchody 25. rocznicy trzeciego powstania śląskiego, zorganizowane przez komunistyczne władze. Od lewej siedzą: Stanisław Popławski, Michał Rola-Żymierski, Władysław Gomułka. Góra św. Anny, maj 1946 r.

Powstania i pamięć

DR SEBASTIAN ROSENBAUM, HISTORYK:

Mit powstańczy jest na Górnym Śląsku wciąż i na nowo obecny, od stu lat. Przetrwał do dziś. Podnosił się i trwał, choć w PRL był manipulowany.

ZBIGNIEW ROKITA: W 1923 r. w miejscu pomnika władców Hohenzollernów w Katowicach staje pierwszy monument poświęcony powstaniom śląskim. W jaki sposób przedstawiano powstania w pierwszych latach po podziale Górnego Śląska?

SEBASTIAN ROSENBAUM: Do 1926 r. w Polsce ścierały się różne narracje. Socjaliści patrzyli na powstania przez pryzmat klasowy, a narodowcy eksponowali walkę Polaków z Niemcami. Z kolei część środowisk katolickich postrzegała zrywy jako przejaw powojennego upadku moralności tych, którzy chwycili za broń, z obydwu stron. Dominująca opowieść w dużej mierze dyktowana była jednak przez środowisko Wojciecha Korfantego. W przyznaniu Polsce tego uprzemysłowionego regionu widziano jego wygraną. Według tej optyki powstania były zrywem ludu górnośląskiego, który walczył z uciskiem germanizacyjnym i chciał przyłączenia do Polski.

Czy już wówczas próbuje się wpisać powstania w ciąg polskich zrywów insurekcyjnych?

Nie. To dopiero wkład Michała Grażyńskiego, sanacyjnego wojewody śląskiego w latach 1926–1939. On wywodzi się z polskiej tradycji romantycznej, inaczej niż Korfanty. Gdy sanacja przejmuje na Górnym Śląsku władzę, Grażyński rzeczywiście wpisuje powstania śląskie w ciąg polskich powstań: od insurekcji kościuszkowskiej przez powstanie listopadowe i styczniowe oraz zestawia je z wielkopolskim. Tworzy narrację historiozoficzną, w której Ślązacy stają się częścią polskiego etnosu – nawet w czasach, gdy Górny Śląsk nie należał do Polski. Grażyński proponuje inny sposób manifestowania pamięci o powstaniach: ofensywna polityka pamięci, budowanie monumentalnych pomników.

Jak projektowany pomnik Stanisława Szukalskiego „Wiecznica baczności”.

Tak, choć nigdy go nie zrealizowano. Grażyński opiera swoje rządy na weteranach powstań, chce być ich reprezentantem. Sam jest byłym powstańcem. Ale Grażyński widział te zrywy inaczej niż Korfanty: ten ostatni był taktykiem, który wykorzystywał walkę do osiągnięcia konkretnych celów dyplomatycznych, a Grażyński był romantykiem, który chciał walczyć dalej, o całe „ziemie piastowskie”.

Dla sanacyjnego wojewody aspekt antyniemiecki był ważniejszy niż dla Korfantego?

Oczywiście. Obok historiozoficznego podejścia owa antyniemieckość była główną między nimi różnicą. Korfanty w latach 1920-21 był szalenie antyniemiecki, ale po przyłączeniu regionu do Polski stępił to ostrze. Uważał, że skoro w województwie śląskim jest tak duża mniejszość niemiecka, to z Niemcami trzeba kooperować. Tego w żadnym razie nie robił Grażyński, który był bardziej antyniemiecki niż główna linia sanacyjnej polityki – nawet Józef Piłsudski był w stanie porozumieć się w 1934 r. z Adolfem Hitlerem. Grażyński wciąż podkreśla, że powstania i podział regionu to nie koniec, że trzeba walczyć o więcej.

Korfanty w 1936 r. wysyła do swoich zwolenników list z okazji 15. rocznicy trzeciego powstania, w którym narrację Grażyńskiego nazywa „urojoną legendą obcą”.

Pisał to z czechosłowackiej emigracji, gdyż nie mógł wtedy przyjechać do kraju, aresztowano by go. Może wcześniej Korfanty tak by tego nie ujął. W 1936 r. ma już za sobą dekadę ostrej walki z sanacją: był więziony i dręczony w Brześciu, pozbawiono go wpływów politycznych i gospodarczych, musiał emigrować. Poza krajem pozostaje niemal do końca życia – wraca w 1939 r., aby trafić do więzienia i umrzeć w przededniu wybuchu wojny. W tym liście Korfanty pisał o obcej legendzie, gdyż dla niego powstańcy nie byli spadkobiercami mickiewiczowskiego Konrada. W jego optyce podejmowali oni trzeźwe decyzje, by połączyć się z Polską i odreagować germanizację. ↦

Władysław Gomułka pisał w 1946 r. w „Trybunie Robotniczej", że komuniści skierowali Polskę na drogę, po której kroczyli powstańcy śląscy. Powstania łatwo można było wtłoczyć w opowieść o „ziemiach odzyskanych". Czym różniły się narracje komunistyczna i sanacyjna?

Różnic było sporo. Gomułka nie odwoływał się do inteligenckiego obrazu powstań i do tradycji insurekcyjnej, lecz bardziej do zrywu ludowego.

W duchu rabacji galicyjskiej?

Sam Gomułka nie mówił o tym w ten sposób, ale jeśli gdzieś szukać analogii, to tutaj. Gomułka miał ciągoty nacjonalistyczne, już w latach 1945-46 dokonał fuzji narracji narodowej i klasowej. Tak jak to ukazano na pomniku Czynu Powstańczego Xawerego Dunikowskiego na Górze św. Anny: z jednej strony Słowianie walczą z germańskim naporem, z drugiej uciskani z uciskającymi. Ta narracja była na międzywojennym Górnym Śląsku słaba, gdyż ani Polska Partia Socjalistyczna, ani Komunistyczna Partia Polski nie miały tu silnej pozycji. Dominowała endecja i sanacja, a więc różne dyskursy, ale jednak narodowe. Natomiast Gomułka – czy szerzej: środowiska partyjne w PRL – tworzy narrację narodową w formie, a klasową w treści. Będzie obowiązywała niemal nieprzerwanie do 1989 r.

Powstania rzeczywiście były zrywem głównie robotniczym. Klucz narodowy jest dalece niewystarczający do ich opisu. Czy komuniści urealnili trochę opowieść o powstaniach?

W dużej mierze tak. Powstania to także reakcja na kryzys gospodarczy w Niemczech końca I wojny światowej. To zrywy klas niższych przeciw przemysłowcom i opresji państwa. W tym sensie interpretacja Gomułki jest nawet bliższa prawdzie. Ale nie tworzył jej, by szukać prawdy, lecz pragnąc legitymizować komunistyczne rządy. Bo w jego narracji dzieło powstańców znalazło swoje ukoronowanie w przejęciu władzy przez lud w 1945 r.

Mit powstańczy – pisał Pan w „Fabryce Silesii" – był najważniejszym mitem organizującym świadomość zbiorową w latach 1945-89 na Górnym Śląsku. Czy silniejszym niż rok 1945 z wszystkimi cierpieniami, które dotknęły szczególnie tę część Górnego Śląska, która przed 1939 r. należała do Niemiec?

Trudno porównywać te rzeczy. Mit powstańczy jest stale obecny w polityce historycznej władz: czy to sanacyjnych, czy komunistycznych. Natomiast mit tzw. Górnośląskiej Tragedii [tak określa się represje sowieckie i komunistyczne po 1945 r., w tym zsyłkę górników do kopalń Związku Sowieckiego – red.] pojawia się w przestrzeni publicznej dopiero po 1989 r. Wcześniej, w czasie Polski „ludowej", istnieje wyłącznie w pamięci komunikatywnej, prywatnej i oddolnej. W PRL oficjalna pamięć o roku 1945 ukazuje wyłącznie pozytywną stronę wkroczenia Armii Czerwonej na Górny Śląsk – wyzwolenie od hitleryzmu.

O ile jednak rok 1945 zjednoczył Ślązaków w cierpieniu, rok 1921 ich podzielił.

Mit powstańczy jest najważniejszy w tym sensie, że jest wciąż i na nowo obecny, od stu lat. Przetrwał do dziś. Po wszystkich zawieruchach podnosił się i trwał dalej, choć był stale manipulowany za PRL. Nie zapominajmy, że zawsze istniały też narracje „heretyckie", krytyczne, polemiczne. Wiele osób na Górnym Śląsku nigdy nie pogodziło się z oficjalnym mitem powstań jako szlachetnego zrywu, mającego połączyć region z Polską. To ludzie, którzy na nazwisko Korfantego reagowali alergicznie. Pamiętam z lat 80. XX w., jak starzy Górnoślązacy nazywali powstańców nierobami, chacharami, posrańcami. Nie podobało się im zaangażowanie weteranów powstań w czasach PRL w reżimowym ZBoWiD-zie, nie podobało się, że tak wielu z nich, wbrew głoszonym poglądom, emigrowało do Niemiec zachodnich.

Jeżdżę po górnośląskich domach i dalej to słyszę.

Dziś ludzi myślących w ten sposób ubywa, utożsamiają się często w jakimś stopniu z mniejszością niemiecką lub środowiskami, które preferują trzecią drogę: ani Polacy, ani Niemcy, lecz Ślązacy.

Lider Ruchu Autonomii Śląska Jerzy Gorzelik na pytanie „Wyborczej" o to, czym były powstania śląskie, odparł: „Wojną domową, która rozbiła rodziny. Skorzystała na nich tylko Polska, która dostała łakomy kąsek – świetnie uprzemysłowiony region. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powie, że od 1921 r. Śląsk się rozwinął. Mamy szkody górnicze i bezrobocie. A mogło być jak w Zagłębiu Ruhry".

Głosy krytyczne wobec powstań śląskich są faktem. Problem pamięci o powstaniach w PRL nie polegał na tym, że lansowano mit, bo mity narodowe zawsze oparte są na drastycznych symplifikacjach. Problemem było to, że głosy wątpliwości, inne perspektywy, nie mogły być wyartykułowane. I to nie tylko w takim ujęciu, jak zacytowane – czyli w politycznym odniesieniu się do jednego mitu w imię innego – ale także na poziomie neutralnych badań naukowych.

W latach 1949-55 pisano o powstaniach bardziej krytycznie, to jedyny taki moment w PRL. Dlaczego?

Nie chodziło o same powstania. Stalinizm to czas ideologicznego zwarcia szeregów i przykręcenie śruby, totalitarnego uproszczenia narracji. Zlikwidowano Związek Byłych Powstańców Śląskich, bo chciano społeczeństwo zglajchszaltować, niszcząc te obszary, które miały znamiona samodzielności i oddolności. Nie udało się usunąć aspektu narodowego w narracji powstańczej, więc stalinizm wygaszał narrację. Natomiast w 1955 r. dochodzi do odsłonięcia pomnika Dunikowskiego na Górze św. Anny, to masowa impreza z dużym rozmachem. Ale wszystko przebijają późniejsze imprezy w okręgu przemysłowym. Od lat 60. dochodzi do ogromnego wzmożenia zainteresowania tym tematem, które potrwa niemalże do końca PRL. W prasie ukazują się tysiące artykułów, wydawane są książki, kręcone filmy, weterani wizytują szkoły. Pamiętam, jak rozbierali się i pokazywali ślady po hakach, na których Niemcy wieszali ich w obozach.

Niemcy pamiętają walki o Górny Śląsk inaczej. Do lat 60. była to pamięć silna, później znacznie osłabła. Dla nich powstania śląskie to wspierany przez Francuzów pucz, złamanie traktatów. Po 1934 r. pamięć ta była wyciszana przez kilka lat.

Aż do 1933 r. kluczowe miejsce w niemieckiej polityce historycznej zajmuje pamięć o plebiscycie – w polskiej pamięci element dość nieobecny, co zrozumiałe, skoro polska strona plebiscyt przegrała. Z dobrym wynikiem, ale przegrała.

CAF / PAP

Kadr z filmu „Sól ziemi czarnej" Kazimierza Kutza z 1969 r., który opowiadał o rodzinie Basistów: jej ojciec wraz z siedmioma synami walczy w drugim powstaniu śląskim w 1920 r.

Dla ówczesnych niemieckich liberałów, socjaldemokratów z SPD czy Partii Centrum nie mają dużego znaczenia mity militarystyczne, bo ich stanowisko jest republikańskie i demokratyczne. Dla nich ważne są umowy i procedury. To pamięć rewizjonistyczna, ale nie tak bardzo konfrontacyjna jak skrajnej prawicy. Dla tej ostatniej kluczowym miejscem pamięci jest walka ochotników, freikorpsów, oraz Góra św. Anny – Sankt Annaberg – jako miejsce, do którego doszli Polacy i skąd zostali odepchnięci.

Bitwa o Górę św. Anny podczas trzeciego powstania to pierwsze zwycięstwo Niemców od 1918 r.

Ta pamięć trwała także po 1945 r., pielęgnowana przez środowiska ziomkowskie, wypędzonych. Jednak po II wojnie światowej równolegle do tego, jak wzmacniała się polska polityka pamięci o powstaniach, słabła niemiecka. W latach 60. doszło do zmian w RFN: przyjęto nową *Ostpolitik*, środowiska wypędzonych tracą swoje wpływy.

Z badań wynika, że młodzi Niemcy więcej dziś wiedzą o Afryce niż o Górnym Śląsku. Nie pamięta się już o powstaniach. Jak w Polsce na tę pamięć wpływa przełom 1989 r.?

Pamięć słabnie. To zmęczenie materiału. Publiczne rytuały zostają, na pomnikach wciąż umieszcza się wieńce, ale słabnie zainteresowanie tematem – widać to w badaniach.

Aż do tegorocznej książki Ryszarda Kaczmarka „Powstania śląskie 1919-1920-1921" nie było żadnej publikacji, która przystępnie tłumaczyłaby te wydarzenia.

Zgadza się. Po roku 1989 i ludzie, i oficjele mają dość tego tematu. Dekadami tak mocno w niego dęto, że zaczął być kojarzony z PRL, z częścią kompleksu rytualnego, który właśnie składano do grobu, obok 22 lipca czy 1 maja. Ale nigdy nie zrezygnowano definitywnie z pamięci powstańczej.

Jaka narracja dominuje po przełomie roku 1989?

Odpuszcza się szybko narrację komunistyczną, odtwarzają się podziały korfanciarsko-sanacyjne. Na placu Sejmu Śląskiego w Katowicach pojawia się pomnik Piłsudskiego, ale nie może tam długo samotnie stać, więc obok wyrasta pomnik Korfantego. Organizuje się obchody, ale nie ma to już tej intensywności co wcześniej. W latach 90. trudno było się też odwołać do weteranów, bo niemal wszyscy już nie żyli.

Jak jest dziś?

Obecnie trwa szaleństwo jubileuszy i dlatego powstania znalazły się ponownie na tapecie. Natomiast I wojny światowej niemal w ogóle nie upamiętniano.

Niepodległość to przyćmiła.

Tak, a powstania są lansowane jako powidoki do niepodległości, regionalny wkład w jej odzyskanie, trochę spóźniony. Minie rok 2021 i wrócimy do wcześniejszego stanu, powstania znowu będą jednym z dziesiątków tematów.

Ale spór o pamięć trwa. Pamiętam burzę, jaka rozpętała się po rezolucji Sejmiku Śląskiego parę lat temu. Rezolucja brzmiała: „W 95. rocznicę wybuchu III Powstania Śląskiego Sejmik Województwa Śląskiego pragnie upamiętnić burzliwy okres walk o przynależność państwową Górnego Śląska i ich uczestników. W latach 1919–1921 starły się różne wizje przyszłości regionu". Rezolucja zrównywała uczestników z obu stron i to wielu się nie podobało. Jak pamięć o powstaniach będzie się zmieniać?

Oby było wiele pamięci i oby każdy mógł pamiętać, jak chce, bez ciągania po sądach. Monopol na obraz powstań niczemu dobremu nie służy. Dużo zależy od tego, czym stanie się tożsamość górnośląska. Czy będzie raczej wpisywała się w pamięć ogólnopolską, czy też pielęgnować będzie regionalne cechy. Jeśli to drugie, będzie wiele „heretyckich" narracji. Jeśli to pierwsze, wygra Grażyński. Ale pewnie będzie i tak, i tak. Ważne, żeby mogły rozwijać się badania naukowe, aby powstawało jak najwięcej książek, opracowań, wydawnictw źródłowych.

Kiedy byliśmy w polityce pamięci o powstaniach najbliżej historycznej prawdy?

Trudno to ocenić. Może na przełomie wieków XX i XXI – nie rezygnując z tonów narodowych, dodawano więcej wrażliwości krytycznych wobec powstań. Dzięki temu było w tej pamięci więcej ambiwalencji i różnorodności, więcej intelektualnych wyznań.

Wciąż stajemy przed pokusą budowania pamięci narodowej opartej na ofiarach krwi i walce. To rzeczy wzniosłe, ale nie wiem, czy to dobrze służy budowie społeczeństwa obywatelskiego. Walka zbrojna powinna mieć miejsce w pamięci i polityce historycznej, ale uczynienie z niej centralnego mitu jest dość niepokojące. ©

Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA

DR SEBASTIAN ROSENBAUM (ur. 1974) jest historykiem, pracuje w Oddziale IPN w Katowicach. Autor wielu książek o dziejach Górnego Śląska w XX w., m.in. „Wojciech Korfanty (1873–1939)" (współautor), „Pod czerwoną gwiazdą. Aspekty sowieckiej obecności w Europie Środkowo-Wschodniej w 1945 roku" (współautor), „Władze komunistyczne wobec ludności niemieckiej w Polsce w latach 1945–1989" (redaktor tomu), „Górny Śląsk i Górnoślązacy. Wokół problemów regionu i jego mieszkańców w XIX i XX wieku" (redaktor tomu).

Z ODDECHEM

CZCICIELE ZŁOTEGO CIELCA

Pozostajemy przy dobru MOIM albo dobru mojej wąsko pojętej GRUPY. To jest prawdziwa moja religia, której nie wolno mi zabrać. Dla niej staję się religijnym krzyżowcem.

KRYSTIAN LUPA

16:07, 25.07.2019

O ludziach moralnie (etycznie) niedojrzałych, infantylnych. Rodzina → zwłaszcza rodzina dewocyjna → tradycyjnie pozostawiająca jednostkę w stanie dziecięcym → w etycznym mechanizmie KONFESJONAŁU → nie wytwarza w jednostce głębszej potrzeby prawdy, głębszej potrzeby *fair play* w relacji z drugim człowiekiem. Dzisiejszy katolicyzm promuje moralność na pokaz, wyłącznie zewnętrzną → jako jednostkową i grupową strategię społecznego SUKCESU.

Społeczność aprobuje to kłamstwo pokazowej moralności, jakby chodziło o oszukanie wroga → jakby chodziło o strategię, o fortel wobec jakiegoś OGÓLNEGO KOSMICZNEGO PRZECIWNIKA. Cała społeczność uprawia takie ukryte, uprawiane po kryjomu STOSOWANIE ETYCZNEGO KŁAMSTWA. Czy jej członkowie zdają sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy jest to okłamywanie Pana Boga? Ludzie etycznie niedojrzali i niesamodzielni mogą w każdej chwili przewalić się w SPOŁECZNOŚĆ MAFIJNĄ, zależy to tylko od statusu prawnego państwa, od postawy Kościoła i oczywiście od liderów sprawujących w tym państwie władzę.

18:14, 26.07.2019

Moralność utajona plemienia → pierwotna moralność rodzinna. Czyli utajone przechowanie przed oficjalnym wzorcem moralnym (przed oficjalnym moralistą) → czyli ponad wyższą instancją → czyli *de facto* przed Panem Bogiem pierwotnych zwierzęcych norm. Norm dzikiego egotyzmu. Widać dojrzewanie moralne w społeczności – polegając na sublimacji wartości i przyporządkowanych im norm, na przyjmowaniu i zgłębianiu wyższego, bożego kodeksu moralnego → przebiega płyciej i nie tak gruntownie, jak adept daje do zrozumienia przed nauczycielem, przed grupą i przed samym sobą.

Od dzieciństwa adept człowieczeństwa uczy się kłamstw, aby ukryć i uchronić przed innymi swoje zwierzęce, pierwotne pragnienia. To tajemnica jednostki → tajemnica, sekret przed innymi, a na końcu tego łańcuszka ukrywań → przed najwyższą instancją moralną, czyli przed Panem Bogiem. Z jednej strony przyjęcie oficjalnej normy toruje drogę aspiracji jednostki do wyższego statusu człowieczeństwa, z drugiej strony jednostka w skrytości nie aprobuje ofiary i wyrzeczeń, jakie ta droga od jednostki wymaga. Nie ma również ochoty albo nie potrafi wykonać potrzebnej pracy → pracy wewnętrznej i zewnętrznej METAMORFOZY.

09:15, 27.07.2019

Ta podwójna moralność → rdzenna prymitywna i powierzchowna oficjalna, rzekomo osiągnięta moralność na pokaz może dotyczyć całej społeczności. W ten sposób spojona bywa rodzina (przynajmniej jej dorośli osobnicy, a ukrywane jest to przed dziećmi), grupy przyjacielskie, klany, partie, plemiona. Można właściwie powiedzieć (przypuszczać), że ta podwójna moralność stanowi istotę związku → mafijny sekret. Trzyma członków takiej społeczności do kupy to osobliwe wtajemniczenie → mafijne oszukiwanie Pana Boga... Zapisuję tu tę myślową podstawę, żeby pomyśleć i powiedzieć coś innego.

To grupowe etyczne oszustwo, mafijne spoiwo emocjonalne, wspólna nie do końca wyznana tajemnica → wspólny grzech i wspólne zafiksowanie tego grzechu jako tajemnej religii i tajemnej praktyki → daje tej grupie energię istnienia. To w gruncie rzeczy twór religijny, a właściwie podreligijny.

TO NAS ZE SOBĄ TRZYMA. Jest z tym związana swoista przyjemność, radość wspólnego grzechu → widoczna na przykład wyraźnie w grupowych młodzieńczych herezjach seksualnych wyrzucających w kąt i na śmietnik boże przykazania...

ADAM GOLEC / FORUM

Krystian Lupa, Kraków, 2015 r.

I ta pogarda, i to sekretne wyśmiewanie wszystkich tych, którzy tego nie robią, wyśmiewanie niewtajemniczonych! A przecież nie mają odwagi, żeby tę oficjalną bożą moralność po prostu kontestować, po prostu odrzucić. Nie robią tego nawet we własnym wewnętrznym monologu → o ile w tym obszarze w ogóle prowadzą jakiś autentyczny wewnętrzny monolog.

Mam wrażenie, że ta podwójność nie komunikuje się między sobą, że prowadzi (przynajmniej w tym rejonie – ale prawdopodobnie dzieje się to znacznie szerzej) do duchowego zastoju. Etyczne okokonowanie. Kokon etyczny (do rozszerzenia...).

To bardzo wczesny, zaczynający się w dzieciństwie proceder utajony przed jakąkolwiek nauczycielską instancją → przed ojcem, matką, nauczycielem, księdzem → przed PANEM BOGIEM → niewykonanie nałożonego duchowego humanistycznego zadania, zadania osobowego, indywidualnego zadania ludzkiego rozwoju, polegającego w gruncie rzeczy na zamianie pierwotnego zwierzęcego egoizmu na formację wyższą kultywującą dobro ogółu – to jest w dalszej konsekwencji dobro uniwersalne → czyli DOBRO → czyli CZŁOWIECZEŃSTWO. To zbyt trudne dla przeważającej większości ludzi, wymagające zbyt wielu ofiar, a przede wszystkim wymagające zbyt wielkiej pracy. Pozostaje się zatem przy dobru MOIM albo dobru mojej wąsko pojętej GRUPY. To jest prawdziwa moja religia, której nie wolno mi zabrać. Dla niej staję się religijnym krzyżowcem... To zaniechanie jest podjęte najczęściej w łonie rodziny → to oczywiste: poniechanie rozgrywa się w łonie LUDZI, KTÓRZY PONIECHALI. Ale przecież zdarza się, że dziecko z takiej rodziny albo z takiego środowiska samodzielnie wyrywa się w stronę autonomicznego etycznego rozwoju... To dowód na powód, żeby nie wszystko usprawiedliwiać!!! Oczywiście mafijna → to jest infantylna (podwójna moralnie) społeczność chce mieć swoich → infantylnych → to jest podwójnych moralnie liderów, ludzi uprawiających (mrugając do nas okiem) to samo kłamstwo, które MY UPRAWIAMY. Nasz lider to ktoś, kto w imieniu grupy i w interesie grupy okłamuje PANA BOGA. I okłamuje innych, i wydziera w ten sposób dla nas MAFIJNY ŁUP. Wtedy mamy swoją mafijną radość i mafijnie świętujemy. To jest nasze zwycięstwo. BIAŁO-CZERWONI!!! I mamy swoje ŚWIĘTO POGARDY → oszukaliśmy was, frajerzy!

Ta ukryta pogarda wiążąca się ze zwycięstwem kłamców to motyw wymagający osobnego studium.

W gruncie rzeczy tajemna religijność ludzi etycznie niedojrzałych zasadza się na tym głębokim sekrecie indywidualnego (czy zbiorowego) niewykonania swojego ludzkiego zadania. BÓG → POMIMO ŻE NA WSTĘPIE OSZUKANY → STOI NA STRAŻY MOJEJ TAJEMNICY NIESPROSTANIA. Stoi na straży naszej mafijnej tajemnicy, naszej wielkiej tajemnicy naszego wspólnego oszustwa.

NASZ PAN BÓG → POMIMO ŻE OSZUKANY → NIE POZWOLI, ŻEBYŚMY ZGINĘLI.

I dlatego tak przeraża wszelka zmiana, wszelka relatywność, wszelki projekt prawdziwszej, to jest podjętej na nowo drogi ku człowieczeństwu. Znaczy to wyrwanie z tej religijnej macicy → NAS → DZIECI-KŁAMCZUCHÓW → znaczy kompromitację i zawalenie się naszego pierwotnego, rodzimego → wspólnie skłamanego świata. ©

KRYSTIAN LUPA (ur. 1943) jest reżyserem teatralnym, wystawiał na najważniejszych scenach polskich i europejskich. Tekst powstawał w trakcie pracy nad sztuką „Capri – wyspa uciekinierów" dla Teatru Powszechnego w Warszawie, której podstawą są książki Curzia Malapartego „Kaputt" i „Skóra" (premiera 12 października 2019 r.).

FILIP SPRINGER

Ulice Skive, na Jutlandii, 30 km od Nykøbing, 2017 r.

NAJSZCZĘŚLIWSZY KRAJ ŚWIATA

FILIP SPRINGER, REPORTER I PISARZ:

Najpopularniejsza interpretacja Prawa Jante mówi, że mała społeczność przypomina wiadro krabów – gdy jeden próbuje wyjść, reszta ściąga go z powrotem. Społeczna jednorodność jest najważniejsza.

PRAWO JANTE zostało sformułowane w 1933 r. przez norweskiego pisarza duńskiego pochodzenia, Aksela Sandemosego, w powieści „Uciekinier przecina swój ślad". Przedstawione tam fikcyjne miasteczko Jante wzorowane było na Nykøbing, rodzinnej miejscowości autora na duńskiej wyspie Mors. Sandemose opisał mroczne strony dorastania w zamkniętej społeczności robotniczego miasteczka, gdzie każdy przejaw indywidualizmu poddawany jest rygorystycznym ograniczeniom społecznym. Prawo Jante szybko zaczęło funkcjonować w oderwaniu od oryginalnego kontekstu, stając się powszechnie znanym w Skandynawii stereotypem:

1. Nie sądź, że jesteś kimś.
2. Nie sądź, że nam dorównujesz.
3. Nie sądź, że jesteś mądrzejszy od nas.
4. Nie wyobrażaj sobie, że jesteś lepszy od nas.
5. Nie sądź, że wiesz więcej niż my.
6. Nie sądź, że jesteś kimś więcej niż my.
7. Nie sądź, że się do czegoś nadajesz.
8. Nie wolno ci się z nas śmiać.
9. Nie sądź, że komuś na tobie zależy.
10. Nie sądź, że możesz nas czegoś nauczyć.

W dalszej części książki pojawia się jeszcze jeden punkt:
11. Myślisz, że nic o tobie nie wiemy?

FILIP SPRINGER

Domy w Skive, 2017 r.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Pana najnowsza książka „Dwunaste: Nie myśl, że uciekniesz" jest o Danii?

FILIP SPRINGER: Zdecydowanie nie. Bardzo mi zależy, żeby taka łatka do niej nie przylgnęła. Alergicznie reaguję na książki o kolejnych krajach, bo dają złudzenie, że na 200 czy 300 stronach da się w ogóle coś sensownego powiedzieć o tak złożonym i skomplikowanym kawałku rzeczywistości.

To może o prowincji? To już kolejna książka, w której opisuje Pan miejsca leżące na uboczu.

Nie lubię słowa „prowincja". Już przy projekcie „Miasto Archipelag. Polska mniejszych miast" (2016) staraliśmy się go unikać. Dlatego również nie powiedziałbym, że to książka o duńskiej prowincji. Niewątpliwie jednak małe wspólnoty interesują mnie nie od dziś. W takich społecznościach wiele rzeczy po prostu lepiej widać, dlatego są one wdzięcznym tematem. A i myśli się lepiej, jeśli odpuścimy sobie wielkie kwantyfikatory. Prawo Jante, które starałem się opisać, odnosi się przede wszystkim do dynamiki i mechanizmów funkcjonowania niewielkiej grupy ludzi dzielących ze sobą ograniczoną przestrzeń – przynajmniej w podstawowym rozumieniu.

Prawo Jante uchodzi jednak za kwintesencję duńskości.

Na początku też tak myślałem. Chciałem wręcz wziąć odwet na tych wspaniałych Skandynawach. Prawo Jante wydawało mi się głęboką rysą na idealnym wizerunku, tym długo szukanym hakiem. Wiadomo – jak Springer gdzieś pojedzie, to na pewno się do czegoś przyczepi. Ale problem Prawa Jante okazał się znacznie szerszy i nie da się go zdefiniować geograficznie. Bo przecież podobne mechanizmy i sytuacje można znaleźć na całym świecie, także w Polsce. Dlatego wraz z powstawaniem książki sama Dania stawała się coraz mniej istotna.

A mosty? Dużo ich w Pana książce.

Mosty w Danii mają silnie modernizacyjny charakter. Wiele z nich powstało pod koniec lat 30. i na początku 40. XX wieku. U nas w tym czasie mosty raczej burzono, a w Danii stały się symbolem rozwoju – metaforą na tyle piękną, że te najważniejsze umieszczono na banknotach. To akurat coś mówi o charakterze tego kraju.

No i jeszcze setki wysp z ich specyficzną, zamkniętą formą życia.

Wyspiarski charakter Danii tylko pogłębił plemienne cechy tego społeczeństwa, co z kolei wzmocniło mechanizmy, o których pisał Sandemose, formułując Prawo Jante. Wyspa wyraźnie ogranicza przestrzeń danej społeczności. Trzeba korzystać z promów, a nie da się tego zrobić anonimowo, o ucieczce nie wspominając. Promy w ogóle urosły w Danii do ważnego symbolu tej formy życia – na tyle, że zdarzały się sytuacje, gdy mieszkańcy danej wyspy w referendum odrzucali pomysł budowy mostu.

Brzmi niewiarygodnie.

Też nie mogłem w to uwierzyć, ale obawa, że takie szerokie otwarcie na świat zaburzyłoby odwieczny rytm funkcjonowania małej społeczności, czasem okazywała się silniejsza. Te wszystkie geograficzne koincydencje tylko sprawiają, że Prawo Jante staje się łatwiejsze do uchwycenia i opisania. ↦

Mimo to Skandynawia od dekad stanowi punkt odniesienia – czasem negatywny, częściej jednak pozytywny – dla szeroko rozumianych przemian cywilizacyjnych. Dlaczego?

Tam naprawdę wiele rzeczy się udało. Pewnie też dlatego, że są to małe kraje – łatwiej wprowadzić państwo dobrobytu dla pięciu milionów obywateli niż dla trzydziestu pięciu milionów. Oprócz tego Skandynawowie mają świetny PR – potrafią sprzedać na zewnątrz zgrabną i przekonującą opowieść o samych sobie.

Przytacza Pan, nie bez ironii, liczne rankingi, w których Duńczycy przodują w poziomie społecznej szczęśliwości.

Nie mam pojęcia jak, ale ktoś zmierzył, że nawet dzieci w Danii płaczą najmniej na świecie. Ale mówiąc serio, wiele aspektów życia wygląda tam zwyczajnie lepiej. Problem w tym, że to „lepiej" nie odnosi się do wszystkich – przy okazji kolejnych rankingów rzadko mówi się o tym, że obywatelstwo duńskie bardzo trudno uzyskać. Dania jest być może najszczęśliwszym państwem na świecie, ale to szczęście jest mocno reglamentowane. W tej naszej miłości do Skandynawów chodzi jednak przede wszystkim o to, że fajnie jest wierzyć w istnienie krain powszechnej szczęśliwości. Podobne fantazje snujemy o Nowej Zelandii czy Kanadzie.

Konfrontacja z rzeczywistością była rozczarowująca?

Każdy mit przysłania setki niuansów. Wielu osobom wydaje się, że tam od wieków funkcjonują jakieś idealne rozwiązania czy to społeczne, czy ekonomiczne. Podczas gdy w rzeczywistości mamy do czynienia z nieustannie modyfikowanym systemem, który uczy się na własnych błędach. W praktyce to stan permanentnego zarządzania kryzysem, co raz wychodzi lepiej, raz gorzej.

Nowoczesna skandynawska kultura chyba w ogóle ma w sobie ciągłą potrzebę modernizacji.

Nazwałbym to aktywną chęcią uczestniczenia w zmianie, połączoną z silną wiarą w państwo, które rozumie się jako wspólnotę wszystkich obywateli. Miewa to oczywiście swoje złe czy groteskowe strony – na przykład jak ci się zepsuje samochód, to raczej nikt się nie zatrzyma, bo przecież od tego są odpowiednie służby. Z drugiej strony w Polsce też nie wszyscy rzucają się pomagać.

W książce pojawia się historia Mette, Pana przyjaciółki, która próbuje zreformować system prac społecznych, aby stał się bardziej wydajny. Niestety ponosi spektakularną klęskę.

Tak, bo w tej wspólnej pracy – na przykład gdy osiem osób jednymi grabiami sprząta mały trawnik – nie chodzi o efekt, tylko właśnie o bycie razem. Każdego byłoby stać na ogrodnika, ale to zaburzyłoby funkcjonowanie wspólnoty. Jej członkowie nie muszą się nawet specjalnie lubić, chodzi jednak o budowanie i wzmacnianie więzi.

Przytacza Pan w książce ciekawy kontekst historyczny – po przegranej wojnie o Szlezwik z 1864 roku Dania zmieniła swoją politykę na bardziej izolacjonistyczną.

W powszechnej świadomości to była chyba większa klęska niż nasze powstanie styczniowe. Duńczycy utracili wtedy sporo ziem, postanowili więc skupić się na tym, co im zostało. Zwiększono tereny uprawne na samym Półwyspie Jutlandzkim, często heroicznym wysiłkiem wyrywając je bagnom i mokradłom. Klęskę polityczną i militarną wykorzystano do konstruktywnych działań, pojawiło się hasło „Co straciliśmy na zewnątrz, odzyskamy wewnątrz". Musiało to mieć silny wpływ na społeczeństwo i kulturę. Zwiększyła się izolacja, jeden z historyków dla opisu tej postawy użył wręcz metafory plemienia – ludzi ciasno siedzących przy ognisku, twarzą do ognia. Grzeją się i wspierają nawzajem, ignorując to, co za plecami.

Nie wyszli na tym źle. Dziś głównym towarem eksportowym Danii jest szczęście i zadowolenie z życia.

To raczej zasługa sprytnych PR-owców, jak choćby z tym nieszczęsnym *hygge*. W wydawnictwie Penguin Books ktoś skrupulatnie wyliczył, że to pojęcie idealnie pasuje do wszystkich statystyk mówiących, o czym ludzie chcą czytać: północna Europa, mrok, przytulność, ciepło itd. Z algorytmów wyszło, że musi być sukces, więc zamówili od razu trzy książki. To się dzieje trochę poza samymi Duńczykami, choć oni potrafią to dobrze wykorzystać.

Idea mierzenia postępu cywilizacyjnego poziomem szczęścia obywateli, a nie wielkością PKB czy armii, wydaje się słuszna.

Nie można zapominać, że to szczęście jednak trochę wynika z PKB. Duńczycy mają silną armię, ale niechętnie angażują się na zewnątrz, co z kolei wynika z doktryny wojskowej przyjętej jeszcze w XIX wieku, nakazującej niemieszanie się w żadne konflikty. Ten pragmatyzm miał oczywiście swoje ciemne strony, choćby w czasie II wojny światowej. Ale upraszczając, można powiedzieć, że duńską racją stanu jest święty spokój.

Mrocznym rewersem tego świętego spokoju byłoby Prawo Jante?

Prawo Jante jest kodem kulturowym, który ma wiele warstw narosłych przez lata. W zależności od tego, na której się skupimy, zobaczymy coś innego. Pierwsza, najpopularniejsza interpretacja mówi, że mała społeczność przypomina wiadro krabów – gdy jeden próbuje wyjść, reszta ściąga go z powrotem – społeczna jednorodność jest najważniejsza, nie ma miejsca na indywidualizm. Echa tej interpretacji pewnie słychać w skandynawskich kryminałach, gdzie świat ułożonego i cnotliwego mieszczaństwa podszyty jest mrocznymi żądzami.

Ale jak sięgniemy po książkę Sandemosego, to sprawy się komplikują.

Tam egzekutorem Prawa Jante jest Kościół i obowiązuje ono tylko klasę robotniczą, z której wywodzi się główny bohater. Chociaż dziś o książce prawie nikt już nie pamięta, to samo prawo stało się powszechnie znanym w Skandynawii kodem kulturowym – nie trzeba nikomu tłumaczyć, każdy wie, o co chodzi. Z tym że obecnie służy niemalże wyłącznie jako negatywny punkt odniesienia – mówi się „nie bądź z Jante" albo „nie rób tu Jante", a popularnym hasztagiem jest #fuckjante.

Tropiąc resztki tego pierwotnego Prawa Jante, poczuł je Pan na własnej skórze?

Najmocniej chyba w Nykøbing, czyli rodzinnym mieście Sandemosego, gdzie niezwykle trudno było namówić kogoś na rozmowę. Mam w skrzynce mailowej ze trzydzieści wiadomości o treści: „Hej, Filip, twój projekt brzmi ciekawie, ale nie chcę o tym z Tobą rozmawiać". W Polsce w takiej sytuacji raczej

kłamiemy, że nie mamy czasu albo jesteśmy chorzy, a tam na każdym kroku spotykałem się z bezpośrednią odmową. A Jutlandczycy w ogóle słyną ze swojej niechęci do interakcji z ludźmi. Innym razem ktoś mnie zapytał, czemu zasłaniam okna na noc w swoim pokoju – pytanie oczywiście było życzliwe, ale poczułem wtedy lekki dreszcz. Z kolei w antykwariatach na samo słowo „Jante" spotykałem się z wręcz filmową reakcją – zamilknięciem, przejściem z angielskiego na duński i odwróceniem się na pięcie. No ale jeżdżąc po Danii, miałem w głowie sceny z mrocznej prozy Sandemosego, więc może byłem przeczulony na tym punkcie. Bo przecież zawsze wędrujemy w głąb własnych fantazji.

Prawo Jante można znaleźć w każdej konserwatywnej, zamkniętej społeczności?

Można je znaleźć także w każdej postępowej wspólnocie, nawet niekoniecznie ograniczonej przestrzenią – na przykład w polskim środowisku literackim.

Czy polską ułańską fantazję – także związaną z ogarnianiem przestrzeni, o czym zresztą pisze Pan w swoich poprzednich książkach – można odczytywać jako przeciwieństwo Prawa Jante?

Z samym Prawem Jante ma to raczej luźny związek. Oczywiście skandynawskie zamiłowanie do harmonii da się odczytać jako „nie wyróżniaj się", ale z drugiej strony może ono też wynikać z lepszej edukacji plastycznej czy kultury architektonicznej. W Polsce nakaz „nie wyróżniaj się" może nie dotyczyć koloru płotu czy elewacji, ale też jest przecież silnie obecny.

Sandemose sugeruje wręcz, że Prawo Jante jest idealną podbudową pod faszyzm.

Raz pisał tak, raz inaczej – jego polityczne poglądy zmieniały się w zależności od bieżących kontekstów. Ale jest coś na rzeczy – nawet nie tyle pod faszyzm, co w ogóle pod każdy totalitaryzm. Jeden z biografów Aksela Sandemosego – Espen Haavardsholm powiedział mi, że Prawo Jante prowadzi do tego, że wszyscy mają być jednakowi, co nie znaczy, że równi. To wydaje mi się zręczną definicją społeczeństwa totalitarnego. Choć spotkałem też ludzi, którzy twierdzili coś dokładnie

LECHOSŁAW KWALTKOWSKI

FILIP SPRINGER (ur. 1982) jest reporterem, pisarzem i fotografem. Autor takich książek jak „Miedzianka. Historia znikania" (2011), „Wanna z kolumnadą" (2013), „13 pięter" (2015) czy „Miasto Archipelag. Polska mniejszych miast" (2016). Współpracuje z Instytutem Reportażu w Warszawie, jest współtwórcą festiwalu literackiego MiedziankaFest w Miedziance.

Literatura jest w stanie na nowo opowiedzieć człowieka, który już nie będzie stał w centrum wszechświata.

odwrotnego – że ten mechanizm może rozwinąć się w harmonijną demokrację, co mnie osobiście trochę przeraża. Ale to tylko pokazuje, że Prawo Jante jest zjawiskiem bardzo niejednoznacznym, wymykającym się prostym ocenom.

Prawo Jante pojawia się jako pozytywny punkt odniesienia w debacie publicznej?

Bardzo rzadko, chyba tylko Dansk Folkeparti, czyli duński odpowiednik polskich narodowców, czasem coś przebąkuje nieśmiało. Jante służy w Danii wyłącznie do uciekania.

Wątek Prawa Jante pojawia się w Danii przy okazji dyskusji o imigrantach. Wobec licznej mniejszości palestyńskiej i tureckiej coraz śmielej formułuje się żądanie, aby przyjmowała duńskie wartości i sposób życia.

Gdy pracowałem nad książką, przez Danię przetoczyła się debata na temat wieprzowych kulek – bo co to znaczy, że muzułmanie nie chcą jeść naszych narodowych pulpetów? Może myślą, że są lepsi od nas? Wszystko zaczęło się od jednej stołówki, z której wycofano to danie, bo przychodziło tam wielu muzułmanów i tych kulek nikt nie jadł. Całkiem na serio wieprzowa kulka stała się symboliczną osią sporu o kształt duńskiej polityki migracyjnej. Ale oczywiście to zjawisko szersze, ogólnoświatowe. Na całym świecie po długim okresie zachwytu globalizacją odradza się teraz plemienny nacjonalizm, tyle że w Danii ten zwrot ku wsobności jest szczególnie dobrze widoczny, także dlatego, że istnieją takie kody kulturowe jak *hygge* czy Prawo Jante.

W Pana książce pojawia się tajemnicza postać Olego – człowieka, który postanowił świadomie zamieszkać w Jante. Tyle że nie udało się go Panu spotkać, jest więc prawie w całości zmyślony. To śmiały pomysł z perspektywy reportera.

Pytanie brzmi, jak mnie pan zdefiniuje. Przy okazji premiery tej książki już przestaję mówić o sobie „reporter". Wolę się definiować – oczywiście z całą pokorą – jako pisarz czy raczej opowiadacz historii.

Skąd to przejście?

Reportaż ma swoje ograniczenia. Chciałem bardzo opisać postać Olego, ale z tej perspektywy to byłoby niemożliwe – odmówił wszelkiej komunikacji ze mną, a dysponowałem jedynie szczątkowymi informacjami. Postanowiłem więc skorzystać z innych możliwości twórczych, co oczywiście jasno i czytelnie zasygnalizowałem na samym początku. Od jakiegoś czasu eksperymentuję z innymi niż reporterskie sposobami pisania. Przygotowywałem się w ten sposób do pisania tej książki, która miała opowiadać jednocześnie o prawdziwym i nieprawdziwym miejscu. Interesowało mnie to pogranicze między rzeczywistością a fikcją, gdzie jedno i drugie przenika się, nie dając się rozdzielić. Z tej relacji często rodzą się nieporozumienia i konfuzja. Weźmy samego Sandemosego – Espen Arnakke, bohater jego powieści, bardzo podobny do samego autora, zabija człowieka. Czy sam Sandemose też kogoś zabił? Jego biografowie dopuszczają ↦

taką możliwość, choć nie ma na to dowodów. Podobnie wykreowane przez niego miasteczko Jante, które do złudzenia przypomina Nykøbing, ale przecież nim nie jest. Tych granicznych fenomenów w mojej książce jest więcej i nie dało się ich opisać z perspektywy wyłącznie reporterskiej.

Przerzucił się Pan na badanie opowieści, które kształtują naszą rzeczywistość?

Żyjemy w czasach, które wymagają ciągłego poszukiwania nowych języków do opisu świata. Badanie twardych podziałów gatunkowych zostawiam literaturoznawcom. Sztywne trzymanie się norm i reguł jest dobre, gdy chcemy napisać wysokonakładowy kryminał. Ja wolę korzystać swobodnie z całego wachlarza możliwości, jaki daje literatura – jeśli w ten sposób mogę lepiej czy wręcz precyzyjniej opowiedzieć swoją historię, to dlaczego nie?

Co daje literatura, a czego nie dają klasyczne formy dziennikarskie?

Literatura potrafi zmieniać język, przy pomocy którego definiujemy rzeczywistość i nas samych. To się oczywiście nie wydarzy z powodu jednej czy dwóch książek, ale pewne pomysły i idee mogą przesiąknąć do zbiorowej świadomości. No bo jak inaczej zmienić choćby ten antropocentryczny paradygmat, który rządzi naszą cywilizacją od stuleci?

Literatura jest w stanie na nowo opowiedzieć człowieka, który już nie będzie stał w centrum wszechświata. Albo przezwyciężyć tak zgubną dla naszej planety metaforę wzrostu, być może zastępując ją inną, mniej inwazyjną.

Możemy w kółko powtarzać: „Wzrost gospodarczy nie jest najważniejszy", ale kogo to przekona? Musimy stworzyć nowy język, w ramach którego taki postulat nie będzie brzmiał jak niedorzeczne wołanie ekologicznych fanatyków. Oczywiście moja książka nie ma na celu zatrzymania katastrofy klimatycznej, nie odnosi się do niej. Jest jedynie próbą przeformułowania sposobów, w jaki opisujemy naszą rzeczywistość, bo te stare się nie do końca sprawdziły i stoimy przed realnym ryzykiem cywilizacyjnej katastrofy.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Lech z planety Janerka

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Autor najlepszego albumu w historii polskiego rocka powraca z nowymi piosenkami – a te stare nagrywają kolejne pokolenia. Trudno się dziwić: takich słów i dźwięków próżno szukać w naszej muzyce.

Jest tuzin głównych powodów, dla których Lech Janerka ma w Przestrzeni miejsce osobne i poczesne: absolulu, alellujaż, bomb, bultarga, figurole, jualari, Mitroh, odgrzać (kogoś), paradzwoniec, potieniądz, ramydada, szksypcze. Są też powody poboczne, jak filigrany, moriole i tak dalej. Właściwie z samych słów jego piosenek można ułożyć kilkanaście artykułów. Ba, przemówień. Byłyby to teksty wybitne w swojej oryginalności, wstrząsające w swojej akuratności i hermetyczne w swojej metaforyczności. Jak bowiem u progu lata podał Marcin Świetlicki na jednym z portali społecznościowych, ktoś mu się uskarżał, że nie rozumie tego, co śpiewa Lech Janerka, bo tam są dziwne słowa w jakimś wymyślonym języku, na pewno nie po polsku.

Jednoosobowa bojówka

Ów zagubiony w gęstwie słów i znaczeń uskarżyciel to reprezentant najliczniejszego w Polsce plemienia, które zasadniczo niewiele rozumie z czegokolwiek i dobrze mu z tym. Plemię rozumiejących jest znacznie mniej liczebne. W jego ramach wykształcił się jednak zwarty szczep zagorzałych wielbicieli Janerki – obliczam go na kilkadziesiąt tysięcy, może powyżej setki.

No i jest jeszcze sam Lech Janerka, który do żadnego zgoła etnosu nie należy, jest – jak sam mi kiedyś powiedział – jednoosobową bojówką. Z pozostałymi plemionami stanowi zbiory rozłączne.

Rozłączność Janerki z ogółem to sprawa z pozoru wątpliwa. Mieszka normalnie, jak wielu innych Lechów, mieszka nawet z tą samą od lat żoną, mają kuchnię, łazienkę. Blisko ma na stację paliwową, gdzie można w nocy kupić artykuły nocnej potrzeby. Blisko ma też do zabytkowej zajezdni tramwajowej Popowice, gdyby chciał zajechać po ułańsku tramwajem (inna sprawa, że ułańskość i Janerka to dość dalecy znajomi, choć od kiedy Janerka jako już dziadek wnukom nauczył się jeździć na nartach i samochodem, jego relacje z ułańskością nieco się ociepliły).

Zatem – żyje niby jak miliony przedstawicieli elektoratu, jak to najliczniejsze plemię. Wydawałoby się – ot, kolejny nieuśmiechnięty Polak, co zasuwa do warzywniaka po włoszczyznę i do ZOZ-u po numerek. Ale nie z nim taki numerek.

Klaus się nie zestarzał

Mniej więcej od pewnego letniego dnia 1985 r., gdy przynaglony przez kogoś z dalekiej rodziny zakupiłem w kiosku Ruchu kasetę Klausa Mitffocha (była!) i uruchomiłem ją w magnetofonie, mam podejrzenie graniczące z pewnością, że Lech Janerka nie jest z tego świata. Na tym świecie bowiem nie gra się takiej muzyki i nie wypowiada się melodycznie takich fraz, jakie na mnie wówczas spłynęły. Począwszy od jazgotliwego intro „Śpij aniele mój" w wykonaniu chóru zombie po omeniczne „Tutaj ludzie złych profesji / mają swoje oceany / śmierć im podpowiada przyszłość" w horroreggae „Strzeż się tych miejsc". Od pozornie rockowego, a jednak śmiałego (śmielej) „O głowie", przez dysonansowe, nerwowe akordy „Nie jestem z nikim" i chromatyczne odloty basu w „Jestem tu jestem tam", po kanciaste przeloty „Dla twojej głowy komfort"...

Zresztą słowa – materia, w której Janerka nie ma sobie równych, a na pewno podobnych – nie zdołają owych dźwięków, harmonii i rytmów właściwie opisać. Definitywność tej płyty – doceniona przeze mnie dopiero przy drugim odsłuchu, bo był to autentyczny za-

PAWEŁ RELIKOWSKI / POLSKAPRESSE / EAST NEWS

mach stanu na moją wrażliwość – oznacza, że po niej nie można już było nic zrobić. Przynajmniej moja wyobraźnia zawodzi, podobnie jak język.

„Wiele tu fajnych rozwiązań aranżacyjnych, o które dziś już mało komu się chce walczyć, a teksty absolutnie pozostają aktualne" – powiedział mi dekadę temu L.U.C., gdy zbierałem refleksje młodszych muzykantów na temat tej płyty. Aczkolwiek przy tej samej okazji Kuba Suchar (Mikrokolektyw), serdeczny znajomy Janerki zresztą, zaznaczał, że to „świetne piosenki, ale zestarzały się – szkoda ich, szkoda, że nie zadbano, by panował nad tym producent, który wiedziałby, o co chodzi".

Nie wiem, co dziś Kuba by powiedział, ja wiem jedno – takich dźwięków próżno szukać w polskiej muzyce. Nic się nie zestarzało. A w 1983 czy 1984 r. myślenie w Polsce o producentach z prawdziwego zdarzenia byłoby świadectwem poważnego deficytu inteligencji. To, że ta płyta właśnie wtedy została nagrana, wytłoczona, obleczona w okładkę, dopuszczona do sprzedaży i w dodatku grywana w radiu, to jest cud. A cuda, jak wiadomo, to domena istot nie z tego świata. Q.e.d.

Obcowany bezpośrednio

Pozaziemskie pochodzenie przypisywane jest najczęściej artystom nie tylko osobnym, ale też o napiętej strunie, mocującym się z tym, na co większość Ziemian albo wygodnicko się godzi, albo z rezygnacją przestaje zwracać uwagę. Z nim jednak jest jeszcze jeden kłopot poznawczy – w badaniu organoleptycznym istota Lech Janerka rozjeżdża się z tą, która przemawia/krzyczy/przejmująco śpiewa do nas z płyt i ze sceny. Ekspresja Janerkowa demonstrowana w muzyce to histeryczne połączenie nerwicy, agresji, rozpaczy i paranoi. Nawet pogodniejsze czy też ściślej – mniej chmurne pieśni w rodzaju „Roweru" lub „Leniwie lecąc" nie nadają się na bal zdrojowy.

Tymczasem staje z nami oko w oko szczupły człowiek (człowiekoid?) o nieco wycofanych w głąb, ale jakże miłych oczach i nieporadnym uśmiechu, znamionującym, że na naszą planetę przybywa jednak w pokoju, nie pragnie naszych żon, mężów ani trzynastki. On miałby krzyczeć, że „piekło dalej lubi bale / ono wytrwa w swoim szale"? On miałby wzywać, że „trzeba iść do nieba tak tak tak tak"? On miałby rozdzierająco przestrzegać „zbudź się nim zaczniesz znowu skandować"? Onże spowiada się z obrzydzeniem „o liżę mięcho / a to jak praca jest udręką"? Nieee...

Kiedy przed laty przedstawiłem mu pomysł płyty „Klausowi Mitffochowi – rodacy", na której w moich marzeniach różni artyści zaśpiewaliby po kolei wszystkie piosenki Klausa (z singlowymi włącznie), by powstał album-hołd ↦

Lech Janerka, Wrocław 2009 r.

dla Najlepszego Albumu w Historii Polskiego Rocka – najpierw długo się nie odzywał, tylko patrzył na kartkę z moim opisem całego przedsięwzięcia. Sądziłem, że może zastanawia się, jak mnie uprzejmie zniechęcić. Ale on wreszcie podniósł wzrok, w tych swoich uważnych, serdecznych oczach miał ślady wilgoci, po czym bąknął cichutko: „Ależ to piękny oddział... czuję się onieśmielony".

Dlatego Janerka obcowany bezpośrednio to bardziej ten, który radośnie zapowiada „jutro będę z tobą w Nowym Jorku", ciepło wspomina „kołyszemy wanną / fandango moja panno", triumfalnie agituje „patrzcie jak się lata / gdy dupsko jest wolne od bata", łagodnie strofuje „komuś sprytnie stanik zdjąć / tak bez użycia rąk to błąd" czy nawet sceptycznie zauważa „apatia to żaden grzech / gdy wszystko zmienia się w kesz".

Dla biednych inteligentnych

Od „Plagiatów", jego ostatniej premierowej płyty, minęło ponad 14 lat. Przez ten czas z wolna oswajaliśmy się z myślą, że prawdą okażą się słowa, które rzucał przy różnych okazjach: „Już niczego nie nagram". A tymczasem jego status w naszym plemieniu trwał nieugięcie, bo niemal każdym koncertem i wywiadem umacniał się na pozycji idola dla biednych inteligentnych. Mógłby po „Klausie" już niczego nie zrobić, a i tak byłby jednoosobowym kandydatem na polską Mount Rushmore.

Ale dalej robił. Opowiedział nam „Historię podwodną", zanucił zwodniczo lekkie „Piosenki", zaprosił nas do „Ur", zagłuszył nas „Bruhaha", życzył nam „Dobranoc", przysolił nam, że „Fiu, fiu", by wreszcie położyć przed nami „Plagiaty". Do tego okazjonalnie dzielił się sobą jako głos na cudzych płytach (np. na „Clever Nonsense & Other Outdoor Games" Tomasza Gwincińskiego, „Złych misiach" Świetlików czy projekcie „Gajcy") lub jako autor (na płycie Fiolki Najdenowicz).

Ale potem nadeszły te lata, kiedy zaczął nagle jeździć samochodem i na nartach (bądź raz na jednym, raz na drugim), żadne nowe „Janerki" się nie pojawiały i idolowi biednych inteligentnych groziła *sclerosis monumentalis*, czyli stwardnienie cokole, zwane też spomniczeniem. Groźnym sygnałem było Postanowienie Prezydenta RP z 16 sierpnia 2011 r., przyznające Lechowi Andrzejowi Janerce Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (obok Kory, Tomka Lipińskiego oraz Michała Tarkowskiego i Janusza Weissa). Zalatywało marmurem. Pozostawała nadzieja, że jakiś kosmicki impuls pozwoli mu strząsnąć z siebie granit i spiż i jeszcze raz wrazić nam sztylecik w serca.

> Janerka ma kosmiczną **świadomość języka.** „O boże nie mnij mnie / lub może mnij mnie mniej" to fraza godna Przybory.

Może zagrzmieć

Nadzieja się spełnia. W dodatku dwojako, bo najpierw, 2 sierpnia, ma ukazać się album-hołd „Janerka na basy i głosy", gdzie niemal zupełnie inny „piękny oddział" gra i śpiewa Janerkę. Grają – tylko na gitarach basowych – Tekla, czyli Małgorzata Tekiel, i Piotr Pawłowski. Śpiewają Nika Domczyk, Kasia Nosowska, Wojciech Waglewski, Marcin Świetlicki, Paweł Sołtys, Jarek Szubrycht i... Lech Janerka z premierowym utworem. A że to hołd nie tylko dla muzyka, ale i dla autora, w zajściu wziął też udział złożony z literatów Chór Piór (m.in. Joanna Oparek, Wojciech Bonowicz i Miłosz Biedrzycki).

Kto wie, może ta, szykowana już wszak od miesięcy, inicjatywa zbudziła starego niedźwiedzia z nietwórczego snu, bo na jesień z kolei Lech zapowiada ósmą studyjną płytę z premierowym materiałem. Dwa kawałki już znamy – „Zabawę" i „Wannę na Wawelu" – a ich styl i kunszt pozwalają z radosną ufnością wyczekiwać jesiennej aury. Może zagrzmieć.

Lech z Bożeną zaczynali dawno, dawno temu, w epoce gierkowskiej, jeszcze jako dzieci prawie, próbując podbijać sceny festiwali studenckich. Formalny debiut publiczny Klausa Mitffocha nastąpił 36 lat temu. Przy wiolonczelowym i serdecznym wsparciu żony Lech wyruszył w solową podróż trzy lata później. Jeśli po kolei ciurkiem puścić wszystkie kolejne płyty, można zauważyć jedno – jest odrębny, a ta odrębność pozwala mu nie zmieniać się zbyt radykalnie. Owszem, na brzmieniu „Historii podwodnej" ciąży trochę typowa dla lat 80. sztuczna przestrzeń, owszem, „Ur" to podróż elektroniczna, owszem, „Piosenki" przywołują niekiedy stylistykę tzw. krainy łagodności (błąd), owszem, „Bruhaha" galopuje na ostrych riffach gitarowych, owszem, psychodelia mruga do nas z „Plagiatów". Ale Janerka, tak jak pytania, jest wciąż taki sam. Nie rozwija się, bo nie musi.

W szeregach Klausa Mitffocha wystąpił od razu jako twórca ukształtowany, niepodległy, własny. Już nic nie musiał ze sobą robić, tam się wszystko zgadzało od początku, forma, treść, styl, materia i duch. Podobnie zresztą w tekstach, o których dalej. Zaznaczę tylko, że wątek dziewoi na rowerze i w majciochach z Klausowej „Wiązanki cz. IV" powraca po latach w „Zuzie" – od marzenia do spełnienia.

Bas i głos, głos i bas

Jako muzyk jest zwolennikiem konkretnej formy. Piosenki nie są dlań punktem wyjścia do wycieczek w krainę improwizowanych dźwięków. Nie ufa spontanowi, skłonny jest w muzyce widzieć raczej pretekst do opowieści o tym, o czym opowiadać jego zdaniem warto. Styl jego kompozycji jest bliski temu, co zwykliśmy uznawać za rock alternatywny. Nie ma tam poszukiwań na skrzyżowaniach gatunków i stylów, choć jest upodobanie zarówno do oryginalnych, a chwytliwych melodii, jak i do dysonansowych zderzeń. I tak można by zamknąć temat – acz skoro mówimy o muzyce, nie sposób przejść cichcem obok dwóch podstawowych instrumentów, jakimi Lech się posługuje.

Gitara basowa Janerki nie pełni tylko funkcji rytmiczno-harmonicznej, nie jest skromnym elementem sekcji, ale pełnoprawnym instrumentem melodycznym, nucącym motywy na równych prawach z wiolonczelą, gitarami i klawiszami. Nasz kosmita nieraz podkreślał, że jego wzorcem jest Paul McCartney, który też bas traktuje jako źródło melodii.

No i – głos. Nie do pomylenia, słodko-gorzki, o bardzo dużych możliwościach kolorystycznych pomimo względnie ograniczonej skali. Niekiedy wrzaskliwy, niekiedy dramatycznie rozedrgany, potrafi też być pastelowy jak w „Leniwie lecąc", zadumany jak w „Urodzinach" czy eksplorujący brzmienia alikwotowe jak w „Deszczu". Gdyby lubił sięgać po cudze piosenki, mielibyśmy wielkiego in-

terpretatora. Niestety coverów w Janerkowym wykonaniu jest niewiele.

Niewalczyk walczy

Piosenka musi posiadać tekst, jak mówi klasyczka. I to jest drugi, zapewne nawet ważniejszy powód, dla którego o Janerce warto i trzeba mówić od samego początku. Janerka nie cierpi na rozlewistość, wystarczają mu zwięzłe formy.

Mimo to potrafi na przestrzeni jednego-dwóch wersów skonstruować cudo rozbrajające już to metaforą, już to zwykłym zderzeniem słów, które w pojęciu najliczniejszego plemienia nigdy obok siebie nie występują. „Jak ja bardzo lubię / chyba tak nie umie lubić nikt" – proste, a jakże odkrywcze. „O boże nie mnij mnie / lub może mnij mnie mniej" – misterne, a bynajmniej nie rokokowe (dorównuje Przyborowemu „by żądz moc móc zmóc"). „(...) nico (...) ono tam jest / a imię jego na E / paradne / coś jak Etiopia lecz ładniej".

Do tego dochodzi niezwykła łatwość tworzenia neologizmów, od których zacząłem niniejsze wypracowanie. Janerka ma bowiem kosmiczną (*cosmos oblige*) świadomość języka. Do tego stopnia, że używa słowa pozornie oczywistego, ale dostrzega w nim zupełnie nowe światy. Weźmy choćby takie wersy: „odjeżdżam jak papamobile / i słyszę raczej / coś mówi mi raczej / a ja nie wiem co / to niby ma znaczyć". My słowo „raczej" rozumiemy jako partykułę wyrażającą bądź przekonanie o prawdopodobieństwie, bądź niepewność. U Janerki nagle wyraz ten mieni się czasownikowo – czy nie brzmi to jak wezwanie, by przemienić się w raka, by z r a c z e ć? A czy „wesoły niewalczyk biednych" nie gra zestrojem walczyka z odmową walki?

Niniejszy tekst obfituje w przymiotniki i przysłówki. U Janerki jest ich bardzo mało. Tam, skąd pochodzi, nie są do niczego potrzebne, uważane za rodzaj grafomańskiej dezynwoltury. To krzepiące, że artystę, który nie rozpieszcza nas wolumenem swej twórczości i z rozwagą ją dozuje, stać jeszcze na taką kondensację. Nas, Ziemian, na nią nie stać.

Dlatego z tym większą nadzieją wyglądam nowych piosenek. Parafrazując Kawafisa – one są jakimś rozwiązaniem.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE HBO

Emma Thompson w serialu HBO „Rok za rokiem"

Przyszłość już tu jest

JAKUB MAJMUREK

Oto kraj, gdzie technologia i rynek całkowicie wymykają się polityce. Oto bohaterowie bezradni wobec społecznej katastrofy, która przyniosła populizm. Oto serial, który wzywa do przebudzenia.

↦

Mamy świetny, lecz najbardziej przerażający i przygnębiający serial, jaki można w tym roku zobaczyć. Nawet bardziej niż „Czarnobyl" – tamten opowiadał historię katastrofy sprzed ponad trzech dekad, spowodowanej przez system, który sam implodował i zszedł przegnany z areny historii. Wyprodukowany przez BBC One, dostępny na kanale HBO miniserial „Rok za rokiem" przedstawia katastrofy, jakie mogą nas dotknąć tu i teraz. Takie, od których dzieli nas jeden zły kwartał dużego banku, jedne wygrane przez populistów wybory, jedna nieodpowiedzialna decyzja sprawującego władzę polityka.

Twórcą serii jest, uważany za jeden z największych talentów piszących dziś dla brytyjskiej telewizji, Russell T. Davies, w Polsce znany przede wszystkim jako *showrunner* nowej wersji kultowego serialu *science fiction* „Doktor Who" – przedstawiającego przygody podróżującego przez czas i przestrzeń przybysza z obcej planety, odwiedzającego Ziemię. Fani „Doktora" rozpoznają zresztą w „Rok za rokiem" kilka rozwijanych w tej serii motywów – tu przeniesionych we względnie realistyczną konwencję „fantastyki bliskiego zasięgu", bez podróży w czasie i kosmitów.

„Rok za rokiem" często porównywany bywa do „Black Mirror". Podobieństw jest wiele, ale też jedna zasadnicza różnica: Daviesa bardziej niż przemiany technologiczne i ich wpływ na współczesną rzeczywistość interesują te polityczne, społeczne i ekonomiczne.

Saga rodu Lyonsów

Akcja toczy się w Wielkiej Brytanii na przestrzeni piętnastu lat, zaczynając od 2019 roku. Każdy rok to kolejny krok w stronę upadku świata. Jego przemiany obserwujemy z punktu widzenia licznej, wielopokoleniowej rodziny Lyonsów z Manchesteru.

Rodzina Lyonsów jest jak współczesna Wielka Brytania – niemal każdy brytyjski widz znajdzie tu kogoś, z kim mógłby się identyfikować. Po pierwsze, jest podzielona na poziomie społeczno-ekonomicznym. Część z niej należy do klasy średniej, część raczej do robotniczej. Nikt z jej członków nie ma jednak dość zasobów, by wykupić sobie bezpieczeństwo od gwałtownych zmian, jakim ulega pokazane w serialu społeczeństwo i cały otaczający go świat. Po drugie, rodzina Lyonsów jest różnorodna etnicznie: najstarszy z czwórki rodzeństwa, Stephen, ma czarnoskórą żonę, a z nią dwie córki; jego siostra z kolei ma jedno dziecko z Azjatą. Po trzecie, Lyonsów różni polityka: młodszy z braci, pracownik samorządu Daniel, głosował za pozostaniem Wielkiej Brytanii w Unii i popiera Partię Pracy, jak się można domyślić: czyta „Guardiana", i ma poglądy typowe dla lewicowo-liberalnej klasy średniej. Jego młodsza siostra, Rosie, mówi z kolei najgorszą brexitową propagandą i daje się uwieść populistycznej polityczce. Druga z sióstr Lyons, Edith, jest anarchistyczną aktywistką, pomaga potrzebującym i rzuca wyzwanie możnym tego świata w szeregu akcji społecznych na całym globie.

> Nie ma obecnie serialu, który bardziej przekonująco afirmowałby **znaczenie rodziny,** nawet jeśli jej styl życia nie spodoba się polskiej prawicy.

Lyonsowie są też rodziną silnie patchworkową. Rosie nie utrzymuje kontaktu z ojcami swoich dwóch synów, czwórka rodzeństwa jest skłócona z ojcem. Całość rodziny skupia wokół siebie seniorka rodu, pełna poczucia humoru babcia, zamieszkująca w wielkim, wiktoriańskim domu, kupionym w znacznie lepszych finansowo dla rodziny czasach – dziś z braku środków na remont popadającym w ruinę. W świecie Lyonsów żadnego problemu nie stanowi też orientacja seksualna. Daniel jest w pełni akceptowanym przez rodzinę gejem.

Z punktu widzenia polskiej prawicy Lyonsowie reprezentują wszystko to, co jest nie tak z przeoranym przez rewolucje obyczajowe i multikulturalizm Zachodem. Davies pokazuje jednak, że także patchworkowa, złożona z par jednopłciowych rodzina jest w stanie dawać sobie emocjonalne i egzystencjalne wsparcie. Że może być schronieniem w momencie, gdy cały świat zmienia się stopniowo w koszmar nie do życia. Nie ma chyba w tym roku w telewizji serialu, który bardziej przekonująco afirmowałby znaczenie rodziny – „wartości rodzinne" w XXI wieku mogą znaczyć bardzo różne rzeczy, niekoniecznie muszą zakładać tradycjonalistyczne style życia.

Autorytaryzm XXI wieku

Co konkretnie dzieje się w serialowej Wielkiej Brytanii 2019-35? Nie chcę psuć państwu zabawy i ujawniać zbyt wielu szczegółów, ale ogólnie można powiedzieć, że „Rok za rokiem" pokazuje, jak stopniowo, często niezauważalnie, imploduje wolne, względnie sprawiedliwie urządzone społeczeństwo. Takie, jakie wykształciło się w niemal całej Europie Zachodniej po II wojnie światowej.

Zmierzch tego porządku nie następuje z hukiem. Długo zachowane zostają pozory i fasadowe instytucje. Autorytaryzm XXI wieku nie atakuje wprost. Zamiast frontowego starcia wybiera wojnę hybrydową ze społeczeństwem. Pomału wysysa powietrze, jakim można swobodnie oddychać, podduszając do omdlenia wszystkich swoich potencjalnych przeciwników.

Lyonsowie budzą się w końcu w społeczeństwie, gdzie zanika klasa średnia i ostatecznie pękają więzi, jakie kiedyś łączyły posiadających i nie, teraz oddzielonych ścisłym przestrzenno-społecznym apartheidem. W rzeczywistości, gdzie przy zachowaniu demokratycznych procedur wygaszane są kolejne instytucje, bez których realna kontrola społeczeństwa nad władzą jest fikcją.

Demokracja przekształca się w państwo rynkowo-policyjne, gdzie represyjne funkcje państwa wykonywane są przez świetnie na tym zarabiający prywatny biznes, a społeczeństwo w politycznej bierności utrzymuje brak podstawowego bezpieczeństwa ekonomicznego, konsumeryzm z coraz trudniej dostępną konsumpcją, zarządzające nim algorytmy i ogłupiające media.

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

A przy tym mieszkańcy nawet takiego, osuwającego się w nowy postdemokratyczny porządek Zachodu pozostają względnie uprzywilejowani – gdzie indziej jest jeszcze gorzej. Pokazuje to wątek związanego z Danielem uchodźcy z okupowanej przez Rosję Ukrainy, Wiktora. Na tle przestrzeni, w jakie zostaje wrzucony – rosyjskiego Kijowa, gdzie homoseksualiści mają obowiązek „żyć dyskretnie"; obozów dla uchodźców w zachodniej Europie; nielegalnych kanałów, jakimi migranci próbują przedostać się z północnej Francji do Wielkiej Brytanii – wszystkie problemy Lyonsów to ciągle przywileje pierwszego świata.

W serialu atak na instytucje brytyjskiej demokracji płynie ze strony charyzmatycznej, populistycznej Vivienne Rook. W pierwszym odcinku Rook jest jeszcze marginalną polityczką bez szans na władzę. Z dnia na dzień staje się jednak wiralową sensacją, gdy zapytana w programie telewizyjnym, co sądzi o konflikcie izraelsko-palestyńskim, odpowiada: „Pierdolę to. (...) Ja chcę tylko, żeby wywożono mi śmieci, żeby podstawówka dwieście metrów ode mnie zaczęła po sobie sprzątać".

Wykorzystując nagłą popularność, Rook zakłada partię – Ruch Czterech Gwiazd (od czterech gwiazdek, jakimi prasa zastępuje wypowiedziane przez nią na wizji wulgarne słowo). W każdym kolejnym odcinku nowa siła zdobywa kolejne przyczółki w brytyjskiej polityce.

Rook w błyskotliwej kreacji Emmy Thompson skupia w sobie wszystkie, często wzajemnie sprzeczne cechy nowych populizmów XXI wieku. Przedstawia się jako głos zwykłych ludzi, ktoś, kto rozumie ich realne problemy, choć sama jest milionerką, wygodnie usadowioną wśród potężnych i majętnych. Swoim wyborcom sprzedaje się jako ktoś, kto mówi „jak jest", nie przejmując się polityczną poprawnością i regułami *decorum* – głos na nią jest dla jej nieuprzywilejowanego elektoratu jak pokazanie wulgarnego gestu całej klasie politycznej.

Ma też w sobie silnie komiczne, błazeńskie rysy – zamiast zabierać głos w politycznej debacie, ustawia się jako figura telewizyjno-internetowej rozrywki. A przy tym mobilizuje wyborców przez strach i panikę moralną. Do parlamentu po raz pierwszy dostaje się na fali kampanii przeciw internetowej pornografii, na kontakt z którą narażone mają być brytyjskie dzieci.

MATERIAŁY PRASOWE HBO

Emma Thompson i Lee Latchford-Evans

Nie bardzo wiadomo, kto logistycznie wspiera i finansuje jej ruch. Davies wielokrotnie daje do zrozumienia, że Rook nie jest działającą samodzielnie wariatką, a za jej niezwykłą polityczną karierą stoją mroczne siły, jakich naprawdę należy się bać.

Nietrudno rozpoznać w Rook odbicie faktycznie wpływowych dziś polityków. Postać grana przez Thompson doskonale odnalazłaby się w towarzystwie Donalda Trumpa, lidera włoskiego Ruchu Pięciu Gwiazd Beppego Grilla czy naszego Pawła Kukiza. Wiele łączy ją także z nowym premierem Zjednoczonego Królestwa Borisem Johnsonem – politykiem, który do najwyższego urzędu w państwie dostał się za sprawą swojej celebryckiej marki dużego dziecka, wiecznego buntownika i rozrabiaki, zawsze gotowego wsadzić kij w parlamentarne mrowisko. Gdy Johnson wprowadzał się na Downing Street, internauci umieszczali na swoich profilach kadry z serialu przedstawiające Rook.

Brytania przeorana

Postać Rook jest przy tym pokazana raczej jako symptom niż przyczyna problemów trawiących brytyjską demokrację. W zachodnich społeczeństwach coś bowiem głęboko załamało się w ich strukturze – agresywny populizm odwołujący się do lęków i poczucia bezradności swoich wyborców tylko doprowadza do logicznego końca od dawna postępujące rozkładowe procesy.

Niepokój, jaki wywołuje „Rok za rokiem", wynika w dużej mierze z tego, iż niejednokrotnie mamy wrażenie, że przyszłość, przed jaką przestrzega serial, od dawna już tu jest. Antyutopia, jaką widzimy na ekranie, to nie tyle spekulacja co do przyszłości, ile spojrzenie z odpowiedniego punktu widzenia na teraźniejszość.

Najlepiej pokazuje to ciągnący się przez kilka odcinków wątek deklasacji rodziny Stephena. Mężczyzna i jego żona, do tej pory należący do solidnej klasy średniej, nagle znajdują się w nowej rzeczywistości, gdzie nie mogą liczyć na żaden pewny grunt pod nogami. Stephen, doradca ekonomiczny z dyplomem uczelni, traci prawie cały majątek i dobrą pracę. Zostaje wrzucony w wir prekariackich prac poniżej swoich klasyfikacji – głównie jako kurier rowerowy i tester leków – bez prawa do odpoczynku, bez pewności zatrudnienia, praktycznie bez szans na wyjście z biedy. Popyt na pracę żony Stephena, wykwalifikowanej księgowej Celeste, zmniejsza rozwój technologii IT – komputery znacznie lepiej radzą sobie ↦

z tym, w czym kobieta się specjalizuje, i są od niej na dłuższą metę tańsze.

Cały ten wątek ogląda się nie tylko jako wizję przyszłości, wyrażającą lęki zachodniej klasy średniej o jej status w nieustannie zmieniającej się, rewolucjonizowanej przez nowe technologie gospodarce. Jest to również wyostrzone w soczewce artystycznej kreacji spojrzenie na Wielką Brytanię ostatnich dziesięciu lat z hakiem. Na kraj przeorany przez finansowy kataklizm z 2008 roku, na który polityczne i gospodarcze elity odpowiedziały hojną publiczną pomocą dla upadających banków i zaciskaniem pasa dla całej reszty. Gdzie technologia i dynamika rynku wymykają się polityce, a dyplom uniwersytecki czy niegdyś dający stabilność zawód nie gwarantują już dłużej podstawowego bezpieczeństwa ekonomicznego.

Nadzieja w dystopii

Lyonsowie wielokrotnie zastanawiają się przy rodzinnym stole, jak to się mogło stać, kiedy to wszystko się zaczęło, kiedy względnie stabilny, oswojony świat po zimnej wojnie nagle zmienił się w koszmar. Pytają nie tylko o bezosobowe, historyczne procesy, ale także o własną winę. „Jak mogliśmy to wszystko aż tak spieprzyć?!" – to pytanie mogłoby kończyć każdy odcinek.

To pytanie „Rok za rokiem" kieruje też do nas, widzów z 2019 roku. Wzywa nas, byśmy się zainteresowali, ruszyli z domu, zaktywizowali, a przynajmniej zagłosowali mądrze i z rozwagą. Tak, by następna dekada nie wyglądała jak z koszmaru. W dystopii, jaką maluje serial, pojawia się ostatecznie nadzieja na możliwość buntu, zmiany społecznej, wyrwania się społeczeństwa z kleszczy opresyjnej władzy.

Indywidualny opór, a przynajmniej przyzwoitość, okazuje się mieć w końcu znaczenie dla tego, jak kształtuje się historia. Przy całym swoim pesymizmie Davies wierzy w ludzką dobroć, w solidarność, w siłę moralnego oporu i niezgody na niesprawiedliwość. Nawet jeśli droga wyjścia, która pojawia się na końcu serii, może nie wyglądać specjalnie przekonująco, sama nadzieja, że jest w ogóle wyjście, to już w dzisiejszej popkulturze niemało.

© JAKUB MAJMUREK

W cieniu lewiatana

ANITA PIOTROWSKA

Bohaterowie „Cieni imperium", zmęczeni wojną, tułaczką i niepewnością jutra, rzadko rozprawiają o polityce. Chcą tylko normalności.

Polskich dokumentów ze świecą szukać dzisiaj w salach kinowych – tym bardziej warto zwrócić uwagę na pełnometrażowy debiut Karola Starnawskiego wyprodukowany przez Studio Filmowe „Kadr". Podczas gdy Rosja pręży muskuły w różnych zakątkach świata, twórcy „Cieni imperium" kierują kamerę na rubieże dawnego ZSRR, gdzie mocarstwowe zakusy Putina w dalszym ciągu dają się we znaki współczesnym mieszkańcom Górskiego Karabachu, Ukrainy czy Gruzji. Bez właściwej tego rodzaju obrazom, choć często przecież uzasadnionej rusofobii twórcy filmu ogniskują uwagę na nierosyjskich bohaterach, których los nadal determinowany jest przez kremlowską politykę. Prawie 30 lat po rozpadzie imperium.

Pozorny spokój unosi się nad rodzinnym domem Aleksieja w nieuznawanej przez świat kaukaskiej Republice Arcach – ormiańskiej enklawie w Azerbejdżanie. Na polach walają się wraki pojazdów i kawałki rakiet, a ruiny domów – zbombardowanych podczas ostatnich działań wojennych, w których Rosja znów odegrała rolę samozwańczego arbitra – jeszcze nie ostygły. Rodzina Aleksieja, urodzonego na początku konfliktu, po latach tułaczki wróciła na to gruzowisko i mimo ciągłego zagrożenia próbuje żyć w miarę

RUCHOME OBRAZY

Kadr z filmu „Cienie imperium”

normalnie. On sam jednak pozostaje rozdarty. Mieszka dziś na Ukrainie i tęskni za miejscem swego urodzenia. Jako początkujący raper lubi rymować o miłości, choć bohaterką tych wyznań może być równie dobrze zniszczona wieś w Arcachu – taki zresztą muzyczny pseudonim przybrał bohater. Kiedy spotyka się w filmie ze swoimi bliskimi, kiedy razem grillują, zajadają arbuzy, odwiedzają wiekową babcię czy okupowany przez jaskółki kościółek, w pewnym momencie pustkę wokół zniszczonego domu wypełnia niecodzienny gwar. To ojciec Aleksieja snuje opowieść o swym hucznym weselu wyprawionym tu w przededniu wojny, która chwilę potem zabrała im prawie wszystko.

Życiowa poniewierka i prowizorka stały się udziałem także rodziny Timura – uciekinierów z zaanektowanego w 2014 r. Krymu. Aktualnie żyją we Lwowie, w wiecznej tymczasowości, bo wojna wciąż trwa, przybierając najróżniejsze oblicza. Marzenia o stabilizacji na każdym kroku ścierają się z poczuciem żołnierskiego obowiązku. Dopiero co Timur wylizał bitewne rany i opłakał poległych towarzyszy, a już myśli o powrocie na front. „Brudne” nagrania z Donbasu zderzone zostają w filmie Starnawskiego z albumem fotograficznym sprzed wojny. Bohater przegląda go wraz z żoną, chwytając się każdego, najbardziej błahego wspomnienia, bo tylko ono ma teraz posmak normalności. A właśnie za tym tęsknią najbardziej bohaterowie „Cieni imperium”. Zmęczeni wojną, tułaczką, niepewnością jutra, rzadko rozprawiają o polityce. Lecz Timur, czy to w mundurze, czy w cywilu, aktywnie pomagający innym ukraińskim uchodźcom, nie myśli wyłącznie o tym, jak się tu wygodnie urządzić.

W cieniu dawnego mocarstwa żyje także rodzina Aleksandra – Litwina osiadłego od dawna w Gruzji, blisko granicy z Abchazją. Odkąd w wieku 18 lat wyjechał na radziecką wojnę w Afganistanie, utracił kontakt ze swą litewską familią, mieszkającą dziś na terytorium Federacji Rosyjskiej. Wielka geopolityka, która kiedyś odcięła go od korzeni, nadal pozbawia szans na odwiedziny rodzinnych stron. Z pomocą twórców filmu udaje się zaaranżować pierwsze po 35 latach spotkanie Aleksandra i jego młodszej siostry. Chyba tylko gruzińska żona głównego bohatera, niegdyś rozdzielona z chorym ojcem, pozostawionym po abchaskiej stronie, zdaje sobie sprawę, jaką emocjonalną cenę musiał Timur zapłacić za swoje osierocenie i wygnanie. Dziś ten dojrzały, krzepki mężczyzna ociera łzy „militarną” chustką i w rozmowie ze świeżo odzyskaną krewną szybko przechodzi na rosyjski – wyłącznie w tym języku mogą się obecnie porozumieć.

Film otwiera majestatyczne ujęcie pomnika Stalina i cytat z Alaina Besançona, francuskiego sowietologa, ostrzegający przed zakodowanym, poniekąd genetycznie, imperializmem rosyjskim. Na ekranie dominuje jednak perspektywa bardziej kameralna i ludzka, podobnie jak w wydanej przed rokiem reporterskiej książce „Granice marzeń” Tomasza Grzywaczewskiego, który jest współscenarzystą filmu. Bohaterowie opowiedzianych tu historii zapalają świeczki w kościołach i cerkwiach, oglądają bądź wieszają na ścianie rodzinne zdjęcia – i właśnie w tych powtarzających się gestach kryje się nadzieja, że ciągle jeszcze istnieje coś silniejszego niż postsowiecki lewiatan. ©

CIENIE IMPERIUM – *reż. Karol Starnawski. Prod. Polska 2018. Dystryb. Aurora Films.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [10 – 16 VIII]

1. Nasi chłopcy

Miniserial, reż. Hagai Levi i inni, USA 2019, HBO GO, od 13 VIII

W 2014 r. trójka żydowskich nastolatków została uprowadzona i zamordowana przez bojowników Hamasu. Serial przybliża tło tamtych wydarzeń, które miały istotny wpływ na eskalację konfliktu w Strefie Gazy. Czy twórcom udało się zachować obiektywizm? Czy jest on dzisiaj w ogóle możliwy?

2. Schrzaniliśmy to!

Dokumentalny, reż. Jean-Baptiste Thoret, Francja 2017, Player.pl, NC+ GO

Piękne utopie lat 60. i 70. zapisały się m.in. w amerykańskich filmach tamtej epoki. Z perspektywy ostatnich wyborów prezydenckich w USA radykalnej zmianie „od Easy Ridera do Donalda Trumpa” przyglądają się weterani kina, np. Peter Bogdanovich, Bob Rafelson czy Paul Schrader.

3. Córka trenera

Dramat, reż. Łukasz Grzegorzek, Polska 2018, vod.pl

Pod prąd konwencjom kina sportowego toczy się nieśpieszna opowieść o relacji między młodziutką tenisistką i jej zaborczym ojcem. Fenomenalny Jacek Braciak gra tu człowieka, który przelał na córkę wszystkie kompleksy i ambicje. Karolina Bruchnicka uosabia nastoletni bunt, a klimat kina drogi odsłania kawałek prowincjonalnej Polski.

4. W proch się obrócisz

Komediodramat, reż. Shawn Snyder, USA 2018, CHILI

Znany z „Syna Szawła” Géza Röhrig wciela się w postać chasydzkiego kantora z Nowego Jorku, który po śmierci żony próbuje pogodzić religijną tradycję z indywidualnym cierpieniem. Pomocy przyjdzie mu szukać u... zaprzyjaźnionego nauczyciela biologii. Efektem jest nietypowa mieszanka melodramatu, czarnej komedii i filmu „kumpelskiego”.

JAN

Klata:
Dalej jest noc

1 sierpnia 2019. W Warszawie ulicami miasta, gdzie Hitler i Stalin zrobili, co swoje, maszerowała samozwańcza „powstańcza krew" – a właściwie fan club rozbijackich formacji Narodowych Sił Zbrojnych, czyli przeciwników Polskiego Państwa Podziemnego. Celebrowali ludzi, którzy brali broń od nazistów, współpracowali z okupantem, mordowali żołnierzy AK, GL, BCh, nie wspominając o ludności cywilnej. Znów zapłonęły race na froncie powstańczej walki z tęczową zarazą i szatańskim planem *gender*, raz sierpem, raz młotem tęczową hołotę, nie będzie tęcza pluć nam w twarz ni dzieci nam dżermanić. Dżender pochował się po kanałach, porozpychany przez usłużną policję.

„To my, to my – powstańcza krew". Cóż, dobrego samopoczucia nie brakuje, ono wręcz radykalnie przyrasta w grupie biorącej sobie w posiadanie miasto, z każdym skandowaniem „jedna kula – jeden Niemiec". Przypomnę może, że straty Niemców w walkach powstania to dwa tysiące zabitych, a Polaków dwieście tysięcy. Wszechpolscy wielbiciele NSZ nie nauczyli się w szkole ani historii, ani matematyki. Mniejsza o arytmetykę: zaiste „Jedna kula – jeden Niemiec" rozlega się na ulicach w roku 2019. Patologia. Organizatorzy byli tak z siebie zadowoleni, że postanowili jeszcze głośniej to pokrzyczeć, już na zakończenie imprezy, „bo wcześniej nie dotarło". Dotarło, dotarło, poszło w świat, podobnie jak baner zrównujący nazistowską swastykę z tęczą. Warszawa wolna od tęczowego faszyzmu! Tak się teraz oddaje hołd powstańcom.

Przepraszam za głupie pytanie: co na to powstańcy? „To jest święto pamięci tych, co polegli. To trzeba świętować w spokoju, nie z krzykami, nie z hasłami, nie z kibicami w podkoszulkach z kotwicami. Ja bym tej odzieży zakazał. Takich ludzi, jak ci kibice, wtedy nie było. To była Armia Krajowa". Stanisław Aronson oraz wielu innych bohaterów tamtych dni gaszą race tromtadracji. Przestrzega przed instrumentalizacją historii, wychowywaniem nowego pokolenia na kłamstwie. „Zagrożenie dla demokracji. Mocne zagrożenie dla demokracji". Ale przecież nie po to 1 sierpnia polska policja wpina w mundury symbole ONR, żeby słuchać jakichś Aronsonów, którzy zaraz umrą. Przebierańcy z opaskami od kilku dni panoszą się po Warszawie i bezkarnie udają powstańców. Puszą się bohaterskim patopatriotyzmem. Patopatrioci pozazdrościli patostreamerom i patoinfluencerom, zbierają się do kupy, aby zgotować nam pato-Polskę. Władza patrzy przez palce i podlicza głosy. ©

Lektor:
Księga i jej losy

▪ *Bruno Schulz,* **SKLEPY CYNAMONOWE** *Wstęp i opracowanie Jerzy Jarzębski, dodatek krytyczny Stanisław Rosiek, opracowanie językowe Małgorzata Ogonowska. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2019, ss. 278. „Dzieła zebrane". Tom 2.*

Nie, nie pozbędę się go nigdy. Tom niewielkiego formatu otwarty sławnym esejem Artura Sandauera „Rzeczywistość zdegradowana", 700 stron na papierze biblijnym klasy III, stał się dla mnie nie tylko odkryciem wielkiego pisarza, ale i jedną z niewielu Ksiąg, które pozostają ważne na resztę życia. Teraz „Proza" Brunona Schulza (Wydawnictwo Literackie 1964) doczekała się na półce towarzystwa w postaci kolejnych tomów „Dzieł zebranych". Mam nadzieję, że doczekam wszystkich zapowiedzianych dziewięciu.

Jak wygląda krytyczne wydanie „Sklepów...", pierwszej książki Schulza, opublikowanej pod koniec 1933 r. z datą roku następnego? Wobec zagłady archiwum Schulza, tłumaczy Stanisław Rosiek, podstawą musi być pierwodruk, ponownie tylko skontrolowany pod kątem omyłek, przeoczeń i uwspółcześnienia pisowni, no i opatrzony komentarzami i przypisami (również takimi jak „urynał – tu: nocnik"). Osobno opisano nieliczne odmiany tekstu w trzech fragmentach „Sklepów...", które ukazały się wcześniej w czasopismach. Polecam lekturę zarówno wstępu, jak i noty edytorskiej. A w tej ostatniej – rozważania Rośka (niekiedy polemiczne wobec hipotez znakomitego schulzologa Jerzego Ficowskiego) na temat dziejów powstania i wydania „Sklepów...". Czy rzeczywiście u ich początków znajdowały się listy i do kogo właściwie pisane: do przedwcześnie zmarłego przyjaciela, niespełnionego pisarza Władysława Riffa, do pisarki Debory Vogel, a może do młodziutkiej adeptki sztuki Stefanii Juer, która po wojnie stała się znana jako Stefania Dretler-Flin z Grupy Dziewięciu Grafików? Niestety, papiery po gruźliku Riffie spalono, listy do Debory Vogel i Stefanii Juer przepadły podczas wojny, mamy tylko słowa Schulza i zawodną pamięć świadków. Jak właściwie przebiegła wizyta nieznanego debiutanta u Zofii Nałkowskiej? Jak Schulz planował zilustrować książkę (ukazała się bez ilustracji)? To akurat wiedzielibyśmy, gdyby nie kolejny dramatyczny epizod tej historii. Nałkowska otrzymała od Schulza egzemplarz „Sklepów..." oprawny w ciemny jedwab, z oryginalnymi rysunkami i długą dedykacją – ale przyjaciel pisarki Bogusław Kuczyński w napadzie zazdrości podarł książkę i spalił. Niestety, rękopisy – i książki – czasem jednak płoną. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Skrwawiony ich sokiem

To było jeszcze, kiedy jerzyki wrzeszczały na rozgrzanym niebie, rozciągając w domenę słuchową odczucie pęczniejącej żywotności lata. Tak jak wszystkie stare klasztory, ten w Staniątkach zdawał się obojętny na wrzask, na upał, na zieleń, okryty całunem kontemplacyjnego trwania w bezczasie i bezruchu. Nawet jeśli rozum podpowiada, że w środku tej potężnej budowli została zaledwie garsteczka mniszek i w długich korytarzach panuje nie milczenie zasznurowanych ust, lecz cisza typowa dla bezludzia. Rozum także podpowiada, że pora była obiadowa, a reguła benedyktyńska mało co tak skrupulatnie reguluje jak zasady spożywania posiłków, więc to jedna z tych chwil, kiedy nie wypada dzwonić z byle czym do furty.

Czekać jednak nie mogłem, na olejno pociągniętych drzwiach w westybulu pachnącym starym kamieniem, kadzidłem i pastą do podłogi było napisane, że poza godzinami otwarcia sklepiku należy dzwonić. Szarpnąłem za drut zakończony gałką – nieodgadnione przeskoki myśli tuż pod progiem świadomości podsunęły refleksję, że jestem z ostatniego pokolenia, które pamięta spłuczki uruchamiane tym gestem. Warszawa to miasto ruin, ale sporo drobiazgów przetrwało powstanie. W piwnicach uczelni, która próbowała ze mnie uczynić filozofa, wisiała przedwojenna żeliwna bania z dumnym napisem „Niagara" – do dziś, kiedy wołam na pomoc siostrę ironię, przysyła mi z dalekich adresów pamięci tę właśnie pocztówkę.

Szarpnąłem więc dzwonkiem, po chwili oko w zakratowanej dziurce uznało, iż budzę dość zaufania, i przez uchylone lekko drzwi mogłem wyszeptać słowa przeprosin i pytanie, które mnie tu przygnało. Czy można kupić sok z malin? Nie, nie można, skądże. Zeszłoroczny się skończył, nowego nie ma. Głupi ja. Zachowuję się, jakby mi wieczna dostępność przemysłowych syropów skutecznie zaburzyła świadomość kolejności rzeczy. Najpierw niebo musi ucichnąć, opustoszeć, ten nagły brak jerzyków dudniący w uszach to pierwszy akord końca lata, przez następne dni ciepłej pogody będzie nam już towarzyszyć tylko szum klimatyzatora. Potem następują dwa–trzy tygodnie przejściowej fazy, kiedy rozgrzana w czerwcu i lipcu machina wegetacji wytraca wigor, ale przez jakiś czas wyrzuca z siebie, siłą rozpędu, najlepsze, najbardziej wyczekane plony, niczym siano lecące na boki z drabiniastego wozu. Pomidory wyrosłe pod gołym niebem, pierwsze słodkie śliwki i jabłka, wiśnie i maliny – takie wreszcie dobre na sok. Bo choć maliny są na rynku od dobrych paru tygodni, to dopiero te w sierpniu, o ile lato było ciepłe, zaczynają mieć to coś, co podnosi je do rangi rajskiego owocu. Gdyby tylko rosły na porządnym drzewie! To nie brzmi dobrze: „krzaczek wiadomości dobrego i złego", i tylko dlatego, sądzę, natchnienie podsunęło biblijnym autorom jabłoń.

Malina ma bowiem w sobie wszechstronny potencjał mitologiczny. Najbardziej apetyczną postać osiąga w stanie dojrzałości bliskim rozpadu, znacząc jedzącego czerwono. „Palce miałaś na oślep skrwawione ich sokiem" – głosi najważniejszy polski wiersz erotyczny, ale nie trzeba być aż Leśmianem, żeby skojarzyć malinę z krwią, ze skazą, z raną, z rozciętą zasłoną świata pozorów, za którą słowa przestają służyć za przewodnika. Z naglącą potrzebą przeżywania chwili, rozmazująca się bowiem w palcach malina to nie jest owoc, który można schować do lodówki na jutrzejsze śniadanie. Teraz albo nigdy.

Z drugiej strony nie ma w naszej narodowej wyobraźni drugiego owocu, który zawiera w sobie obietnicę przetrwania i opowiada o bezpiecznym domowym ognisku, o dłoniach, które nie pieszczą, lecz ratują przed zimnem. Pamiętam, jak jeden z wielu znanych mi Włochów, którzy nieświadomi, co ich czeka, próbują nie tylko ożenić się z Polką, ale i oswoić z Polską, wyznawał mi podczas pierwszej zimy spędzanej w naszym kraju: „Ten naród wszystko załatwia sokiem z malin! Cokolwiek mi dolega, stawiają przede mną herbatę z malinami i mówią »pij, póki gorące«.

Wiem, że większość z was robi ten sok właśnie teraz na zimę, sam z tego skrzętnie korzystam, bywając w gościnie. Nie chcę wam psuć przyjemności, ale nigdy nie piłem lepszego niż ten od mniszek w Staniątkach. Nie wiem, czy sprawiają to świątobliwe dłonie i cierpliwość, na jaką stać już tylko osoby za klasztornym murem, czy może tam rośnie jakaś szczególna odmiana owoców. Wiem jedno: będę krążył wokół klasztoru w oczekiwaniu, aż ich sok będzie gotowy – jak ostatni jerzyk, który przegapił moment odlotu. ©℗

ADOBE STOCK

Oprócz malinowego jest jeszcze jeden syrop, którym warto w sierpniu się zająć. Stanowi ciekawe urozmaicenie lemoniad, które jeszcze będziemy pić, odcinając końcówki tegorocznych upałów. W sierpniu łatwo na targach o tanią ciętą bazylię, bo uprawiana w ziemi, zaczyna właśnie przerastać. Zagotujmy więc syrop cukrowy w proporcjach 1:1 – np. 100 ml wody ze 100 g cukru. Kiedy się cukier rozpuści (uwaga, to jest bardzo gorące), wyłączamy ogień i wrzucamy solidną garść listków bazylii (na 100 ml tak ze 20). Zostawiamy, aż się naciągnie z parę godzin, przecedzamy przez sito i odciskamy syrop pozostały w lepkich liściach. Do picia mieszamy go z sokiem z cytryny i lodowatą wodą gazowaną. Niestety, z powodu dużej zawartości drobin roślinnych ten syrop nawet w lodówce nie stoi długo. Próbowałem go pasteryzować, ale nigdy mi nie wyszło. A poza tym – po co? W zimie i tak ważne są maliny.

TRZASK ŻYWIOŁÓW

Granice światów są tu najmniej szczelne.
Bajkał jest kotłem, w którym ścierają się siły nieba i podziemi.
Zimą te moce kondensują się najsilniej – dlatego o niej piszę, choć teraz jest lato.

MICHAŁ MILCZAREK

Wciąż to dudnienie. Łomot. Trzask. Kołatanie. Jakby ktoś tam żył. Jakby chciał przebić lód Bajkału od spodu i wydostać się na powierzchnię. Szamotał się, rzucał wte i wewte, walił pięścią. Potężny, niespokojny, zdeterminowany.

Stałem na szczycie urwiska na wyspie Olchon i bałem się. Naprawdę się bałem. Nie tego, że lód się załamie, bo wtedy był marzec i trzymał mróz, ale tego, że wszystko wokół było żywe. Woda, lód, ziemia, góry, powietrze, niebo. Wszystko. I słyszy, i widzi, i wie.

Wylałem trochę czaju z termosu. Posłodzonego, choć zwykle nie słodzę. Rzuciłem kawałek mandarynki, parę kostek czekolady, ciastko. No i monety.

Monety należy rzucać z głową. Duchy biorą ponoć tylko te złote. Gustują w dziesięciokopiejówkach lub dziesięciorublówkach. Kopiejek nie miałem, bo są nic niewarte, naszych złotogroszy też nie, a eurocentów było mi szkoda, więc musiałem rzucać złote dziesięciorublówki. Srebrnymi natomiast gardzą. Tak twierdzą ludzie, którzy mieli z nimi kontakt. Widziałem co prawda srebrne monety z Chin, bo chińscy turyści nie znają zaświatowych reguł. Profani. Ale oni mają prawo. Są od rzeczy tego świata, a nie tamtego. Duchy nie chcą też piątek czy pięćdziesiątek, bo to połówki. Wolą dziesięć kopiejek niż pięć rubli. Widocznie mają swój transcendentny przelicznik. Nie pajmiosz. Ale rzucasz, bo nie masz wyboru. Inaczej przegryzą ci linkę hamulcową, wrzucą gwóźdź do zupy, gałąź wsadzą w oko.

Można jeszcze dla pewności pobryzgać mlekiem. W sklepie we wsi Chużyr sprzedają zagęszczone 7,1 proc. UHT w półlitrowych kartonikach. Idealne rozwiązanie, bo spokojnie zmieścisz do plecaka, a duchy są na nie łase.

Lubią też wódkę, ale trzeba się umieć z nią obchodzić. Wódka to dualizm wody i ognia – żywiołów podstawowych. Coś jak mieszanka Talesa z Heraklitem. Dlatego wódkę powinni polewać tylko wtajemniczeni szamani. I robią to, bo w XX wieku wśród duchów zaczął się szerzyć alkoholizm. W Związku Radzieckim wiara przodków była niszczona, tradycje szły w niepamięć, wierni bali się składać ofiary. O duchach zapomniano. Dlatego poczuły się zbędne, wykluczone

ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Pęka lód w pobliżu wyspy Ogoj na Bajkale

z proletariackiej rodziny narodów i podupadły na duchu. Zawsze były istotami trudno uchwytnymi, a teraz groził im pełny niebyt. Popadały w depresję, a lekarstwem miał być alkohol. No i się uzależniły. Sojuz runął, a pociąg do mocniejszych trunków pozostał.

Ale nie jest to słabość właściwa tylko syberyjskim duchom. W Boliwii, na przykład, istoty nadprzyrodzone też lubią używki. Słynnej Cerro Rico pod Potosí, z której Hiszpanie wydobyli w czasach kolonialnych tysiące ton srebra, strzeże bóg podziemi Tio. Ma wiele glinianych posągów w wąskich tunelach kopalni. Jest przystrojony we wstążki, nosi kalosze. Boliwijscy górnicy leją mu czysty spirytus, sypią liście koki i wkładają w usta zapalone papierosy. Jeśli dopalą się do końca, to dobry znak. Jeśli nie – zły. Sami też piją i żują kokę, ale z Tio dzielą się sprawiedliwie. Bo właśnie od niego zależy, czy znajdą srebro albo chociaż cynę. I czy nie zawali się strop.

Dlatego najpierw podzieliłem się z duchami Bajkału wszystkim i dopiero potem zszedłem na lód. Był marzec, jak już wspomniałem, więc miał 80 centymetrów grubości i jeździły po nim samochody. Nawet małe ciężarówki i autobusy mogły wjeżdżać. Zaczynają już przy 20 centymetrach. Ruch trwa ze dwa miesiące, przypada na luty i marzec. Są wytyczone drogi, nawet znaki stoją. A potem drogi topnieją. Ostatni ryzykanci próbują się przedrzeć i niekiedy toną. Dlatego lepiej jeździć z odpiętymi pasami, będziesz miał tę sekundę czy dwie więcej.

BAJKALSKI LÓD ZASŁUGUJE NA OSOBNĄ OPOWIEŚĆ. Był goły lub pokryty cienką warstwą zmrożonego śniegu, gładki lub chropowaty. W jednych miejscach składał się z zamrożonych kawałków kry, w innych był przeźroczysty jak szkło. Przenikały go pęknięcia wyglądające jak wstęgi z kryształu, tkwiły w nim pęcherzyki powietrza. Wszystko to było pełne niepokoju, mocy i znaczeń. Trochę jak labirynt albo zaszyfrowana mapa.

Niekiedy wydawało mi się, że stoję nad otchłanią. Stoję i nie opadam w dół, choć pod nogami była tylko ciemna toń. Przypominała bezgwiezdną noc. Ale nie była ślepa. Czułem na sobie czyjeś spojrzenie. Ktoś patrzył na mnie stamtąd.

Niebo też było ogromne, dzikie i nieokiełznane. Bezładnie płynęły po nim poszarpane przez wiatr chmury. Niektóre były ciemne jak podwodne głębiny, inne jasne niczym śnieg. Generalnie spektakl. Można gapić się godzinami.

I jeszcze ta niemota – milczenie świata, które udzielało się również mnie. Jakby słowa wywietrzały, jakby wiatr wymiótł z nich wszelkie znaczenie. Stawały się puste i przestawały mieć sens, bo nie ogarniały świata. Świat się w nich nie mieścił. Znaczenie miały już tylko kierunki wiatru, lot ptaków, kształt chmur, rysunek lodu. Reszta zwietrzała.

Kiedy stanąłem na lodzie naprzeciwko świętej skały, w której mieszkają bogowie, prószył lekki śnieg. Ale po chwili wszystko się odmieniło. Ołowiana chmura odeszła, wyjrzało słońce, a nad skałą zajaśniała tęcza. Mieniła się czerwienią i błękitem. Trwało to minutę. A lód dudnił i trzeszczał przez cały czas.

Ta skała na Olchonie to chyba najświętsza rzecz na całej Syberii. Tabliczki proszą, żeby się do niej nie zbliżać, bo to profanacja. W jej wnętrzu znajduje się pieczara. To już najświętsze z świętych. Grób Pański, Kaaba, Ściana Płaczu. Archeolodzy odkryli w niej przedmioty kultowe pochodzące sprzed pięciu czy siedmiu tysięcy lat. A więc jeszcze sprzed historii. Już wtedy promieniowała świętością.

Na Olchonie zresztą wszystko jest święte, właściwie nie ma miejsc nieświętych, gdzie nie wdepniesz, tam ziemia święta. A Bajkał to nie jezioro, tylko morze. Święte Morze Syberii, jak mówią Buriaci. Za jezioro może się obrazić i będzie źle.

RDZENNI SYBIRACY WIERZĄ, ŻE ŚWIAT SKŁADA SIĘ Z TRZECH POZIOMÓW. Na górze znajduje się niebo, które jest świetliste, kwieciste, piękne i ciepłe. Jest tam dużo złota, a w rzekach zamiast wody płynie zagęszczone mleko. Mrozów tam nie zaznasz. Po stepie wędrują wielkie stada zwierząt. Są ufne, tłuste i mają piękne futra. Tamtejsi bogowie też mieszkają w jurtach, ale lepszych niż nasze. Chciałoby się pobyć tam dłużej, ale trudno się tam dostać. Da się tylko przez Gwiazdę Polarną. Prawdziwe niebo jest ponad naszym niebem.

Jego przeciwieństwem są podziemia. Tam też istnieją światy, tyle że mniej przyjazne. Panuje w nich mrok, słońce i księżyc są przymglone i „szczerbate". Trawa na stepie jest ↦

żelazna, a bydło zwyrodniałe. Na niższych piętrach krajobraz robi się jeszcze bardziej makabryczny. Są tam ponoć jeziora wypełnione krwią lub łzami oraz rzeki pełne trupów. Na samym dnie mieszka władca podziemi chan Erlik – w pałacu z żelaza albo szlamu, pośród cuchnącego bagna. Bogowie i duchy podziemi są szkaradne i pożytku raczej z nich nie ma. Zsyłają choroby, pomór, utonięcia, wypadki samochodowe. No i zimę.

Właśnie tam pójdziemy po śmierci. Na szczęście nie na samo dno, lecz na piętra położone trochę wyżej, gdzie cherlawe słońce jeszcze świeci. Świat martwych jest negatywem świata żywych. Wszystko jest tam na odwrót. Prawe jest lewym, góra dołem, wschód zachodem, twarz dupą, a dupa twarzą. Gdy u nas jest dzień, u nich noc. Zupełnie jak na Kamczatce albo Alasce. Dlatego przedmioty, które dajemy zmarłym na drogę, należy najpierw zniszczyć, połamać. Uczynić je opacznymi, odwrotnością naszych. Podziurawić garnki, połamać noże, porwać ubrania, oderwać podeszwy od butów. Dzięki temu będą się nadawały do użytku w tym odwrotnym świecie. Poza tym umarlaki żyją podobnie jak my. Też mieszkają w jurtach z wojłoku, wypasają konie i bydło – tyle że chudsze, bardziej mizerne.

Ludzie mówią, że można do nich wejść przez szczelinę w horyzoncie na dalekiej północy. A w naszych szerokościach przez dziurę w ziemi. Zdarzało się, że myśliwi błądzili w tajdze i natykali się na wejście do świata dolnego. Zaciekawieni wchodzili i lądowali w podziemiu. Przez jakiś czas zapewne męczył ich *jet lag* związany z różnicą czasów. Potem trafiali do osady umarłych. Niestety kontakt z nimi okazywał się niemożliwy. Umarli nie widzieli ich i nie słyszeli. Mówili jakimś swoim językiem, zapewne odwrotnością naszego. Niewykluczone, że słowa wymawiali od końca. Tylko ogień wyczuwał ich obecność i trzeszczał, budząc niepokój umarlaków. Bo trzeszczący ogień to na Syberii zły znak. Dotknięcie umarłego sprowadzało na niego chorobę, a dotknięty trup zwierzęcia umierał po raz drugi. Dlatego póki żyjemy, nic tam po nas.

Między niebem a podziemiami leży nasz świat. Jest polem zmagań obu sił. Wydarzenia w nim są wypadkową układu mocy niebieskich i podziemnych. Przyroda nie jest więc po prostu przyrodą, lecz oknem transcendencji. Ma wymiar sakralny. Zaświaty nie są „gdzieś indziej", ale leżą w pobliżu. Nad gwiazdami i pod ziemią. Są niejako dopełnieniem widzialnego wszechświata. Ściskają go jak w imadle.

Właśnie nad Bajkałem czuć to najsilniej. Zwłaszcza zimą – dlatego o niej piszę, choć teraz jest lato. Zimą te moce kondensują się najsilniej. I nawet nie tyle je czuć, ile widać. Tutaj i może jeszcze na dalekiej północy granice światów są najmniej szczelne. To jakby kocioł, w którym ścierają się siły nieba i podziemi.

Dlatego stałem na lodzie i bałem się. Słabłem. Kurczyłem się. Malałem. Czułem, że przestaję być sobą, że moje życie przestaje należeć do mnie. A władzę nad nim przejmują żywioły mające korzeń w transcendencji. Woda, lód, ziemia, góry, tajga, powietrze. Jakbym stawał się częścią tego wszystkiego. Jakby te żywioły wnikały we mnie.

To było zbyt silne, zbyt potężne. I bardzo pierwotne. Bardzo stare. Coś jak pozostałość po początku kosmosu. Jak świat, w którym nie zdążyły się jeszcze wykształcić formy, a żywioły walczą ze sobą o pierwszeństwo. Rzeczywistość w stanie narodzin, niezakończona kosmogonia. Czas, w którym istnienie wciąż jeszcze wyznacza swoje granice. Czas sprzed czasu.

BURIAT, Z KTÓRYM JECHAŁEM AUTOSTOPEM Z IRKUCKA, MIAŁ RACJĘ. Mówił, że na Olchon nie wolno przyjeżdżać zbyt często. Najwyżej raz do roku. Nawet jeśli mieszka się sto kilometrów dalej. Bo to niebezpieczne.

– Możesz nie wytrzymać tej energii. Możesz też niechcący obrazić bogów. Niejeden przypłacił to życiem albo postradał rozum. Mój brat na przykład. Pojechał na Olchon, a potem zwariował. Widocznie coś zrobił źle i bogowie się zemścili.

Tak mówił i co kilka kilometrów wysypywał szczyptę tytoniu przez okno. Też się bał.

– A jeśli cię dopadną, sam się nie wyleczysz, musisz iść do szamana.

Eliade nazywał ich „wielkimi mistrzami ekstazy". Greckie *ekstasis* oznacza wychodzenie poza siebie, bycie-poza-sobą. Tego samego terminu używał grecko-rzymski filozof Plotyn, mając na myśli pełne zjednoczenie z absolutem.

To najstarsza forma religii. Jej korzenie sięgają w głąb paleolitu i liczą sobie co najmniej kilkadziesiąt tysięcy lat. Można więc powiedzieć, że jest równie stara jak sam człowiek. A może jeszcze starsza. Niektórzy religioznawcy sugerują bowiem, że stany odmiennej świadomości były znane już naszym starszym braciom neandertalczykom lub heidelberczykom.

W Związku Radzieckim szamanów uznano za „element klasowo wrogi". Trans stał się „działalnością kontrrewolucyjną". Mistrzów ekstazy rozstrzeliwano, zsyłano do łagrów lub uznawano za chorych psychicznie i zamykano w psychiatrykach. Szamanizm miał być wynikiem tak zwanej arktycznej histerii, wywołanej niesprzyjającymi warunkami klimatycznymi, brakiem słońca i witamin. Okazało się jednak, że zjawisko jest uniwersalne i występuje także na innych kontynentach.

MICHAŁ MILCZAREK

Stałem na lodzie i bałem się. Słabłem. Czułem, że przestaję być sobą, że moje życie przestaje należeć do mnie. Że władzę nad nim przejmują żywioły: woda, lód, ziemia, góry, tajga, powietrze.

ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Tradycyjne buriackie totemy na wyspie Olchon, Bajkał

Dziś na Syberii szamanizm się odradza. Zwłaszcza w republikach z liczną ludnością rdzenną: w Tuwie, Jakucji, Buriacji i na Ałtaju. Wiele tradycji zostało jednak zapomnianych i trzeba je rekonstruować. Dzisiejsi szamani chętnie czytają na przykład relacje etnografów sprzed stu lat i wzorują się na nich. Ale na trans jest popyt, ponieważ ludzie wciąż boją się duchów. Choroba, wypadek czy złamana ręka nie są dziełem przypadku, lecz właśnie duchów. A przed duchami trzeba się bronić. To nie są żadne fanaberie, ale konieczność.

W WIOSKACH SZAMANI BIORĄ CO ŁASKA. A w miastach dokonała się komercjalizacja, szamani założyli organizacje religijne. Są oficjalnie zarejestrowani, płacą podatki, składki zdrowotne i mają cenniki usług. Oferują leczenie rozmaitych dolegliwości, pomoc w wyborze kierunku studiów, nawiązanie kontaktu z przodkami (znają ponoć ich język), oczyszczenie samochodu lub mieszkania od negatywnej energii. Coś pośredniego między parafią a przychodnią.

Najwięcej ich chyba w Ułan Ude, stolicy Buriacji. Na głównym placu stoi czterdziestodwutonowy łeb Lenina. Oczywiście największy na świecie. Chyba udzieliła mu się religijna aura otoczenia, bo ma minę jak naćpany bodhisattwa. Poza tym drewniane domy, bloki i trochę industrii. Wokół step. Dlatego miasto przypomina obóz koczowników. Do Moskwy jest stamtąd 5,5 tysiąca kilometrów, a do Pekinu 2 tysiące. Ułan Ude leży w pół drogi i rodzi to melancholię.

Na jedną z buriackich organizacji szamanistycznych natknąłem się na ulicy Kommunisticzeskiej w centrum. Faceci lali z ulicznych pomp wodę do wiader, bo wodociągu nie ma. Po obu stronach rzędy drewnianych domów w stanie przedagonalnym. Garbiły się i zapadały, jak gdyby chciały powrócić do ziemi i zmieszać z pierwiastkami, aby krąg istnienia się zatoczył. W jednym z nich mieściła się siedziba szamanów „Darchan Tengeri". Furtka była otwarta, więc wszedłem na podwórko. Niczego szczególnego tam nie było. Piasek, piec i szopa pobryzgana mlekiem – scena transu, ołtarz bogów świata górnego i dolnego, parafia mleczarzy, w sumie trochę Jackson Pollock. Zapukałem do drzwi, ale nikt nie otworzył. Może to i dobrze, bo pewnie nie oparłbym się pokusie, a potem trzeba by się prać. Ale za to spokojniej siadałbym za kierownicę.

Część Buriatów to szamaniści, część buddyści. Zdarzają się wśród nich także chrześcijanie. Ale tak naprawdę wszystko miesza się tu ze wszystkim. Jezus albo Budda mogą być obrońcami przed atakami wrednych duchów, które zamieszkują mniej prestiżowe piętra zaświatów, dlatego warto zapewnić sobie ich przychylność. Republika aż kipi od energii religijnej. Co kawałek święte gaje, skały, źródła, przełęcze, szczyty.

W Ułan Ude kupiłem sobie nawet mapę „Święte miejsca Republiki Buriacja". Podzielono je na kilka kategorii: botaniczne, wodne, geologiczne, krajobrazowe, przyrodniczo-historyczne i architektoniczne. Do tych ostatnich zaliczono buddyjskie dacany, cerkwie oraz oboo. Stosy kamieni usypywane dla duchów autorzy mapy uznali za przejaw architektury. Ale i tak miejsc o charakterze przyrodniczym jest o wiele więcej. Zwłaszcza świętych źródeł. W sumie zaznaczono 455 obiektów. Można pielgrzymować w nieskończoność.

W PEWNYM MOMENCIE ROZLEGŁ SIĘ GRZMOT. WSZYSTKO SIĘ ZATRZĘSŁO. Można było pomyśleć, że to piorun. Ale nie, to był lód. Raczej to, co żyło pod nim. I teraz z całej siły walnęło od spodu pięścią, chcąc dać upust swojej przedwiecznej wściekłości. Na powierzchni Bajkału pojawiło się kolejne pęknięcie. W powstałej szczelinie zamigotała żywa woda. Czysta jak pierwotna substancja albo jak nicość.

Bałem się, że nie wytrzymam. Że serce po prostu przestanie mi bić, bo nie jest na miarę świata wokół. Że zejdę na zawał, a ciało rozpadnie się na elementy. Na wodę, ziemię, powietrze. Zupełnie jak u jońskich filozofów przyrody. Powrócę do początku i stanę się częścią meteorologii albo geologii. Nie mogłem uciec, bo przecież nie można uciec z kosmosu. Bałem się, że mnie zabije ten Bajkał. © MICHAŁ MILCZAREK

STANISŁAW

Mancewicz: *Luksus*

Skłonność rodziny marszałka Kuchcińskiego do latania odrzutowcem bądź helikopterem na trasie Warszawa–Rzeszów–Jasionka za pieniądze podatnika będzie nam dziś kanwą rozważań o charakterze szerszym. Uspokajamy: nie będą to mniemania na tematy etyczne. Nie jesteśmy dziećmi i nie damy się podpuścić. Odmawiamy dyskusji o wartościach. Jeżeli jednak uznamy, że słowo „wartość" jest elementem luksusu, to oczywiście chętnie się pobawimy. Luksus zatem będzie dziś tematem.

Pojęcie luksusu jest wbrew pozorom skomplikowanym zjawiskiem, definiowanym bardzo różnie, zarówno wziąwszy pod wzgląd czasy, jak i rejonizację. Luksusowość bierze się i z zawiłych sprzężeń, i – pardon – z importów kulturowych. Dziś, dzięki wszechobecnej technologii przekazu informacji, importy te odbywają się oczywiście znacznie szybciej, ale wciąż podlegają w trakcie przemieszczania zmianom. Jest jednak coś stałego od zawsze – luksus wędruje z centrów cywilizacyjnych na prowincję i tamże, lokalnie, przyjmuje inne niż oryginał kształty, smaki i wymiary. Do rejonów oddalonych zarówno od Wschodu, jak i Zachodu, leżących – byśmy rzekli – we wklęśnięciach cywilizacyjnych, ze wszystkich stron wąskimi strużkami wpływają wyobrażenia o luksusie i w tychże nieckach, jak w korytkach, mieszają się, zmieniając kolor, smak, zapach i wygląd. Gdy ikoniczne dla Zachodu i Wschodu symbole luksusu odpowiednio się zmieszają, otrzymujemy paćkę zwaną tu gustem. Czyli naraz: Las Vegas, Prowansja, Paryż, Moskwa i, rzecz jasna, Toskania.

Można też rzec tak, że często cudze widzenie tego, co luksusowe, nas zaskakuje. Poza banałem, poza globalnie przyjętym katalogiem emblematycznych przedmiotów uznanych za luksusowe, istnieje niemal nie do zbadania przestrzeń – nazwijmy to – luksusu intymnego i osobniczego. Zarzut wobec Kuchcińskiego, że jego wyobrażenia o sprawowaniu władzy i pracy skupiają się na dziecinnie nieskomplikowanym w jego wykonaniu dozorowaniu obrad Sejmu czy na kompulsywnym podróżowaniu samolotem do destynacji Rzeszów/Jasionka, wydaje się nam nietrafiony. Jest to wszak zestaw *per saldo* skromny, zaiste familia Kuchcińskich mogłaby za nasze lecieć dalej, a tymczasem dobrze się bawi na bodaj najkrótszej trasie krajowej oraz szpanuje na lotnisku – z całym szacunkiem – niewielkim. Z naciskiem pytamy, kto Kuchcińskiemu i jego krewnym broni lecieć za friko na dowolne lotnisko świata i tamże pozować do retuszowanych fotek? Kto by mu bronił jechać dokądkolwiek w lektyce? Nikt. Doceńmy, że człowiek ten tak akurat widzi luksus, tak mniema na temat swej funkcji, i takoż się realizuje na płycie lotniska Rzeszów/Jasionka, choć mógłby dalej.

Ponieważ do rozliczania tych widzeń włączył się niebacznie Gospodarz, popatrzmy teraz na jego wyobrażenia o luksusie. Jaka to jest miara? Była niejasna, dopóki nie wręczyliśmy mu immunitetu. Dziś może się o niej przekonać każdy, kto próbował przespacerować się ulicą, którą akurat ów ma kaprys się przemieszczać. Jego luksusem są towarzyszące mu rzesze tajniaków i mundurowych i rzec można, że skupia się to w lakonicznym zdaniu, iż wszystkie pały kraju są natenczas z magazynów wyjmowane i wietrzone. Bądźmy realistami i przyjmijmy wreszcie do wiadomości, że żyjemy w państwie o obliczu nieśmiertelnie wklęsłym, gdzie do normy luksusu władcy należą tysiące ochroniarzy, latanie samolotem, jeżdżenie taksówką, ale przede wszystkim posiadanie władzy, co jest synonimem życia za darmo.

„Europejskość rozumiemy jako konkret, jako wysokie zarobki, a nie eksperymenty kulturowe czy obyczajowe" – powiedział niedawno premier Morawiecki na pikniku rodzinnym PiS-u w Stężycy. Naturalnie powiedział to również o sobie, władza równa się bogactwo i luksus, i to jest w istocie jej jedyny konkret. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za **69 zł**

* oferta dotyczy 4 kolejnych (począwszy od „Zwierzeń zwierząt”) wydań (3,4/2019 i 1,2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj

** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	
Slot (13 numerów)	99 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO